NESTOR

Czasopismo Artystyczne

4(66) 2023 Rok XVII www.nestor-krasnystaw.eu ISSN 1898-1801

Kościół św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie, fot. Andrzej Staroń.

Krystyna z Lubomirskich Potocka, fundatorka kościoła, olej na płótnie, XVIII wiek, Muzeum Regionalne w Krasnymstawie.

fot. Andrzej Staroń

Zabytek z okładki

Parafia w Krasnymstawie istniała już w II połowie XIV w. W 1490 r. bp chełmski Maciej z Łomży przeniósł tutaj katedrę ze spalonego Chełma. Krasnystaw był też przez pewien okres, w czasie organizowania diecezji lubelskiej – także siedzibą biskupów lubelskich. Dawny kościół parafialny pod wezwaniem Wszystkich Świętych, istniejący już pod koniec XIV w. usytuowany był po przeciwnej stronie dzisiejszego placu kościelnego (w miejscu nowej plebanii). Był murowany z cegły w stylu gotyckim. W latach 1490-1776 pełnił równocześnie rolę kościoła katedralnego, rozebrany w 1810 r. Obecny murowany, wybudowano w latach 1695-1723, pod wezwaniem św. Franciszka Ksawerego, według projektu architekta jezuity Jana Delamarsa. Fundowała go rodzina Potockich. Kościół był konsekrowany 5.10.1741 r. i do 1773 r. pozostawał w rękach jezuitów. Po kasacie zakonu pełnił funkcję kościoła parafialnego i równocześnie katedralnego (do 1826 r.). Kilkakrotnie remontowany, m.in. w latach 1829, 1849-50 – po zawaleniu się kopuły, 1879-81 – całkowita restauracja, 1904-05, 1947, 1977 – renowacja całości i konserwacja polichromii. Kościół murowany, 3-nawowy, barokowy. Przy prezbiterium zakrystia akustyczna z freskami Swacha, nad nią skarbiec. Po przeciwnej stronie kaplica połączona z kościołem, pod wezwaniem Serca Jezusa i św. Franciszka z Asyżu, podwyższona w latach 1879-81 dzięki zlikwidowaniu dawnego kapitularza, który znajdował się nad nią. Wewnątrz kościoła sztukateria późnobarokowa i polichromia Adama Swacha, ołtarze drewniane, regencyjne. W głównym – 2 obrazy św. Franciszka Ksawerego. Ołtarze boczne po lewej: Matki Bożej Różańcowej, św. Antoniego, św. Mikołaja, św. Agaty; po prawej: św. Stanisława Kostki, św. Józefa, św. Walentego, Jezusa Ukrzyżowanego. W kaplicy – ołtarz Serca Jezusowego. Ambona, ławki, konfesjonały z poł. XVIII w. W zakrystii zabytkowe komody, chrzcielnica barokowa z okresu budowy kościoła oraz zabytkowe naczynia i szaty liturgiczne (XVII-XIX w.). Organy barokowe z XVIII w., przebudowane pod koniec XIX w. Generalny remont dokonany został za ks. prałata Piotra Kimaka w latach 1991-1992. Od 2001 r. proboszczem był ks. prałat Henryk Kapica. W tym czasie odnowione zostały ołtarze boczne i ołtarz główny z obrazem św. Franciszka Ksawerego. Od 2019 r. proboszczem jest ks. kan. Jarosław Wójcik. Prace konserwatorsko-restauratorskie przy elewacji świątyni rozpoczęte w 2020 r. zostały w tym roku zakończone.

ks. Jarosław Wójcik, proboszcz

Słowo redaktora

Trwa **Rok Krystyny Anny z Lubomirskich Potockiej**, fundatorki kościoła pw. św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie. Ogłoszony został przez zespół redakcyjny w 64. wydaniu Czasopisma artystycznego „Nestor" z okazji 380 rocznicy urodzin dobrodziejki oraz 300 rocznicy położenia fresków przez jezuitę Adama Swacha na zakończenie budowy kościoła. W kolejnym, 65. numerze czytelnicy mieli możliwość zapoznania się ze szczegółowym opracowaniem dotyczącym życia i dzieła Krystyny Potockiej. Obecnie na pierwszych stronach okładki możemy podziwiać zachwycająco odnowioną elewację krasnostawskiej świątyni, godną obiektu o niebagatelnej przeszłości. Ten dom modlitwy bowiem w różnym czasie pełnił rolę kościoła katedralnego, aż dwóch diecezji – chełmskiej i lubelskiej!

Druga strona okładki przedstawia kolorowy portret fundatorki, z którego dziesiątki lat spoglądała z kościelnej nawy w kierunku głównego ołtarza. Obecnie obraz jako cenny depozyt parafii św. Franciszka Ksawerego przechowywany jest w krasnostawskim Muzeum Regionalnym. Prochy Krystyny Anny z Lubomirskich Potockiej (1643-1699) na zawsze znalazły miejsce w kryptach świątyni.

Obok wielowiekowej siedziby biskupstwa, godnym uznania było prowadzone na wysokim poziomie collegium jezuickie, gdzie pewnego razu o. Kasper Niesiecki rozpoczął spisywać słynny „Herbarz Polski". Przed dekadą poświęciliśmy temu tematowi dużo uwagi. Dzisiaj natomiast zachęcam do lektury nowych nie mniej ciekawych artykułów przeplatanych, jak zawsze twórczością literacką.

Andrzej David Misiura

Spis treści

Zabytek z okładki 1
ks. Jarosław Wójcik

Wstęp 1
Andrzej David Misiura

Inwentarz pośmiertny Zofii
z Kickich Cieszkowskiej – cz. 2 3
Monika Nagowska

Budni h. Jastrzębiec. O ostatnich właścicielach
majątku Borowica-Żulin 12
Jacek Kiszczak

Parafia pw. Najświętszej Maryi Panny Bolesnej w Kuliku ..18
Sławomir Braniewski

Krasnostawskie perypetie Stanisława Srzednickiego . 23
Eryk Zywert

Poezja – Mirosław Iwańczyk 24

Organiści parafii Chłaniów 27
Józef Adam Dąbek

Dramat w Ujazdowie. Krótka historia
krasnostawskich ułanów 38
Waldemar Seroka

Słowo o Mikołaju Reju 42
Lucjan Cimek

Krótka historia z drugiej strony 44
Elżbieta Kmieć

Zalążki łowiectwa na terenie powiatu
krasnostawskiego 45
Andrzej David Misiura

Poezja – Edward Wierzchoś 24

Zima idzie! Nie ma na to rady! 50
Andrzej Stanisław Adamczuk

Bożesz Ty mój! – To już Adwent? 53
Andrzej Stanisław Adamczuk

Na małej wysokości 57
Marian Rybczyński

Spis treści

Poezja – Halina Drobek 64

Śnił mi się czas 65

Poezja – Irena Kulik 71

Pierwsze „Ślady Singera” w Krasnymstawie 72
Irena Kulik

Wprowadzenie relikwii bł. ks. Zygmunta Pisarskiego,
Patrona Miasta Krasnystaw
oraz orędownika pojednania 73
Irena Kulik

„Ludzie z pasją gminy Fajsławice” 74
Elżbieta Patyk

„Z Nestorem do gwiazd” 75
Elżbieta Patyk

Spotkanie z Michałem Rzeźnikiem 77
Elżbieta Patyk

Mikołaja Sienickiego sąsiedztwo 79
Tomasz Sienicki

Czas na Krasnystaw, czyli leksykon niezwyczajnych ..81
Andrzej David Misiura

„Mały Królewic” 81
Wiesław Krajewski

Wywiady 82

Z tomu „Zmaganie” 82
Wojciech Bieluń (Targosz)

Z cyklu: Moje lapidaria 87
Jan Henryk Cichosz

Serbia aforyzmem stoi… 90
Ewa Radomska

Korespondencja z Norwegii,
czyli jak czytać książki po skandynawsku 91
Magdalena Wójcik

Z szacunkiem zwracamy się do naszych Czytelniczek Barbary Rusinek-Zdun z Ciechanowa i Ewy Radomskiej z Warszawy oraz anonimowego darczyńcy, serdecznie dziękując za wsparcie finansowe dla „Nestora”. Łącznie otrzymaliśmy 800 złotych na zakup materiałów drukarskich. Dodatkowego rocznego wsparcia udzielają też Zarząd Powiatu Krasnystaw oraz Burmistrz Krasnegostawu. Dzięki takiej hojności Czasopismo artystyczne „Nestor” zdołało przetrwać kolejny rok. Dziękujemy.

Darowizny na opłacenie usług drukarskich prosimy kierować na subkonto przy Powiatowej Bibliotece Publicznej: Bank Spółdzielczy w Krasnymstawie **25 8200 0008 2001 0012 4067 0004**. W tytule przekazu należy wpisać: Nestor. W imieniu czytelników, dziękujemy za każdą wpłatę – Zespół redakcyjny.

NESTOR
Czasopismo Artystyczne

NR 4 (66) 2023 – ROK XVII NESTOR Czasopismo Artystyczne
Wersja elektroniczna: www.nestor-krasnystaw.eu

Wydawca archiwalnych numerów 1 - 20:
Oficyna Wydawnicza ELIPSA – Andrzej Misiura

Wydawca numerów 21 - 31:
Redakcja Czasopisma Artystycznego NESTOR
Powiatowa Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie

Wydawca aktualny:
Redakcja Czasopisma Artystycznego NESTOR
Powiatowa Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie
Urząd Miasta Krasnystaw

Redaktor odpowiedzialny: Andrzej David Misiura

Adres redakcji: andrzejdavidmisiura@gmail.com

Montaż elektroniczny: Paweł Piłat

Druk: Wydawnictwo „ROMAR”, ul. Poniatowskiego 20, 22-300 Krasnystaw

Redagują:
Andrzej David Misiura (redaktor naczelny)
Tadeusz Andrzej Kiciński (z-ca redaktora naczelnego)
Wiesław Krajewski (sekretarz redakcji)
Paweł Piłat (skład i łamanie)

Współpracują:
Zbigniew Atras (Krasnystaw)
Jan Henryk Cichosz (Krasnystaw)
Lucjan Cimek (Krasnystaw)
Józef Adam Dąbek (Lublin)
Elżbieta Kmieć (Izbica)
Leszek Janeczek (Krasnystaw)
Ewa Magdziarz (Krasnystaw)
Monika Nagowska (Krasnystaw)
Henryk Radej (Chełm)
Elżbieta Szadura-Urbańska (Warszawa)
Agnieszka Szykuła-Żygawska (Zamość)

Redakcja nie zwraca materiałów niewykorzystanych.
Zastrzega sobie prawo wprowadzania zmian i skrótów.
Nestor redagowany jest pro publico bono.
Autorzy również nie otrzymują honorariów.

Monika Nagowska

Inwentarz pośmiertny Zofii z Kickich Cieszkowskiej – cz. 2

Ta twarz, którą rumienią niewinności wdzięki,
Te usta i te oczy, co władną sercami;
Tamte wdzięcznym uśmiechem, te czułemi łzami.
[…]
Wszystko to dosyć było na serca podbicie.
Chcąc jednak panowanie pomnożyć sowicie,
Płeć ta na powierzchownym blasku nie przestaje,
Trwalszy powab talentów do niego przydaje[1].

Jakiż to powab talentów opisano w książeczce wydanej w 1813 roku, a więc w czasie, gdy Zofia Kicka i Paweł Cieszkowski zawarli małżeństwo? Wymieniono talenty, takie jak gra na harfie, taniec, malowanie, pisanie wierszy, w końcu zaś – poświęcenie dla dzieci. Poemat „Zalety kobiet" miał zachęcać panów do ożenku. Skoro jednak zawierał tak wiele pochwał, musiał też przynieść autorowi wdzięczność niejednej niewiasty. U progu XIX stulecia w wyższych sferach oczekiwano od panien na wydaniu określonych umiejętności artystycznych, które miały pannę zdobić i świadczyć o jej wykształceniu. W praktyce bardziej przydawały się zdolności organizowania życia rodziny, ale te nabywało się już w trakcie małżeństwa, gdy młoda żona musiała zarządzać domem i służbą oraz spełniać powinności towarzyskie.

W ramach przygotowania do życia w małżeństwie rodzice nie tylko dbali o naukę tańca czy gry na instrumentach, ale też szykowali córce wyprawę – zestaw kosztowności, wyposażenia sypialni, sukien, futer, bielizny, a nawet kuponów tkanin, które następnie mogły służyć do przeróbek odzieży, gdy ta stawała się na przykład zbyt ciasna lub niemodna.

W inwentarzu sporządzonym po przedwczesnej śmierci Zofii z Kickich Cieszkowskiej również wymieniono kosztowności – w dziale piątym zatytułowanym „Klejnoty" i szóstym – „Srebro".

[1] G. Legouvé: *Zalety kobiet. Poema pana Legouvé*, przeł. Jozef Kossakowski, Kraków 1813, s. 8, https://www.wbc.poznan.pl/dlibra/publication/126430/edition/139019/content [dostęp: 3.11.2023].

Jedyną kosztowną ozdobą opisaną skrupulatnie w inwentarzu były perły oriańskie, zwane też „uriańskimi", czyli najdroższe, orientalne, importowane ze Wschodu. Odznaczały się daleko większą doskonałością kształtu i barwy niż perły pochodzące z innych regionów. Zofia posiadała trzy sznury takich pereł, czyli 152 sztuki w cenie 16 zł za sztukę. Jak obliczono, wartość naszyjnika wynosiła 2532 zł. Innych pereł nie wymieniono, czyli w majątku młodej pani Cieszkowskiej nie było tych mniej doskonałych (np. „kałkuckich"), nierównych, drobnych i używanych przez mniej zamożne niewiasty do zdobienia nakryć głowy lub stroju.

W zasobach Zofii znalazły się też niezwykle cenne przedmioty użytkowe. Jako pierwszy wymieniono srebrny samowar do herbaty *z fajerką, próby jedenastej, ważący funtów cztery, łutów dziewiętnaście*[2] (czyli ok. 2 kg) o wartości 388,20 zł. Samowar o tej wadze mierzył zapewne ok. 40 cm wysokości i miał pojemność 2 litrów, czyli nie był z tych największych. O jego cenie decydował szlachetny metal, z jakiego był wykonany. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że pochodził z Rosji, gdzie pod koniec XVIII i na początku XIX wieku powstawało coraz więcej wytwórni najpierw luksusowych srebrnych, a potem też miedzianych i mosiężnych samowarów. Produkowano je w Moskwie, ale najwięcej powstało ich w Tule, gdzie znajdowały się... zakłady zbrojeniowe. Wybór miejsca na założenie licznych fabryk samowarów był nieprzypadkowy. Tam właśnie dysponowano najnowocześniejszą technologią, którą wykorzystywano w jakże odmiennym celu – do wytwarzania sprzętu służącego parzeniu herbaty. Zofia miała też do dyspozycji dwa srebrne imbryki ważące razem nieco ponad 4 funty (390 zł) i dwa srebrne lichtarze (171 zł). Konieczne przy toalecie damy były też miednica i nalewka – również srebrne, ale dodatkowo „wyzłacane", o wadze ponad 3 funtów (351 zł) i duże lustro w srebrnych ramach (130 zł). Z posiadanych sreber, najcięższe i najcenniejsze okazały się dwa duże sześcienne pudełka ważące w sumie 5 funtów i warte według krasnostawskiego złotnika Leybowicza 492 zł. Całość sreber pani Cieszkowskiej wycenił on na 1952,20 zł.

[2] Cytowane fragmenty inwentarza pochodzą z wpisu w księdze hipotecznej dóbr Surhów, z zasobów Archiwum Państwowego w Zamościu (Hipoteka miasta Krasnegostawu i powiatu krasnostawskiego – sygnatura 88/197/0/1/208).

W inwentarzu uściślono, że zmarła nie pozostawiła przedmiotów z innych metali, porcelany ani szkła. Ponieważ trudno wyobrazić sobie codzienne życie rodziny bez porcelanowych i szklanych naczyń, prawdopodobnie nie były to przedmioty należące do odrębnego majątku Zofii, lecz pozyskane w trakcie małżeństwa lub – wobec wciąż trwających prac wykończeniowych w pałacu – jeszcze niezakupione. Zaznaczono natomiast elementy wyposażenia wnętrz – dywan duży strzyżony w tonacji niebieskiej (180 zł), a także dwa łóżka mahoniowe o wartości 100 zł. Oszacowano też wartość pościeli: czterech kołder, kołdry atłasowej adamaszkowej (40 zł), dwóch piernatów adamaszkowych (czyli materacy wypchanych pierzem – 73 zł) i dwóch pawilonów (zwieńczeń łóżka) – karmazynowego i muślinowego, odpowiednio za 30 i 15 zł. Zofia wniosła też w posagu dwie nowe wielkie poduszki i dwa materace safianowe. W jej zasobach była też bielizna stołowa, czyli obrusy i serwety. Obrus w kratkę i 18 serwet do kompletu oszacowano na 100 zł, a zbiór obrusów mniejszych z wzorem liści i 24 serwety – na 80 zł. Dwie serwety do kawy warte były z kolei 20 zł.

Najwięcej miejsca zajmuje w inwentarzu garderoba. Stroje i bielizna stanowiły panieńską wyprawę Zofii, a musiał to być duży zapas, aby młoda małżonka długo jeszcze nie musiała prosić męża o jego uzupełnienie. Na młodość Zofii przypada w modzie schyłkowy okres stylu zwanego „empire". Suknie empirowe były bardzo swobodne, delikatne, powiewne, o podwyższonym stanie i drapowane wraz z okrywającymi ramiona szalami na sposób „antyczny". A jednak od 1805 r. moda paryska, która była dla europejskich dam punktem odniesienia, zaczęła się zmieniać. Choć nadal utrzymał się podwyższony stan, sięgający pod piersi, to suknie stawały się coraz bardziej sztywne, w dolnej części przybierały kształt dzwonu z plisami, falbankami i innymi ozdobnymi szlakami, zmierzały w stronę zamknięcia kobiecej sylwetki w gorsecie[3]. Jak pisano w „L`Observateur des Modes": *Widzimy z przyjemnością, że wracają gorsety greckie […], których wdzięk jest wyżej wszelkiej pochwały*[4]. Jaka więc była garderoba Zofii? Paryskie katalogi z 1813 roku prezentowały ostatni „krzyk mody", ale przecież panieńskiej wyprawy nie kompletowano w jeden sezon: *Była to wszakże chwila, kiedy po największej skromności w ubiorze dziewicy, wydając ją w dom obcy, dla utrzymania sławy rodu własnego, okazania życzliwości dziecięciu i postawienia córki w tej zamożności, ażeby długi czas nie potrzebowała o nic prosić, opatrywano ją we wszystko z dostatkiem, okazałością, przepychem. Szczupły czasem bywał posag, obfita zawsze wyprawa; to ją przysposabiano od urodzenia prawie dziecięcia, to zwijano się na gwałt od chwili zezwolenia na małżeństwo*[5].

Suknie szyto z myślą o używaniu ich przez dłuższy czas – stroje młodej mężatki były zapewne wypadkową mody przemijającej i aktualnej oraz praktycznego podejścia matki Marianny z Kowalkowskich Kickiej. Po kilku latach od zamążpójścia Zofia szykowała się jednak do podróży do Florencji. Ponieważ damie nie wypadało prezentować się w tym „modnym" mieście jak prowincjuszka, z pewnością przygotowała garderobę, dostosowując ją do obowiązujących trendów. A te znane były dzięki rycinom z najbardziej popularnego francuskiego katalogu „Journal des Dames et des Modes", ukazującego się od 1797 r. Przypuszczalnie zamówiono suknie szyte według najnowszych wzorów lub przerobiono przy udziale zręcznego krawca. Inwentarz, niestety nie zawiera danych, które pozwalałyby zidentyfikować styl sukien. Najdroższe oszacowano na 30 zł, inne były warte 10, 15 lub 20 zł, a nieliczne (stare) – 6 zł.

Suknie wymienione przez taksatorów uszyte były z rozmaitych tkanin. To właśnie nazwy ówczesnych materiałów oraz ich kolor służyły do identyfikacji poszczególnych sztuk garderoby. W inwentarzu wymieniono: dwie suknie różowe i białą atłasową oraz dwie rypsowe – białą i różową.

[3] Więcej zob.: A. Banach: *O modzie XIX wieku.* Warszawa 1957, s. 198-200.

[4] Ibidem, s. 222.

[5] Ł. Gołębiowski: *Ubiory w Polszcze od najdawniejszych czasów aż do chwili obecnych sposobem dykcyonarza ułożone*. Warszawa 1830, s. 263, https://polona.pl/item/ubiory-w-polszcze-od-najdawniejszych-czasow-az-do-chwili-obecnych-sposobem-dykcyonarza,OTI5MDUzMjY/129/#item [dostęp: 5.11.2023].

Ryciny z francuskiego katalogu „Journal des Dames et des Modes" (1811 r. nr 54 i 59, 1815 r. nr 1 i 12, 1818 r. nr 27 i 45) ze zbiorów Bibliothèque Nationale de France (źródło: gallica.bnf.fr / BnF).

O ile tkanina nosząca nazwę „ryps" w charakterystyczne prążki znana jest także współcześnie, to zapis o dwu sukniach florensowych brzmi zagadkowo. Tymczasem „florens" to lekka, cienka tkanina jedwabna, jednobarwny rodzaj lekkiej tafty[6]. Zofia posiadała też suknie z aksamitu, na przykład

[6] Więcej o rodzajach tkanin zob.: I. Turnau: *Słownik ubiorów: tkaniny, wyroby pozatkackie, skóry, broń i klejnoty oraz barwy znane w Polsce od średniowiecza do początku XIX wieku*. Warszawa 1999.

obłożoną „kaszmirkiem" oraz w kolorach zielonym i czarnym. Czarna suknia była w wyprawie panny młodej niezbędna jako strój, który przydaje się w trakcie nieuniknionych żałobnych okoliczności. W inwentarzu wymieniono także suknie z cienkiego i popularnego perkalu oraz wełniane – merynosową i z kamlotu. W sumie do inwentarza wpisano 17 sukien i szlafroki. Oprócz tego 38 koszul dziennych i nocnych, pończochy „niciane" i bawełniane, 16 czepków, kaftaniki, spódnice perkalowe i haftowane do sukienki oraz chustki z tego materiału, falbany muślinowe, czy też... „gotowalniczek" związany z toaletą, zabiegami kosmetycznymi i fryzjerskimi. Bieliznę tę spisaną w dziale XIII oszacowano na 484 zł.

Nieodłączną częścią garderoby były też okrycia wierzchnie zebrane w dziale XI inwentarza, nazwanym „Futra" i wycenione na 334 zł. W dziale tym wymieniono „tołuby", czyli zimowe ciepłe okrycia – jak wynika z opisu – pokryte satyną lub racymorem (tkaniną jedwabną). Był wśród nich tołub watowany obłożony sobolami (o wartości 150 zł), racymorowy szafirowy, atłasowy pąsowy, a także „nelsonka" kaszmirkowa popielata – rodzaj okrycia nazwanego tak na cześć brytyjskiego admirała Horacego Nelsona.

Garderoba Zofii składała się też z szali i chustek, przy czym najdroższy był zielony szal turecki z ozdobnymi szlakami, wyceniony na 30 zł. W dziale XVI nazwanym „Różne rzeczy" znalazły się przedmioty nieujęte wcześniej, prawdopodobnie znajdujące się w dwóch kufrach wymienionych na końcu spisu – tańszym drewnianym i kilkukrotnie droższym podbitym skórą. Znaleziono w nich kupony tkanin, które służyć zapewne miały do szycia i upiększania sukien (głównie florens i muślin), a także 6 sztucznych kwiatów i paczkę z włóczkami wykorzystywanymi do haftu. W dziale tym ujęto też dwie czapki zimowe, pięć skórzanych białych rękawiczek i... jedną parę atłasowych trzewików.

Jak to możliwe, by inwentarz pośmiertny Zofii z Kickich Cieszkowskiej zawierał tylko jedną parę butów? Kiedy spojrzy się na spis strojów – zwłaszcza na zestaw ciepłych okryć – zrozumiałym się staje, że garderoba wyceniana przez taksatorów, to tylko część pozostawiona w kraju. We Florencji nie były potrzebne tołuby ani zimowe czapki, Zofia prawdopodobnie zabrała w podróż najlepsze suknie, obuwie, nakrycia głowy i rzeczy te nie wróciły już do Surhowa. Mimo że spis obejmuje znaczną liczbę pozycji, ewidentnie wielu przedmiotów brakuje. Nie można zrzucić tego na karb niedbalstwa spisujących inwentarz. Taksatorowie zarejestrowali nawet drobne i mało wartościowe pozycje, jak stara chustka warta 1 zł lub atłasowa salopa (peleryna) warta 2 zł, czy dwie małe muślinowe chusteczki za 15 groszy.

Przedmioty i stroje zabrane w podróż przepadły bezpowrotnie, być może sprzedano je, a uzyskane środki przeznaczono na pochówek we florenckim kościele Santa Croce? Gdy Zofia zmarła 17 sierpnia 1818 roku, do kraju przywieziono tylko jej serce i złożono je w surhowskiej świątyni, gdzie znajduje się do dziś za epitafium z czarnego marmuru.

Zobaczyć Florencję i… pamiętać

Pierwszą część opowieści o Zofii z Kickich Cieszkowskiej zapoczątkowała zagadka zaczerpnięta z kieszonkowego kalendarzyka na rok 1817: *Jestem uszczęśliwieniem lub goryczą życia…* Odpowiedź to – miłość. Szczęście, jakie było udziałem Pawła Cieszkowskiego zamieniło się w gorycz po śmierci ukochanej żony. Mały August najpierw stracił matkę, niedługo potem siostrę Gabrielę. Gorycz towarzyszyła mu też w dorosłym życiu – w 1861 r. po niedługo trwającym małżeństwie, zmarła jego żona Halina, a w rok później ojciec. Gdy z końcem lat 60. XIX wieku udał się w podróż na południe Europy, zawitał też do Florencji. Tam zaś skierował swoje kroki wprost do kościoła, w którym ponad pół wieku wcześniej pochowana została Zofia z Kickich Cieszkowska.

Nie wiadomo, w jakich okolicznościach narodził się pomysł na upamiętnienie matki i na zamówienie dla niej oryginalnej płyty nagrobnej. We Florencji mieszkał wówczas wrażliwy i bardzo zdolny artysta, a przy tym polski poeta romantyczny – Teofil Lenartowicz. On to podjął się wykonania projektu pomnika.

Lenartowicz wiódł we Florencji skromne życie, zamieszkując w niewielkim mieszkanku wraz z ukochaną żoną Zofią. Z opisu Marii Konopnickiej, która ich odwiedzała, dowiedzieć się można, że *Florenckie mieszkanie Lenartowicza skromne*

było i niemal ubogie, mówiło wszakże raczej o prostocie gustów poety, niżeli o braku. Stanowiły to mieszkanie dwa pokoje odsadzone od siebie na całą szerokość dużego domu […] pokoje te połączone były korytarzem niezbyt jasnym, który przechodząc słyszałeś świergot trzymanego tu w klatce szczyglika[7]. W jednym z pokoi mieściła się pracownia.

płaskorzeźby o wymiarach 180x87 cm – symbolicznych drzwi, odlanych w brązie techniką galwanoplastyczną. Zamierzano je wmontować w portal z naczółkiem ozdobionym popiersiem Zofii.

Prace nad projektem rozpoczęły się prawdopodobnie w 1870 r. – w roku osobistej tragedii Lenartowicza, kiedy to zmarła jego żona Zofia. Przygotowanie płaskorzeźby dla jej imienniczki,

Teofil Lenartowicz podczas pracy w swoim mieszkaniu we Florencji, fot. z 1890 r. ze zbiorów Biblioteki Narodowej w Warszawie (źródło: https://polona.pl/item-view/45df2409-ddf4-4d85-b7de-ca16105c6930?page=0).

Przy kościele Santa Croce we Florencji działała rada opiniująca projekty artystów przed umieszczeniem ich w świątyni. Lenartowicz najwyraźniej cieszył się tu szacunkiem, skoro dopuszczono go do pracy nad dziełem przeznaczonym do mieszczącej się w kościele kaplicy Salvatich. W zamyśle artysty miało ono przybrać charakter stało się swoistą terapią dla przygnębionego małżonka, o czym on sam pisał w listach do rodziny, nazywając swoją pracę modlitwą artysty. Wspólne doświadczenia zbliżyły Lenartowicza do Cieszkowskiego: *Kochany August, straciwszy także przed kilku laty małżonkę, najwyższy udział bierze w moich boleściach*[8]. W 1872 r. napisał do Józefa

[7] A. Krawczyk: *Poznać sztukmistrza: Teofil Lenartowicz o procesie rzeźbiarskim w korespondencji z przyjaciółmi.* „Quart" 2019, nr 4(54), s. 70.

[8] J. Kowalski: *Podróż do dwunastu drewnianych kościółków*; fot. M. Potocki, Murowana Goślina 2008, s. 232.

Ignacego Kraszewskiego: *O Drzwiach moich Włochy powiadają, że to będzie un lavoro stupendo!!! [wspaniała robota]. Pracowałem jak bestia przez miesiąc, retuszując od piątej z rana do 2-3 po południu, ale wyszło dobrze*[9]. Opis z listu najwyraźniej dotyczy końcowego etapu prac, przed przekazaniem formy do odlewni. Przygotowania nie trwały bowiem miesiąc, lecz o wiele dłużej. Szczególnym dowodem na postęp prac jest wzmianka w „Tygodniku Illustrowanym" z 1871 r. W artykule poświęconym grobom Polaków we Włoszech, autor o kaplicy Salvatich napisał, myląc imię: *W tej samej kaplicy spoczywają zwłoki Julii Cieszkowskiej, matki hr. Augusta, uczonego filozofa naszego. Miejsce to odznaczono dotąd tylko imieniem i nazwiskiem zmarłej; piękny jednak nadgrobek w kształcie drzwi grobowych, roboty Teofila Lenartowicza, z brązu się obecnie odlewa. I myśl, i wykonanie tych wrót prześliczne […]*[10]. W numerze tygodnika znalazła się też całostronicowa ilustracja wykonana techniką drzeworytu sztorcowego przez A. Choromańskiego. Na ilustracji anioły wyglądają mniej szczupło niż na oryginalnym odlewie z brązu wykonanym w warsztacie G. Pellasa, ale poszczególne elementy odzwierciedlono w miarę dokładnie.

Czy to znaczy, że Choromański był w pracowni artysty? Niekoniecznie. Ilustracja powstała bowiem na podstawie fotografii rozmiaru karty pocztowej, która została opublikowana we Florencji ok. 1870 r. Oczywiście, nie przedstawia ona odlewu z brązu, lecz projekt wykonany z gliny. To właśnie tę wersję – z bardziej masywnie wyglądającymi aniołami – Lenartowicz z takim zapamiętaniem retuszował, aby osiągnąć subtelny efekt końcowy.

Ostatecznie Drzwi nie od razu trafiły do kościoła Santa Croce. Wcześniej wysłano je jako dzieło sztuki na Wystawę Powszechną w Wiedniu, która była czynna przez kilka miesięcy 1873 r. Gdy okazało się, że nie dotarły na wystawę – zaginęły po drodze lub w Wiedniu – zapadła decyzja o wykonaniu drugiego odlewu, tylko w detalach

Drzwi Cieszkowskiej – drzeworyt sztorcowy A. Choromańskiego opublikowany w „Tygodniku Illustrowanym" 1871, t. VIII, nr 205 (ze zbiorów autorki).

różniącego się od pierwszej wersji (co wiązało się z uszkodzeniem formy). I znowu szczęście przeplotło się z goryczą. Nieszczęśliwie zagubione Drzwi, szczęśliwie się odnalazły i już pozostały poza Italią. W kościele Santa Croce zamontowano drugi odlew, podczas gdy ten pierwszy zdobył medal na wystawie w Wiedniu. Autor relacji z wystawy Agaton Giller tak opisywał udział w niej Lenartowicza: *mazowiecki lirnik […] przysłał na wystawę dwie prace w galwanoplastycznym odlewie. Są to drzwi do nagrobka matki Augusta Cieszkowskiego, równie głębokiego filozofa jak wielkiego obywatela, i głowa św. Jana Chrzciciela […]. Jedna i druga praca wielkiej jest piękności […]. Komisja przysięgłych znawców uchwaliła medal zasługi dla naszego poety za roboty rzeźbiarskie. W tęsknocie tułactwa zamienia on często lirę na dłuto. Jak z tamtej wydobywa cudowne tony, które serce łzami nadziei napełniają. […] Lenartowicz ceni wielce Włochy, ale kocha Polskę i dlatego każda jego praca jak i wszystkich podnioślejszym duchem obda-*

[9] Ibidem.

[10] T.J. Stecki: *Groby ziomków naszych we Włoszech*. „Tygodnik Illustrowany" 1871, t. VIII, nr 205, s. 266, https://bcul.lib.uni.lodz.pl/dlibra/publication/1558/edition/1215/content [dostęp: 5.11.2023].

Drzwi Cieszkowskiej – fotografia projektu Teofila Lenartowicza, Florencja ok. 1870 r. ze zbiorów Biblioteki Publicznej m.st. Warszawy (źródło: http://mbc.cyfrowemazowsze.pl/dlibra/docmetadata?id=79070&from=publication*).*

rzonych tułaczów, ma na celu głównie ojczyznę, jej sławę i jej dobro. Ci, którzy zbyt się przywiązali do obcej ziemi, są dla swojej straceni[11].

Podniosły ton relacji jest nieco zaburzony przez opublikowany w tej samej książce wykaz Polaków nagrodzonych medalami i dyplomami. Figuruje tam zapis: *Lenartowicz Teofil z Florencyi, za rzeźby w galwanoplastycznym odlewie otrzymał medal zasługi*[12]. Mazowiecki lirnik został jednak wymieniony nie wśród innych artystów, lecz w grupie siódmej, nazwanej „Przemysł metalowy". Sąsiaduje więc Lenartowicz z braćmi Kotkowskimi, wyróżnionymi za... gwoździe do maszyn. Umieszczenie jego nazwiska na stronie pełnej strzelb, szaf ogniotrwałych, garnków polerowanych, guzików, wanien i tkanin z drutów miedzianych – mimo szacunku dla przemysłowców i ich pracy – trąci jednak absurdem.

Pierwsza wersja Drzwi Cieszkowskiej trafiła też na Powszechną Wystawę Krajową we Lwowie w 1894 r. Płaskorzeźbę zamontowano w kościele w Wierzenicy znacznie później, gdy w odziedziczonym majątku gospodarował już młodszy syn Augusta Cieszkowskiego – August junior. Wmontowano ją w portal przygotowany na podobieństwo portalu florenckiego. W kościele Santa Croce wieńczy go popiersie Zofii, a w kościele św. Mikołaja – popiersie Augusta dłuta Antoniego Madeyskiego.

Mimo upływu lat w dziele wciąż czytelna jest koncepcja Lenartowicza. Pierwotnie inspiracji dostarczał mu jedynie traktat Cieszkowskiego zatytułowany „Ojcze-nasz", następnie zaś program rozwinął się w nieco innym kierunku. Na prawym skrzydle ponad wzburzonymi falami unosi się anioł śmierci zwrócony tyłem i symbolicznie zamykający Drzwi. Znajduje się tu również alegoria trzech cnót: Wiary, Nadziei i Miłości z przypisanymi im atrybutami oraz wąż oplatający gałąź. Po lewej stronie płaskorzeźby artysta umieścił anioła zmartwychwstania odwróconego w stronę patrzących i gestem jakby otwierającego wrota. W tej części wyrzeźbiono także wyspę symbolizującą czyściec, wschodzące słońce ponad spokojnymi wodami oceanu i główki aniołków. Skrzydła Drzwi rozdzielone są bordiurą ze scenami ilustrującymi Modlitwę Pańską. Na płaskorzeźbie wierzenickiej znajduje się dziewięć takich scen, a na florenckiej – osiem[13].

Artysta sam przyznał się do zmiany pierwotnego pomysłu w liście do Kraszewskiego: *Zrzuciłem cały Ojcze nasz i przerobiłem tak, że to teraz ha un garbo tutto differente [ma całkiem od-*

[11] A. Giller: *Polska na Wystawie Powszechnej w Wiedniu 1873 r.: listy Agatona Gillera, t. 2*. Lwów 1873, ss. 230-232, https://www.pbc.rzeszow.pl/dlibra/publication/9494/edition/8768/content?ref=desc [dostęp: 5.11.2023].

[12] Ibidem, s. 259.

[13] Więcej na temat symboliki Drzwi Cieszkowskiej zob.: J. Kowalski: *Podróż,* op. cit. ss. 230-240.

mienny wdzięk]. […] Do tego napisałem wiersze, które tak się podobały Augustowi, że je każe ryć w marmurze i złocić"[14]. Wiersz rzeczywiście utrwalono w kamiennym stopniu wiodącym do nagrobka Zofii w kościele Santa Croce:

Jeśli z miłością, wiarą i nadzieją
Zmarły opuszcza ten padół żałoby,
Na krótko anioł zawiera go w groby.
Zza wrót grobowych, kędy go posieją,
Po drugiej stronie tej żałosnej bramy
Jak dzieckiem przyszedł na przeciwną dolę.
Tak znów dzieciątkiem, inny a ten samy
Wybiega w niebo anielskie pacholę.
Ledwie mu zmysły anioł poprzesłania,
Już go wywozi drugi zmartwychwstania
Z błogą radością, że śmierć jest nam progiem
Pomiędzy światem doświadczeń a Bogiem[15].

Monika Nagowska

Pomnik nagrobny Zofii Cieszkowskiej w kościele Santa Croce we Florencji (fot. Maria Gratkowska Scarlini).

[14] Ibidem, s. 234.

[15] Ibidem.

Pomnik nagrobny Augusta Cieszkowskiego w kościele pw. św. Mikołaja w Wierzenicy (fot. Włodzimierz Buczyński).

Bibliografia

Banach A.: *O modzie XIX wieku*, Warszawa 1957.

Giller A.: *Polska na Wystawie Powszechnej w Wiedniu 1873 r.: listy Agatona Gillera, t. 2*. Lwów 1873, ss. 230-232, https://www.pbc.rzeszow.pl/dlibra/publication/9494/edition/8768/content?ref=desc.

Gołębiowski Ł.: *Ubiory w Polszcze od najdawniejszych czasów aż do chwili obecnych sposobem dykcyonarza ułożone przez Łukasza Gołębiowskiego*. Warszawa 1830, https://polona.pl/item/ubiory-w-polszcze-od-najdawniejszych-czasow-az-do-chwili-obecnych-sposobem-dykcyonarza,OTI5MDUzMjY/8/#info:metadata.

Kicińska U.: *Splendory domowe w staropolskich inwentarzach ruchomości*. „Kwartalnik Historii Kultury Materialnej" 2017, nr 65 (4), ss. 461-470.

Kowalski J.: *Podróż do dwunastu drewnianych kościółków*; fot. M. Potocki, Murowana Goślina 2008, s. 232.

Kowecka E.: *W salonie i w kuchni: Opowieść o kulturze materialnej pałaców i dworów polskich w XIX wieku*. Poznań 2016.

Krawczyk A.: *Poznać sztukmistrza: Teofil Lenartowicz o procesie rzeźbiarskim w korespondencji z przyjaciółmi*. „Quart" 2019, nr 4(54).

Legouvé G.: *Zalety kobiet. Poema pana Legouvé*, przeł. Jozef Kossakowski, Kraków 1813, s. 8, https://www.wbc.poznan.pl/dlibra/publication/126430/edition/139019/content.

Penkała A.: *Panieńskie ochędóstwo: kwestie posagowe i wienne w małżeństwach szlachty województwa krakowskiego w czasach saskich*. Kraków 2016.

Penkała-Jastrzębska A.: *Mit srebrnej łyżeczki? Przedmioty prestiżowe w szlacheckich inwentarzach majątkowych z ksiąg grodzkich województwa krakowskiego w czasach saskich*. „Kwartalnik Historyczny" 2020 nr 1, ss. 33-62.

Popiołek B.: *„Manelek dwie i pereł sznurów cztery": O szlacheckich inwentarzach posagowych i pośmiertnych z XVIII w*. „Annales Academiae Paedagogicae Cracoviensis. Studia Historica IV" 2005, fol. 28, ss. 166-173.

Stawiak-Ososińska M.: *Ponętna, uległa, akuratna: Ideał i wizerunek kobiety polskiej pierwszej połowy XIX wieku (w świetle ówczesnych poradników)*. Kraków 2010.

Stecki T.J.: *Groby ziomków naszych we Włoszech*. „Tygodnik Illustrowany" 1871, t. VIII, nr 205, s. 266, https://bcul.lib.uni.lodz.pl/dlibra/publication/1558/edition/1215/content.

Turnau I.: *Słownik ubiorów: tkaniny, wyroby pozatkackie, skóry, broń i klejnoty oraz barwy znane w Polsce od średniowiecza do początku XIX w*. Warszawa 1999.

Monika Nagowska ur. w 1967 r., absolwentka LO im. Władysława Jagiełły w Krasnymstawie oraz Wydziału Humanistycznego i Artystycznego UMCS. Nauczyciel bibliotekarz w Zespole Szkół CKR w Siennicy Różanej. W latach 2001-2011 wydała 41 numerów bibliotecznego informatora „Filigran". Zredagowała kilka uczniowskich tomików poetyckich i przeprowadziła korektę kilkunastu książek regionalnych twórców. Publikuje teksty poświęcone życiu i dokonaniom Augusta Cieszkowskiego. Od 2019 r. organizuje w swojej szkole Wojewódzki Konkurs Fotograficzny „Leśny album" jego imienia. Sekretarz redakcji Czasopisma społeczno-kulturalnego „Ziarno" (2013-2021), stały korespondent Czasopisma artystycznego „Nestor". Autorka książek: „Na szlaku edukacji czytelniczej i medialnej w szkołach ponadgimnazjalnych" (Warszawa 2006), „Nowa podstawa programowa z pomocą biblioteki szkolnej" (Warszawa 2010, 2011), „Zespół Szkół Centrum Kształcenia Rolniczego w Siennicy Różanej" (Siennica Różana 2014), „Nowa podstawa programowa z pomocą biblioteki szkoły ponadpodstawowej" (Warszawa 2018). Autorka tekstów w dziełach zbiorowych „Filozof twardo stąpający po ziemi. Początki rolniczej aktywności Augusta Cieszkowskiego w powiecie krasnostawskim" (Muzeum Narodowe Rolnictwa, 2020) i „U progu stulecia wielkich zmian. Kwestia włościańska w działalności Józefa Wybickiego" (Fundacja Zakłady Kórnickie, Muzeum Narodowe Rolnictwa, 2021). Obecnie pracuje nad biografią pt. „Mikołaj Sienicki i Rzeczpospolita jego czasów".

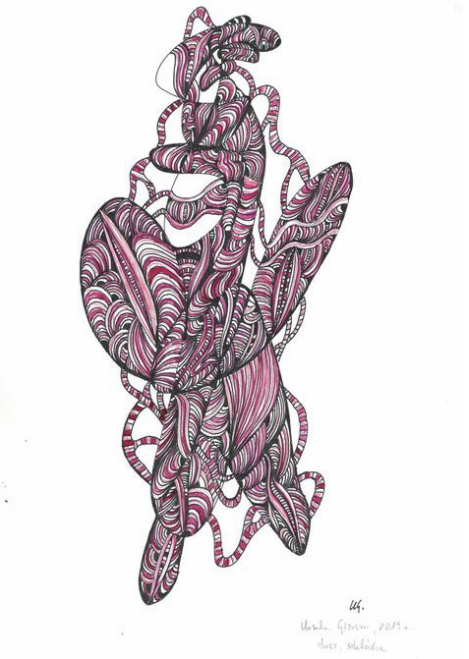

rys. Urszula Gierszon

Jacek Kiszczak

Budni h. Jastrzębiec. O ostatnich właścicielach majątku Borowica-Żulin

Ostatnimi właścicielami dóbr Borowica-Żulin do wybuchu II wojny światowej byli Nikodem Budny i jego syn Jan. 16 stycznia 1913 roku Ludwika z Krasińskich – późniejsza księżna Czartoryska odsprzedała całe dobra Nikodemowi Budnemu za sumę 744 000 rubli. W 1927 roku majątek przeszedł na własność Jana Budnego, który nabył go na drodze licytacji publicznej za kwotę 500 000 złp[1].

Budni wywodzili się z północnego Mazowsza. Pierwszym znanym z imienia i nazwiska przodkiem rodziny był Łukasz Budny, który w 1582 roku dziedziczył wieś Budne z przysiółkiem Sowięta w ziemi różańskiej. Budni uważani byli za drobną szlachtę mazowiecką tytułującą się herbem Jastrzębiec[2]. Sam herb inaczej zwany m.in. Acciper, Bolesta, Dazanki, Jastrząb, Jastrząbek czy Jastrzęby pochodzi z okresu dynastii Piastów i występował głównie na Mazowszu, ziemi krakowskiej, poznańskiej, sandomierskiej, lubelskiej i sieradzkiej, a aktem unii w Horodle w 1413 roku przeniesiony także na Litwę. Blazon, czyli formalny opis herbu przedstawia: *W polu błękitnym podkowa złota ocelami do góry, w niej krzyż kawalerski złoty, w klejnocie nad hełmem w koronie jastrząb ze złotymi dzwonkami u łap, trzymający w prawym szponie taką samą podkowę z krzyżem, jak na tarczy*[3].

Był to jeden z najpowszechniejszych używanych herbów w Koronie, tytułowało się nim ok. 1740 rodów szlacheckich, m.in. Boruccy, Jastrzębscy, Myszkowscy, Rzewuscy, Uchańscy, Wierzbiccy, Zagórscy czy Zborowscy. Istnieje kilka legend

Herb Jastrzębiec (źródło: http://www.wladcy.myslenice.net.pl/Polska/zalaczniki/herb%20Jastrzebiec.htm).

związanych z jego powstaniem. Najpopularniejsza z nich: *Podczas panowania Bolesława Chrobrego Łysą Górą, czyli obecnym Świętym Krzyżem, zawładnęli poganie. Korzystając z tego, że oblodzona góra była nie do zdobycia, bezkarnie urągali królewskim rycerzom, żądając, aby przynajmniej jeden z nich przyszedł bić się za Chrystusa. Usłyszał to rycerz Jastrzębczyk. Przyczepił do kopyt swojego konia wynalezione przez siebie podkowy, wdarł się na górę, pojmał jednego z pogan i przyprowadził go władcy. Innym rycerzom także rozdał podkowy i wtedy zdobycie pogańskiej fortecy nie było już trudne. Za swój czyn otrzymał herb z podkową i krzyżem, a dawny znak jastrzębia umieścił na hełmie*. Inna legenda mówi, *że przodkowie jego jeszcze w pogaństwie nosili w herbie samego tylko Jastrzębia. Atoli potem za czasów Bolesława Chrobrego króla, około roku 999, gdy Łysą Górę mil dwie od Bożęcina, którą teraz S. Krzyża zowią, poganie nieprzyjaciele opanowali i na niej jak w fortecy jakiej ubezpieczeni stojąc, z wojska się naszego urągali mówiąc: „Jednego z między siebie stawcie, który by za Chrystusa waszego chciał z którym z naszych na pojedynek wynijść". Usłyszawszy to rycerz jeden, Jastrzębczyk, żarliwością wiary i chwały boskiej wzruszony, wynalazł podkowy pod kopyta końskie, którymi konia podkowawszy, szczęśliwie się na Łysą Górę przedarł, tam z hardo przedtem natrząsającym się poganinem pojedynek stoczywszy, pojmał go i do króla przyprowadził. Innym nawet kawaleryi polskiej żołnierzom, podawszy ten sposób, gdy konie swoje podkowali, na górę śliską i lodem oblaną przebyli, nieprzyjaciela znieśli i zwyciężyli. W nagrodę przemysłu swego od tegoż króla wziął herbu swego*

[1] S. Rudnik, *Kościół pw. Przemienienia Pańskiego w Borowicy – wyjątkowa „perełka architektoniczna". Historia świątyni na tle dziejów wsi*, [w:] „Nasza wieś Borowica kroniko-historia" (red.) A. Domańska, W. Sikorzak, wyd. II, Borowica 2021, s. 31.

[2] https://dipp.info.pl/baza-dipp/lubelskie/powiat-lubelski/gmina-jastkow/palac-jastkow [dostęp: 26.09.2023].

[3] http://www.wladcy.myslenice.net.pl/Polska/zalaczniki/herb%20Jastrzebiec.htm [dostęp: 26.09.2023].

odmianę, że podkowę z krzyżem na tarczy mu złożono. Jastrzębia zaś na hełm wyniesiono[4].

W ziemi lubelskiej Budni zaistnieli w 2. połowie XIX wieku za sprawą Ignacego Bonawentury Budnego, ojca Nikodema Budnego. Ignacy urodził się w 1833 roku w Zgarzałowie koło Łomży. W 1860 roku poślubił Karolinę, córkę Piotra Morawskiego, która wniosła mu w posagu majątek Jastków koło Lublina. Małżeństwo doczekało się dwóch synów Józefata i Nikodema[5].

Ignacy Bonawentura Budny (źródło: Na większą chwałę bożą..., s. 12).

Ignacy stopniowo powiększał swój majątek na Lubelszczyźnie, m.in. nabył włość Zakrzów, Niemce i młyn na Kośminku w Lublinie. Po śmierci swojej żony w 1865 r. do końca życia (zm. 21.02.1917) pozostał wdowcem, poświęcając się swoim synom, których wychował na wzorcowych rolników. Wpoił w nich także głębokie przywiązanie do patriotyzmu i religii katolickiej[6]. Niewątpliwie przyczyniło się to do ukształtowania charakterów chłopców – Józefat był fundatorem kościoła parafialnego w Rejowcu, natomiast Nikodem – znanym i szanowanym przedsiębiorcą, społecznikiem i ziemianinem w XIX i 1. połowie XX w.

Nikodem Piotr Budny urodził się 15 września 1863 roku w Niemcach, w powiecie lubartowskim. Odebrał staranne wykształcenie, kończąc szkołę średnią we Włocławku i akademię rolniczą w Dublanach. Po ukończonych studiach objął od

[4] Tamże.

[5] *Na większą chwałę bożą. Stulecie parafii św. Ignacego Loyoli w Niemcach 1914-2014*, (red.) M. Choina, Z. Bernat i inni., Lublin 2014, s. 12.

[6] *Tamże.*, ss. 12-13.

ojca w zarząd majątek Jastków i Niemce w ziemi lubelskiej, następnie Zakrzów w ziemi krasnostawskiej[7]. Był także właścicielem majątku Borowica-Żulin, hotelu Victoria w Lublinie, posiadał udziały w Cukrowni „Rejowiec" i nieruchomości, m.in. w Sopocie[8]. Nikodem, jako ziemianin stojący u progu kariery życiowej, 24 października 1896 roku poślubił niespełna dwudziestoletnią Natalię Marię Popławską (nazywaną przez najbliższych „Tolą"), córkę Zygmunta Ludwika Fabiana i Wandy z Żylińskich z Łysołajów w powiecie lubelskim. Ślub odbył się w Biskupicach, a świadkami zostali kuzyn Nikodema Antoni Budny i brat Natalii Józef (aneks 1 i 2)[9].

Nikodem Piotr Budny (źródło: https://a.allegroimg.com/s1024/0ce3f7/b5d637494158b0fd8f76d1805f58).

Natalia z Nikodemem mogli się poznać na jednym z balów wydanych w Łysołajach, bądź w Stróży, która także należała do majątku Popławskich. Według współczesnych, odbywały się tam jedne z najwspanialszych zabaw tanecznych na Lubelszczyźnie. Jeden z takich balów organizowanych dla Natalii Popławskiej opisał pamiętnikarz Wojciech Doliński: *Zanim ruszono do tańca goście rozeszli się po parku i na mostek nad kanałem koło stawów. Nagle wyśmienita orkiestra braci Blumów z Zamościa zagrała walca i wszyscy, tam gdzie byli, zaczęli tańczyć – pośród drzew parkowych*

[7] J. Brożek, F. Chwalczewski, *Polski słownik biograficzny*, [dalej: PSB], (red.) W. Konopczyński, t. III, Kraków 1937, ss. 95-96, hasło: Budny Nikodem.

[8] A. Bąk-Pitucha, *Ziemiaństwo na Lubelszczyźnie w latach 1918-1939*, Lublin 2016, s. 49.

[9] https://dipp.info.pl/baza-dipp/lubelskie/powiat-lubelski/gmina-jastkow/palac-jastkow [dostęp: 19.10.2023].

i trawników, wśród kwietników pełnych róż, goździków i zapachu lewkonii zroszonych nocną rosą. Tańczono wszędzie wśród letniej nocy: w sali balowej pobliskiego dworu i na dworze, wśród drzew do samego rana[10].

Małżeństwo było udane, doczekali się trojga dzieci (aneks 5): Marty z Budnych Łosiowej (1898-1969), żony profesora KUL Jana Stanisława Łosia h. Dąbrowa (1890-1974), zatrudnionego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Warszawie; Jana Nepomucena Budnego (1899-1979); Marii Magdaleny Budnej (1906-1987), nazywanej pieszczotliwie „Bobo", żony podoficera marynarki wojennej Andrzeja Łosia h. Dąbrowa (1899-1962), która po ślubie w 1930 roku zamieszkała na stałe w Gdyni[11].

Marta z Budnych Łosiowa (źródło: Ziemianie polscy…, s. 36).

Nikodem Budny należał do znanych i szanowanych przedsiębiorców i społeczników na Lubelszczyźnie. Był członkiem i działał aktywnie w założonej 26 V 1907 roku przez Kazimierza Jaczewskiego Towarzystwie Biblioteki Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego (dalej: TBPL), która zgromadziła cenny księgozbiór etnografa, bibliofila i językoznawcy H. Łopacińskiego. TDPL dało początek Bibliotece Publicznej w Lublinie[12]. Wszyscy Budni, zarówno Nikodem, jego ojciec Ignacy, jak i brat Józefat byli żywo zainteresowani działalnością i powstaniem pierwszych cukrowni w Królestwie Polskim. Posiadali udziały w założonej w latach 90. XIX wieku cukrowni w Lublinie oraz byli inicjatorami powstania cukrowni i rafinerii przy stacji i drodze żelaznej Nadwiślańskiej w Rejowcu w 1898 roku. Gmach fabryczny, założono według planów Rossmana[13]. Nikodem Budny znany był także z dobroczynności. W 1907 roku utworzył fundusz stypendialny Centralnego Towarzystwa Rolniczego, ofiarowując na ten cel 50 000 rubli. Odsetki od tej sumy przeznaczono na nagrody dla młodych studentów opracowujących zagadnienia z dziedziny rolnictwa. Wsparł finansowo powstający 27 lipca 1918 roku Katolicki Uniwersytet Lubelski i znalazł się w gronie założycieli Muzeum Lubelskiego[14]. W okresie dwudziestolecia międzywojennego należał i wspierał finansowo założone 12 lutego 1815 roku Lubelskie Towarzystwo Dobroczynności, które zajmowało się wszelką działalnością charytatywną[15]. Dla Nikodema nieobca była także oświata. Zarówno on, jego ojciec i brat wspomagali budowę Szkoły Handlowej im. Augusta i Juliusza Vetterów w Lublinie (razem podarowali 3000 rubli). W 1905 roku pod patronatem Polskiej Macierzy Szkolnej założył i utrzymywał szkołę wraz z biblioteką i czytelnią w Jastkowie oraz wspomagał budowę Prywatnej Ośmioklasowej Filologicznej Szkoły Męskiej im. Stanisława Śliwińskiego w Lublinie (tzw. Szkoła Lubelska)[16]. W czerwcu 1918 roku, z inicjatywy m.in. Budnego został utworzony Bank Ziemi Polskiej w Lublinie, który miał na celu oddziaływać w duchu narodowym na interesy wschodnich kresów nowo powstającego państwa. Na początku działalności banku skupiono się na uregulowaniu spraw rolnych i organizacji pieniądza polskiego. Nikodem należał do ścisłego kierownictwa. Obok takich postaci, jak Aleksander Drucki-Lubecki z Bałtowa czy Witold hr. Łoś z Piotrowic, wchodził w skład Rady Nadzorczej[17]. Nikodem Bud-

[10] *Tamże*.

[11] T. Epsztein i inni. (red). *Ziemianie polscy XX wieku. Słownik Biograficzny*, cz. 11, Warszawa 2016, s. 36, hasło: Łosiowa Marta hr. z Budnych.

[12] E. Ścibor, *Pozytywista w działaniu – rzecz o Kazimierzu Jaczewskim, lubelskim lekarzu i społeczniku*, Bibliotekarz Lubelski, t. LXI, Lublin 2018, s. 18.

[13] J. Godlewski, *Przemysł cukrowniczy w Królestwie Polskim 1870-1914*, Białystok 2009, ss. 139, 141.

[14] *Polski słownik*…, dz. cyt., s. 96.

[15] http://lac.lublin.pl/res-sacra-miser-lubelskie-towarzystwo-dobroczynnosci-i-jego-charytatywna-dzialalnosc/ [dostęp: 23.10.2023].

[16] https://dipp.info.pl/baza-dipp/lubelskie/powiat-lubelski/gmina-jastkow/palac-jastkow [dostęp: 24.10.2023].

[17] *Bank Ziemi Polskiej w Lublinie*, reklama dwutygodnik

ny uważany był przez ówczesnych za dobrego ziemianina, gospodarza w swoim majątku. Dla swoich pracowników był wymagający, ale sprawiedliwy i życzliwy. Jego dobra były mądrze zarządzane i urządzone. Przykładem może służyć majątek w Jastkowie, który stanowił samowystarczalne i rentowne gospodarstwo będące wzorem dla chłopów i okolicznych ziemian. Potwierdzeniem wartości jego dokonań w dziedzinie uprawy i hodowli były wyróżnienia przyznane na Wystawie Rolniczo-Przemysłowej w Lublinie w 1901 roku. Wręczano mu medale srebrne za grupę uszlachetnionych koni półkrwi angielskiej, za uszlachetnione bydło rogate rasy oldenburskiej oraz wiele wyróżnień za prowadzenie owczarni i list pochwalny za groch pomarańczowy[18]. W 1925 roku w Jastkowie powstała Wytwórnia Win Owocowych, które produkowano w 12 gatunkach. Budny za produkcję win otrzymywał liczne nagrody Grand Prix na wystawach we Florencji (1929) oraz w Nicei i Mediolanie (1930)[19].

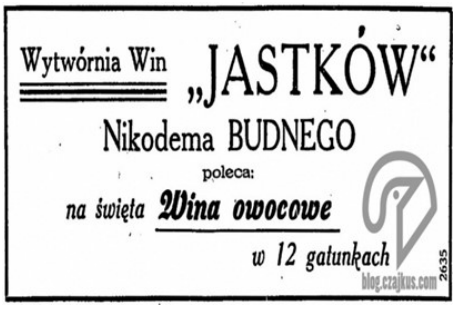

Wytwórnia Win „Jastków" Nikodema Budnego. Reklama z 1931 r. (źródło: http://blog.czajkus.com/wp-content/uploads/2014/01/1931-jastkow-wytwornia-winw.jpg [dostęp: 26.10.2023]).

Jako gorliwy katolik, wykonywał szereg przedsięwzięć w dziedzinie religijnej. Podejmował działania na rzecz wzniesienia kościoła filialnego w Jastkowie, czynnie angażował się w prace komitetu budowy kościoła w Garbowie, na początku XX wieku wybudował neogotycką kaplicę w Zakrzewie[20], posiadał czynny wkład w utworzeniu parafii w Borowicy czy ofiarował część swoich gruntów na budowę cmentarza parafialnego w Borowicy[21]. Nikodem realizował swoje pasje społeczne, gospodarcze, łącząc je z działaniami będącymi deklaracją głębokiego patriotyzmu. Po odzyskaniu niepodległości złożył na rzecz odrodzonej Polski 200 000 rubli. Wraz z żoną i bratem wspierał Towarzystwo Opieki nad Rodzinami Legionistów, w 1924 roku współorganizował zjazd Legionistów w Lublinie, a następnie wsparł finansowo budowę Domu Żołnierza w Lublinie w latach 1924-1927[22].

Nikodem Budny zmarł 17 czerwca 1934 roku w Jastkowie. Cały swój majątek zapisał na swoją żonę i dzieci (aneks 3 i 4). Pochowany został w kryptach rodzinnych kościoła w Niemcach[23].

Jan Nepomucen Budny urodził się 16 maja 1899 roku w Jastkowie. Był synem Nikodema Piotra Budnego i Natalii Marii Popławskiej[24]. Po swoim ojcu otrzymał dobra w Jastkowie (aneks 3), ponadto od 1927 roku był właścicielem majątku Borowica-Żulin.

Jan Nepomucen Budny (źródło: http://kalinowski.weebly.com/uploads/4/9/1/6/4916495/budnih.pdf).

„Przemysł i Handel Lubelski", wyd. II, nr 3-4, Lublin 1922, s. 17.

18 https://dipp.info.pl/baza-dipp/lubelskie/powiat-lubelski/gmina-jastkow/palac-jastkow [dostęp: 24.10.2023].

19 http://blog.czajkus.com/2014/01/18/gorzelnia-rektyfikacja-jastkow/ [dostęp: 26.10.2023].

20 *Tamże*.

21 P. Sawa, *Nasza wieś Borowica. Kroniko-historia*, [w:] „Nasza wieś Borowica kroniko-historia" (red.) TPB, wyd. I, 2020, s. 80; *Na większą chwałę*, s. 12.

22 K. Konefał, *III Zjazd Związku Legionistów Polskich 9-10 sierpnia 1924 roku w Lublinie*, „Roczniki Humanistyczne", t. L., z. 2, 2002, ss. 196, 198, 200.

23 *Ziemianie polscy*…, dz. cyt., s. 36.

24 *Tamże*.

O dzieciństwie i życiu Jana mało posiadamy wiadomości, w porównaniu do jego ojca. Znając życie i działalność Nikodema, pewne jest, że wpoił synowi swoje najważniejsze wartości postępowania, ideały: gospodarność, dobroczynność, roztropność, patriotyzm, religijność itd. Odebrać musiał staranne wykształcenie. Rządy nowego dziedzica przypadły na końcowe lata światowego kryzysu i następujący po nich okres umiarkowanego ożywienia gospodarczego w latach 1936-1939. Same początki samodzielnego gospodarowania nie były łatwe dla Jana, ponieważ kondycja finansowa odziedziczonych dóbr była w okresie globalnej zapaści, nadwyrężona i niekorzystna. W późniejszych latach Jan ustabilizował finansowo swoje dobra i nie borykał się już z poważniejszymi kłopotami[25]. Wiadomo, że w latach 20. i 30. XX wieku Jan Budny zasiadał obok swoich krewnych Antoniego Ludwika Budnego i Antoniego Budnego w głównym zarządzie cukrowni i rafinerii w Rejowcu[26].

Jan w swoim majątku Borowica-Żulin do 1939 roku posiadał dwór i obiekty fabryczno-inwentarskie, tj. krochmalnię, cztery studnie, młyn, dwie wozownie, stawy rybne, magazyn zbożowy, kuźnię czy warsztat[27]. W okresie II wojny światowej Budny utracił cały swój majątek. W maju 1940 roku Niemcy zajęli Jastków, a Żulin został przyjęty jako Liegenschaft[28], administrowany przez niejakiego Lunau[29]. Jan Nepomucen zmarł 20 grudnia 1979 roku i został pochowany, podobnie jak ojciec, w kryptach kościoła w Niemcach[30].

Podsumowując, Nikodem, Jan jak i cała rodzina Budnych poprzez swoją postawę, patriotyzm, religijność wpisała się na trwałe w dzieje społeczności lokalnej oraz w historię Lubelszczyzny, zajmując

[25] https://dipp.info.pl/baza-dipp/lubelskie/powiat-lubelski/gmina-jastkow/palac-jastkow [dostęp: 26.10.2023].

[26] https://kalinowski.weebly.com/uploads/4/9/1/6/4916495/cukrownia_rejowiec_-_wspomnienie.pdf [dostęp: 26.10.2023].

[27] http://kalinowski.weebly.com/uploads/4/9/1/6/4916495/budnih.pdf [dostęp: 26.10.2023].

[28] Posiadłość rolna w GG administrowana przez niemieckiego pełnomocnika.

[29] http://kalinowski.weebly.com/uploads/4/9/1/6/4916495/budnih.pdf [dostęp: 26.10.2023].

[30] *Ziemianie polscy*…, dz. cyt., s. 36.

przy tym poczesne miejsce w dziejach elity ziemiańskiej XX wieku.

Aneks 1
Akt metrykalny Nikodema Budnego

Według księgi metrykalnej parafii rzymskokatolickiej w Biskupicach z 1896 roku, aktu nr 50, Nikodem Piotr Budny, kawaler lat 32, syn Ignacego Bonawentury i Karoliny z Morawskich i Natalia Maria Popławska, panna lat 20, córka Zygmunta Ludwika Fabiana i Wandy z Żylińskich zawarli związek małżeński 24 X 1896 roku.

(Źródło: Archiwum Państwowe w Lublinie [dalej: APL] Archiwum Łosiów z Niemiec [dalej: AŁ], Akta metrykalne Nikodema Budnego, sygn. 342, k. 1).

Aneks 2
Akt metrykalny Nikodema Budnego
(tłum. z języka rosyjskiego)

Działo się w osadzie Biskupice 24 X 1896 roku o godzinie 11. Oświadczamy, że w obecności świadków Antoniego Budnego, właściciela majątku Bychawa, 40 lat, zamieszkałego w Bychawie, brata nowożeńca i Józefa Popławskiego, brata oblubienicy 23 lat, zamieszkałego w Łysołajach, zawarto związek małżeński między Nikodemem Piotrem Budnym, właścicielem majątku Jastków powiat lubelski, urodzonego i zamieszkałego w Jastkowie, synem Ignacego i Karoliny z Morawskich, małżonków Budnych, właścicieli majątku Niemce, tamże zamieszkałych i Natalią Marią Popławską, urodzoną i zamieszkałą przy ojcu we wsi Łysołaje, córką właściciela majątku Łysołaje Zygmunta Ludwika Fabiana i zmarłej Wandy z Żylińskich, małżonków Popławskich. Zgodność wypisu z dn. 20 VIII 1934 roku.

(Źródło: APL, AŁ, Akta metrykalne Nikodema Budnego, sygn. 342, k. 2).

Aneks 3
Testament Nikodema Budnego

Dobra moje Jastków, położone w powiecie Lubelskiem [...] przeznaczam na własność synowi

Janowi Nepomucenowi Budnemu, z zastrzeżeniem, iż żonie mojej Natalii z Popławskich Budnowej przysługiwać będzie dożywocie we dworze mieszkalnym w Jastkowie. Użytkowanie całego dworu wraz z urządzeniem przysługuje dożywotnio służbie Jej oraz Jej gościom. Syn Jan obowiązany jest dawać bezpłatnie pomoc gospodarczą dla porządkowania i utrzymania w dobrym stanie ogrodów, oraz dostarczyć bezpłatnie: opał, mąkę, kartofle, mleko i w ogóle wszelkie produkty z majątku potrzebne do prowadzenia kuchni osobistej i służby domowej, oraz karetę, wózek spacerowy, parę koni wyjazdowych, oraz pomieszczenie na samochód w garażu. Co do umeblowania i urządzeń domowych w Jastkowie, niniejszym stwierdzam, iż umeblowanie pokoju sypialnego, przyległej ubieralni, saloniku pod nazwą „Jakob", dwóch pokoi dawniej dziecinnych, umeblowanie i księgozbiór biblioteki, urządzenie kaplicy dworskiej, kilka portretów i obrazów, dywan w białym salonie, skrzynia ze srebrem, kilka sztuk srebra z bufetu w jadalnym pokoju, umeblowanie niebieskiego pokoju gościnnego, żółty adamaszkowy garnitur mebli z gościnnego, porcelana, pianino i sprzęty kuchenne stanowią własność mojej żony. [...] Córce mej Magdalenie hr. Łosiowej, przeznaczam na własność nieruchomość w m. Lublinie pod nazwą Hotel „Wiktoria" oznaczoną hipoteką Nr 851 wraz z całym inwentarzem, za wyłączeniem jedynie umeblowania i wszelkich przedmiotów, znajdujących się w zajmowanych przeze mnie i żonę moją w trzech pokojach hotelowych. Stwierdzam, iż rzeczy znajdujące się w tych pokojach stanowią własność żony mojej Natalii Budnowej. [...] Córce mej Marcie hr. Łosiowej tym testamentem nic nie przeznaczam, a to dlatego, iż za życia podarowałem Jej na poczet przyszłej schedy dobra ziemskie Niemce, położone w powiecie lubartowskim. [...] Nieruchomość położoną w Lublinie przy ul. Szpitalnej Nr 5 oznaczoną hipoteką Nr 1126 przeznaczam na własność żonie mojej Natalii z Popławskich Budnowej. [...] Brata mego Józefata serdecznie proszę, aby zechciał być opiekunem i doradcą dzieci moich.

Pisałem własnoręcznie 15 marca 1934 roku. Nikodem Budny.

Aneks 4
Wypis aktu zgonu Nikodema Budnego

Nikodem Budny zmarł 17 VI 1934 roku w Lublinie, ziemianin, lat 70 mający, urodzony w Niemcach powiat lubartowski, zamieszkały w Jastkowie.

(Źródło: APL, AŁ, Wypis aktu śmierci z 1934 roku, sygn. 342, k. 6).

Aneks 5
Zaświadczenie dotyczące schedy po Nikodemie Budnym

Zarząd Gminy w Jastkowie w dniu 22 czerwca 1934 roku zaświadcza, że po zmarłym 17 VI Nikodemie Budnym, właścicielu majątku Jastków, pozostali następujący spadkobiercy:

1. żona Natalia Budnowa, zamieszkała w majątku Jastków,
2. córka Marta zamężna za hr. Łosiem, zamieszkała w majątku Niemce,
3. syn Jan Budny, zamieszkały w majątku Żulin,
4. *córka Magdalena zamężna za hr. Łosiem, zamieszkała w Gdyni.*

(Źródło: APL, AŁ, Zaświadczenie, sygn. 342, k. 7).

Jacek Kiszczak

Jacek Kiszczak urodził się w Borowicy w 1991 r. Ukończył II LO im. Cypriana Kamila Norwida w Krasnymstawie i studia na Uniwersytecie Rzeszowskim. Tytuł magistra uzyskał w 2015 r., na podstawie rozprawy „Dzieje Krasnegostawu w średniowieczu i nowożytności w świetle źródeł historycznych i archeologicznych". Specjalizuje się w historii oraz archeologii średniowiecznej i nowożytnej historycznej ziemi chełmskiej i pogranicza polsko-ruskiego. Jest współautorem monografii o Borowicy i kilkudziesięciu artykułów naukowych o tematyce archeologicznej, historycznej i biograficznej. Uczestniczył czynnie w kilkunastu konferencjach naukowych w Krakowie, Lublinie i Rzeszowie, warsztatach archeologicznych we Wrocławiu i numizmatycznych w Toruniu. Obecnie pracuje w Podziemiach Kredowych w Chełmie.

Sławomir Braniewski

Parafia pw. Najświętszej Maryi Panny Bolesnej w Kuliku

Współczesny Kulik (niem. Kullick) to wieś położona w gminie Siedliszcze, w powiecie chełmskim, w województwie lubelskim, przy drodze wojewódzkiej nr 839 Rejowiec-Cyców w odległości ok. 7 km na północ od Siedliszcza. W Polsce istnieje jeszcze kilka wsi o tej samej nazwie, np. Kulik – osada w powiecie piskim, Kulik jako część wsi Ruskie Piaski w gminie Nielisz, a w przeszłości Kulik – folwark w powiecie nowogrodzkim czy Kulik – wieś w dawnym powiecie nowoaleksandryjskim, obecnie puławskim.

Wieś zlokalizowana jest na zróżnicowanym terenowo obszarze. Otoczona polami uprawnymi, ogrodami i położonymi w dolinach łąkami. Od południa i częściowo od zachodu do wsi przylega kompleks leśny, tzw. Las Kulicki. W środkowej części wsi znajduje się zabytkowy dwór z 3-hektarowym parkiem i kaplica rzymskokatolicka pw. NMP Królowej Polski, należąca do parafii w Olchowcu. Dawna drewniana cerkiew prawosławna i unicka usytuowana była w odległości ok. 200 m na północny zachód od dworu. Obecnie w miejscu tym znajduje się kilka nagrobków kamiennych, pozostałość po dawnym cmentarzu. Rosną tam trzy stare, pomnikowe dęby, z których największy ma ok. 6,5 m obwodu.

Etymologia nazwy miejscowości jest trudna do ustalenia. Prawdopodobnie pochodzi od gatunku dużego, brodzącego z rodziny bekasów ptaka. Dawniej był on gatunkiem łownym, obecnie chronionym. Istnieje kilka innych wersji jej pochodzenia. Według „Ksiąg Rodu Słowiańskiego" kulik to mięsopustna zabawa (daw. mięsopust to karnawał, a raczej jego trzy ostatnie dni). „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich" podaje kilka innych definicji tej nazwy, np. kulik to: 1. snop słomy, 2. matnia, środek niewodu, 3. pęk czystej słomy, złożony z sześciu snopów, 4. rozklepana z masłem mąka, dodawana na zagęszczenie sosów, 5. jarmuż. Według „Słownika gwar polskich" słowo kulik to: 1. laska albo kij sękaty, 2. kołki, które bartnik wbija do drzewa, 3. hak, 4. część pługa, 5. maczuga, szlaga, klepadło, 6. dół, jama, 7. żartobliwie głowa.

Kulik to wieś ciekawej historii. Odkrycia archeologiczne świadczą, że osadnictwo występowało tu już w neolicie. Badania archeologiczne zarejestrowały pozostałości dawnej osady i fragmenty cmentarzyska. Zabytkowy materiał zaliczono do kultury lubelsko-wołyńskiej, kultury pucharów lejkowatych i amfor kulistych[1].

Historia Kulika sięga XVI wieku. Pod taką nazwą znany jest od 1564 r.[2]. Pierwszymi wzmiankowanymi jego właścicielami była rodzina Wysockich z Wysokiego. W 1. poł. XVII wieku posiadali oni też prawa majątkowe do pobliskiej Mogielnicy. Przedstawiciel rodu, Łukasz Wysocki pełnił urząd pisarza ziemskiego lubelskiego.

Po nich właścicielami zostali Sługoccy, herbu Jastrzębiec. W 1724 r. Józef Sługocki, podczaszy chełmski, poseł ziemi chełmskiej na sejm pacyfikacyjny 1735 r. wydzierżawił część swojej wsi dziedzicznej – Kulik z dworkiem, chlewem i chłopami Krukiem i Szewczukiem. Chłopi ci mieli obowiązek odrobienia pańszczyzny końmi trzy dni w tygodniu. W archiwaliach z 1724 r. istnieje też zapis mówiący, że J. Sługocki pożyczył 1000 złp. od Antoniego Krzeczewskiego, a zastaw stanowił folwark z dworkiem w Kuliku.

Kolejnymi właścicielami Kulika była rodzina Romanowskich, herbu Bożawola. W 1742 r. Antoni Romanowski (stolnik winnicki), Krzysztof Romanowski (stolnik chełmski), Karol Romanowski i Tomasz Romanowski (podkomorzy chełmski) podzielili się majątkiem – Kulikiem, Mogielnicą i Olchowcem. Poddani kuliccy, którzy dostali się podkomorzemu chełmskiemu to: Anton Jakubiec, Petro Kozionoro, Waśko Konon, Michałko Grzesiuk, Miśko Jaszczuk, Petro Szewczuk, Michałko Lewczuk, Łukasz zięć Tymosza, Roman Wybaczuk, Maksym Suprun, Waśko Czuchraj, Stećko Radczuk, Maksym Kiec, Semen Ślepak, Chwedko Michaluk, Iwan Dobosz z Janem Konońcem, Jacko Szwiec z matką, Demko Rudzicki, Waśko Juszczuk i Maćko Kołodziej.

[1] E. Hander, *Materiały neolityczne z miejscowości Kulik, stan. 6, Gmina Siedliszcze, pow. chełmski*, „Sprawozdania Archeologiczne", T. 54, 2002.

[2] A. Wawryniuk, *Leksykon miejscowości powiatu chełmskiego*, wyd. Starostwo Powiatowe w Chełmie, s. 398.

W 1760 r. Kulik przechodzi w ręce rodziny Węgleńskich, herbu Szreniawa z krzyżem. W 1764 r. Wojciech Józef Longin Węgleński, *Podstoli Ziemi Buskiey Pułkownik Husaryi Buławy Poll Korony Miączyński y Starosta Dóbr Siedliszcz cum atlineru Mogielnicy, Kulika, Bezku, y Dzierążni Dziedzic*, kasztelan chełmski uposaża cerkiew w Kuliku. Z Prezenty wystawionej przez niego 7 sierpnia 1764 r. wynika, że W.J.L. Węgleński rekomenduje Pawła Słowickiego, kleryka na parocha parafii kulickiej. Jego syn Antoni Leopold Węgleński, w latach 1769-1795 był starostą chełmskim i sędzią pokoju powiatu chełmskiego. W 1794 r. brał czynny udział w insurekcji kościuszkowskiej. To z jego inicjatywy na początku lat 90. XVIII wieku wybudowano kaplicę w Dobromyśli.

W 1830 r. właścicielami Kulika staje się rodzina Piotrowskich (1778-1856), herbu Awdaniec. Błażej Piotrowski, oprócz Kulika był dziedzicem Fajsławic (1779), Brzeźnicy Bychawskiej (1823-1833) oraz dzierżawcą folwarku Domaszewnickiego. W 1814 pełnił funkcję kapitana wojsk polskich Księstwa Warszawskiego.

Po jego śmierci majątek przejął Kalikst Łaski, herbu Korab. Nabył go za sumę 195 750 złp. Był ożeniony z Józefą (z d. Domańską). Oprócz Kulika, pełnił funkcję komisarza Andrzejowa i Wytyczna. Następnie, w 1870 r., w drodze licytacji majątek nabył Piotr Załuski ożeniony z Emilią córką Kaliksta Łaskiego. Przy okazji licytacji zapisano, że znajduje się tu dwór drewniany, pokryty gontem w stanie dobrym. Wymienia się również inne zabudowania dworskie. Po powstaniu styczniowym 1863-1864 władze carskie, by odciągnąć chłopów od powstania, przystąpiły do uwłaszczenia ziemi dworskiej. W Kuliku przystąpiono do wymierzania gruntów. Powstała „Tabela likwidacyjna" zawierająca nazwiska chłopów pańszczyźnianych, którzy na podstawie manifestu cara Aleksandra II Oswobodziciela z 19 lutego (2 marca) 1864 r. otrzymali ziemię na własność. 40 chłopów otrzymało po 25 morgów ziemi. Tuż przed 1890 r. Henryk Eugeniusz Załuski wybudował dwór murowany usytuowany na północny wschód od dworu drewnianego.

W 1930 r. Majątek ziemski należał do Heleny i Henryka Załuskich. H. Załuski był ziemianinem, posiadał 844 ha ziemi. Był też hodowcą koni. Jego hodowla istniała do końca lat 20. XX wieku. W 1913 r. był członkiem Zarządu i Sekcji Lubelskiego Towarzystwa Rolniczego. W okresie międzywojennym należał również do Związku Hodowców Lubelskiego Konia Szlachetnego, który organizował corocznie wystawy koni w Lublinie, początkowo dla hodowców z Lubelszczyzny, a od 1937 – ogólnopolskie. Był współorganizatorem szkoły w Cycowie. Kulik w rękach Załuskich przetrwał do 1944 r.

Celem niniejszego artykułu jest przedstawienie dziejów parafii unickiej pw. Najświętszej Maryi Panny Bolesnej w Kuliku. Podstawę niniejszego opracowania stanowią akta wizytacji kanonicznych i dziekańskich dekanatu lubelskiego, krasnostawskiego i siedliskiego. Pierwszą odnotowaną jest wizytacja przeprowadzona 10 marca 1774 roku przez Faustyna Kaubę. Kolejną wizytację przeprowadził w 1779 roku Julian Szporing ZSBW[3], doktor filozofii „viceregens y Proffesor" Seminarium Diecezjalnego w Chełmie, następnie w 1788 roku Olimpiusz Zajkowski ZSBW, rektor Seminarium Diecezjalnego w Chełmie. Duże znaczenie w zakresie określenia stanu materialnego parafii w Kuliku miała wizytacja przeprowadzona 6 lutego 1793 roku przez ks. Teodora Połuchtowicza, plebana rateńskiego.

Parafia unicka pw. Najświętszej Maryi Panny Bolesnej w Kuliku powstała 1 sierpnia 1764 roku. Jej fundatorem był Wojciech Józef Longin Węgleński. W archiwum Chełmskiego Konsystorza Greckokatolickiego znajduje się akt erekcyjny nowo powstałej parafii oraz dokument typu *prezent*. Akt erekcyjny to dokument rozpoczynający inicjatywę założenia kościoła. Zanotowano m.in. nazwisko fundatora, wielkość uposażenia parafii i w ziemię, zasięg terytorialny świątyni i obowiązki proboszcza. Akt erekcyjny nakładał na kolatora obowiązek utrzymania parocha, jego rodziny i osób pomagających w utrzymaniu parafii i diaka, organisty oraz parobków. W prezencie wystawionej przez W.J.L. Węgleńskiego 7 sierpnia 1764 r. kolator rekomenduje „Jaśnie Wielmożnemu IMC Xiędzu Maxymilianowi Ryle Biskupowi Chełmskie-

[3] Zakon Bazyliański św. Jozafata, łac. *Ordo Basilianus Sancti Joaphat*. W Polsce funkcjonuje inna nazwa – Zakon Świętego Bazylego Wielkiego bądź po prostu bazylianie. Zakon dawniej używał skrótu ZSBW, obecnie OSBM.

mu y Bełskiemu Dobrodziejowi" pobożnego Pawła Słowickiego kleryka na urząd proboszcza. Oba dokumenty osobiście zostały podpisany przez wystawcę.

Parafia w Kuliku wydzielona została z parafii św. Mikołaja w Mogielnicy. Zajmowała obszar ok. 43 km^2. Od wschodu graniczyła z parafią w Olchowcu, od południa z parafią Mogielnica, od południa i zachodu z parafią w Siedliszczu, od północy z parafiami Cyców i Syczyn. Pod względem administracji kościelnej parafia kulicka do 1795 roku należała do dekanatu krasnostawskiego, a w latach 1795–1816 była częścią dekanatu siedliskiego, a po jego rozwiązaniu weszła do dekanatu lubelskiego, następnie po 1820 roku ponownie do dekanatu krasnostawskiego. W skład jej okręgu parafialnego, oprócz Kulika, wchodziła Dobromyśl. W wyniku reorganizacji dekanatu siedliskiego w 1802 r. Dobromyśl weszła do parafii w Mogielnicy.

W 1788 r. parafia liczyła ok. 180 wiernych (120 zdolnych do spowiedzi i 60 niezdolnych). W kolejnych latach liczba parafian wyniosła: 1796 r. – 181, 1802 r. – 182, 1807 r. - 230, 1811 r. – 210. Byli to głównie okoliczni chłopi – Polacy i Rusini. Węgleńscy i okoliczna szlachta należeli do parafii rzymskokatolickiej w Pawłowie i Olchowcu. Źródło z 1793 roku podaje, że parochianie kuliccy znają naukę chrześcijańską, cztery razy w ciągu roku spowiadają się i przyjmują komunię św., nie ma między nimi zgorszenia ani niechęci, ani zabobonów, ani opuszczonych. Systematycznie informują swojego proboszcza o osobach chorych, o nowo narodzonych dzieciach. Swojego kapłana kochają i poważają, w zamian „od tegoż żadnej krzywdy nie doznają ani nie są pociągani do opłaty za udzielanie sakramentów św.". Kulickie kobiety, które zwykle wzywa się do odbierania dzieci, czynią to i chętnie uczestniczą w porodach. W razie nagłej, uzasadnionej potrzeby, potrafią udzielić sakramentu chrztu św.

Uposażenie kulickiej parafii stanowiła dziesięcina snopowa, jak też zapłata w pieniądzu wypłacana przez kolatora parafii. Stanowił o tym *Fundusz Oryginalny Cerkwi Kulickiey iest od JWWo Woyciecha Węgleńskiego Podstolego Ziemi Buskiey opisujący Grunta, Łąki, Ogrody i Lłd: Poł: 24 corocznie z Arędy Kulickiey opłacać się maiące Wu Parochowi, Ru 1764 Dnia 1 Sierpnia uczynioney a od JWWo JXq Maksymiliana Ryły Biskupa podtenczas Chełł: Ru tego Dnia 16 Sierpnia w Chełł: Rekoqnoskowany i approbowany, a uczyniony pod warunkiem odprawienia Mszy S. iedney w miesiąc, którey obligacji WX Paroch teraźnieyszy nie odbywa*. Proboszcz kulicki miał do dyspozycji kilka kawałków pola, łąk i ogrodów. Były to:

– pole Barwińskim nazwane przy cerkwi, zaczynało się od drogi, która biegła za samym płotem przy plebanii, a ciągnęło się do łąki Muchania. Znajdowało się pomiędzy miedzami, z jednej strony pola Żydowskiego, a z drugiej Bazylego Prystupy. Na polu tym wysiewało się 8 korców zboża miary królewskiej,

– przy tym Polu znajdowała się łąka (na Kosarzów 18),

– pole pod wsią „za zagumienkami czyli za zapłociem Dworskim" przy Łanie Dworskim, nazywane Pułłankiem Rudzików. Ciągnie się od dworu do granicy stręczyńskiej, między miedzami z jednej strony Pańskiego Łanu, z drugiej Jana Jędruszczuka. Wysiewa się na nim 5 i pół korca zboża miary królewskiej,

– pole po wschodniej stronie wsi w kierunku Olchowca, zaczyna się od granicy Mogilnickiej, a kończy się przy chłopskich łąkach. Pole „ma dosyć zarośli", znajduje się między miedzami z jednej strony Pola Pańskiego z drugiej Mikyty Prystupy, Wysiewa się na nim 5 i pół korca zboża miary królewskiej,

– ogród przy plebanii,

– pole „Barwińskie" wysiewa się 8 korców,

– łąka przy polu „Barwińskie", na Kosarzów 18,

– pole „Półłanek Rudzików", wysiewa się 5 i pół ćwierci korca,

– pole zwane „Ku Olchowcu" wysiewa się 5 i pół ćwierci korca.

Ponadto dochodziły różnego rodzaju wolności, np. „wolne warzenie piwa, kurzenie gorzałki na własną domową potrzebę, wolny wyrąb w lasach do tychże dóbr należących".

Ufundowana przez W.J.L. Węgleńskiego cerkiew położona była 200 m na zachód od dworu na niewielkim wzniesieniu. Była to budowla drewniana, opatrzona dobrym dachem, kryta gontem. W dachu nad nawą umieszczono wieżyczkę. Dzwonnica była połączona z głównym budynkiem świątyni i posiadała dwa dzwony. W ścianach za-

montowano cztery drewniane okna, czworo drzwi „na hakach żelaznych roboty stolarskiej, z których dwoie z zamkami wewnętrznymi a trzecie z kłódką wiszącą". Elementem składowym podłogi była posadzka. Wewnątrz cerkiew posiadała trzy ołtarze – główny i dwa boczne. W ołtarzu głównym umieszczono obraz Najświętszej Maryi Panny Bolesnej „roboty stolarskiey częścią malowany, częścią posrebrzany". W bocznych znajdowały się obrazy św. Bazylego i św. Mikołaja. Do wyposażenia kulickiej cerkwi należały szaty, naczynia i księgi liturgiczne:

1.szaty: materiałowy w kwiaty z kapą zieloną z rekwizytami, gredyturowy (z ciężkiego jedwabiu francuskiego) czerwony, atłasowy w paski białe obłożony galonkiem srebrnym z białymi rekwizytami, alba z białego płótna, humerał, czyli chusta z tkaniny lnianej okrywająca szyję i ramiona, dwa korporały (lniane, kwadratowe obrusy, które podkłada się pod kielich i patenę), pasek, komża i antymis (jedwabna chusta poświęcona przez biskupa), obrusy i inna bielizna w ilości 7 sztuk,

2.naczynia: cyborium (do przechowywania sakramentu św.) srebrna puszka na komunikanty wykonana z tombaku o podstawie pozłacanej, cynowe naczynie do przechowywania krzyżma, kielich z pateną i łyżeczką wewnątrz pozłacane, monstrancja srebrna cała pozłacana, trybularz mosiężny,

3.księgi: Mszał Poczaiowski, Tryod cwitna i postna, Oktoich, Trebnik Poczajowski, wszystkie drukowane. Są tylko w papier obszyte bez żadnej oprawy „mquarta minori, czysto iednak i przyzwoitą Aryngą zapisywane". Teologia moralna albo do obyczajów z ciągnącą się ks. Horodelskiego, Teologia moralna wraz z dogmatyczną i spekulatywną złączoną pod tytułem „Hasło zbawienne ks. Szczurowieckiego", książka medytacyjna ks. Rugierego.

Ponadto w skład wyposażenia cerkwi wchodziły dwie czerwone chorągwie z obrazami, obraz procesjonalny, krzyż procesjonalny z Pasją, krzyż z Pasją i sedesem cynowy, dwa drewniane krzyże, dwa cynowe lichtarze i 9 par drewnianych. Wszystkie te intensylia, czyli przedmioty do sprawowania czynności religijnych były „należytą formą zrobione i przystoynie za Kązerwowane".

Oprócz tradycyjnych niedzielnych i codziennych mszy św., około wschodu słońca odmawiano liturgie tzw. jutrzni. Adoracja Najświętszego Sakramentu, według staropolskiego obowiązku nabożeństw w porze zimowej odbywała się co czwartą niedzielę, w pozostałym okresie – co trzecią. Podczas wystawienia Najświętszego Sakramentu zapalano 12 świec. Każdego miesiąca paroch zobowiązany był do odprawienia jednej mszy św. w intencji kolatora parafii. Dla uczczenia cierpień Najświętszej Maryi Panny, dwa razy w roku obchodzono święta, w piątek przed Niedzielą Palmową oraz 15 września. 15 września był dniem odpustu parafialnego.

W 1827 r. zostało ustanowione bractwo – stowarzyszanie wiernych świeckich Kościoła unickiego. W 1833 r. do bractwa należały 82 osoby. Pełniło ważną rolę w życiu religijnym i społecznym mieszkańców Kulika. Znacznie przyczyniło się do ukształtowania ich życia religijnego, pogłębienia wewnętrznej pobożności i podniesienia poziomu moralnego.

22 czerwca 1850 r., czyli po prawie 80 latach użytkowania świątyni, przystąpiono do remontu zabudowań parafialnych oraz nowych inwestycji – budowy stodoły, spichlerza oraz innych zabudowań inwentarskich. W tym celu Komisja Rządowa Spraw Wewnętrznych Obrządku Greckounickiego wystosowała do Rządu Gubernialnego pismo „kosztorys na reperację kościoła i budynku gospodarczego parafii". Obejmował następujące pozycje:

1. na reperację kościoła – 191 rubli 94 kopiejki,
2. na urządzenie ikonostasu – 218 rub., 80 kop.,
3. na reperację plebani – 88 rub., 25 ½ kop.,
4. na pobudowanie stodoły i spichlerza 203 rub., 22½ kop.,
5. na budynek ekonomiczno-inwentarski – 233 rub., 15½ kop.

Istotną rolę w życiu społeczności parafii kulickiej odegrali księża. Podstawowym ich zadaniem było spełnianie powinności religijnych wobec wiernych. Sprawowali niedzielne msze św., a na tygodniu jutrznie i nieszpory. Do ich obowiązków należało też udzielanie sakramentów, nawiedzanie chorych, opieka nad cerkwią i mieniem parafialnym. Ponadto prowadzili oni księgi parafialne: chrztów, ślubów i pogrzebów. Niestety, w źródłach nie ma zbyt wielu informacji mówiących o pracy duszpasterskiej w parafii w Kuliku. Pierwsza wzmianka o kapłanie pochodzi z 1764 r., kiedy to W.J.L. Węgleński rekomenduje na parocha (proboszcza)

P. Słowickiego, znanego z „z doskonałości w nauce i z pobożnego życia".

Po nim obowiązki proboszcza przejął Mateusz Ulanicki, ur. 10 listopada 1760 r. w Dubience. Uczęszczał do kolegium o.o. Pijarów w Chełmie. Następnie ukończył Chełmskie Seminarium Diecezjalne. Święcenia kapłańskie przyjął 11 kwietnia 1781 r. W Kuliku pracował do 25 września 1837 r., kiedy to ze względu na zły stan zdrowia zrezygnował z urzędu. Zmarł 22 listopada 1840 r. Ze źródeł wiadomo, że pełnił też urząd wicedziekana dekanatu lubelskiego.

W 1837 r. administratorem parafii został ks. Onufry Ulanicki. W latach 1813-1842 był też administratorem parafii w Mogielnicy i w Siedliszczu. Na stałe mieszkał przy cerkwi w Mogielnicy, a swoją posługę kapłańską pełnił „z doskoku". Zmarł 6 lipca 1842 r.

W 1847 r. administratorem parafii kulickiej został Jan Bielawski (ur. 1815). Urząd pełnił do 1857 r., kiedy to został proboszczem w Kodeńcu. W latach 1847-1857 był też administratorem parafii w Mogielnicy i w Siedliszczu. Ks. Bielawskiemu zależało na połączeniu parafii. „Skoncentrowanie parafiów Mogielnickiej, Kulickiej i Bezkiej w jedną we wsi Mogielnicy, jako punkcie środkowym będzie dogodnem dla parafiów, a połączenie trzech oddzielnych Funduszów z zaznaczeniem ogrodów, pól i łąk przy cerkwi w Mogielnicy mogłoby polepszyć byt proboszcza i zabezpieczyć odpowiednie jego utrzymanie" opiniował do konsystorza greckokatolickiego.

W latach 1858-1875 urząd administratora pełnił Teodozy Budziłłowicz (ur. 1833), syn ks. Jana Budziłłowicza, proboszcza w Koroszczynie. W 1859 r. doprowadził on do połączenia parafii w Siedliszczu i w Chojeńcu. W 1875 roku został proboszczem (popem) parafii prawosławnej w Siedliszczu.

Na zakończenie warto odnotować fakt, że parafia kulicka nie była duża. W początkowym okresie tworzyły ją zaledwie dwie miejscowości, a po 1802 r. – jedna. W początkowym okresie liczyła 180 wiernych, a w późniejszym niewiele ponad 200. W ciągu 111 lat funkcjonowania parafii posługę kapłańską pełniło przynajmniej dwóch proboszczów i trzech administratorów. W źródłach nie odnotowano wikariusza. W 1875 r. parafia

w Kuliku została wcielona do Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego.

Sławomir Braniewski

Sławomir Braniewski – regionalista, społecznik, radny i działacz samorządowy gminy Siedliszcze, nauczyciel oraz dyrektor szkoły. Absolwent Wydziału Pedagogiki UMCS oraz podyplomowych studiów w zakresie informatyki. Od roku 1990 przez kilkanaście lat administrator gminnych, parafialnych i szkolnych witryn internetowych. Propaguje turystykę górską oraz jest organizatorem wielu szczególnie zagranicznych wycieczek i pielgrzymek. Redaktor naczelny (1999-2008) „Echa Częstochowskiej Pani" – kwartalnika wydawanego przez Parafię NMP w Siedliszczu (dostępny na stronie Chełmskiej Biblioteki Cyfrowej). Autor opracowań naukowych i książek. Artykuły często dotyczące dziejów kościoła unickiego publikował w „Roczniku Lubelskim", „Roczniku Chełmskim", „Gazecie Sawinian", „Głosie Pawłowa", „Merkuriuszu Łęczyńskim" i „Czasopiśmie artystycznym Nestor". Aktualnie na Facebooku prowadzi witryny „Siedliszcze – wspomnienia mieszkańców" oraz „Siedliszcze i okolice".

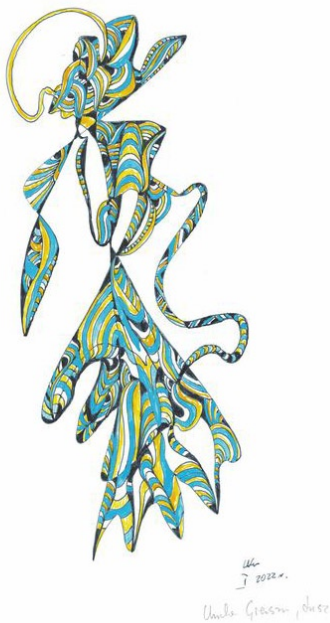

rys. Urszula Gierszon

Eryk Zywert

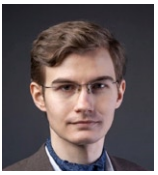

Krasnostawskie perypetie Stanisława Srzednickiego

Fot. Maciej Andrzejewski UŁ.

Do Krasnegostawu Stanisław Srzednicki przeprowadził się w październiku1862 r., by objąć swój pierwszy etat w służbie sądownictwa Królestwa Polskiego, wówczas jeszcze niesilnie zrusyfikowanego, jakim była posada pisarza w tutejszym Sądzie Pokoju. Nominację tę uzyskał zrządzeniem zwierzchności, z chęci uniknięcia przymusowego poboru wojskowego. Z miastem nie łączyło go za wiele. Właściwie było mu całkiem obce. Czuł się w nim jednak na tyle dobrze, że pozostał w nim do maja 1871 r., kiedy został awansowany asesorem Sądu Kryminalnego w Lublinie.

Stanisław Pomian-Srzednicki, rys. Franciszek Gnyp, węgiel i kreda,1913.

Stanisław Srzednicki h. Pomian urodził się 8 maja 1840 r. w Brańszczyku na Kurpiowszczyźnie, gdzie spędził dzieciństwo i wczesną młodość. W wieku 3 lat osierocony przez matkę, a w 3 lata później także przez ojca, dostał się wraz ze starszym bratem w opiekę wuja, ks. kan. Bonifacego Ostrzykowskiego. Ten z pomocą swego brata Benedykta, kształcił młodego Srzednickiego w elitarnej szkole średniej – Instytucie Szlacheckim w Warszawie, a od 1856 r. na zagranicznych stu-

diach prawniczych, początkowo na uniwersytecie w Moskwie, a w ostatnim roku – w Petersburgu. Po powrocie do Królestwa Srzednicki rozpoczął obowiązkową dwuletnią aplikację sądową w sądach warszawskich. Jej zwieńczeniem była właśnie nominacja na urząd w Krasnymstawie.

O Krasnymstawie widzianym oczami Stanisława Srzednickiego nie mówi się zbyt wiele. Niesłusznie, bo tego dziewięciolecia nie sposób wymazać ani z dziejów miasta, ani z życiorysu sędziego. W nim przecież stawiał swe pierwsze dorosłe kroki, oddzielony od nadbużańskiego krewniactwa, tu wykonywał obowiązki sądowe i angażował się na niwie dobroczynnej. To, czego próbował tu – w Krasnymstawie, zostało z nim na zawsze. Z tego doświadczenia korzystał, służąc sądownictwu w Lublinie, Warszawie i w Piotrkowie. Ich echo pobrzmiewa często w linii orzeczniczej i towarzyszącej jej argumentacji, którą wypracował jako Pierwszy Prezes Sądu Najwyższego. Opis Krasnegostawu i okolic z połowy XIX wieku, relacje wydarzeń i barwne życiorysy miejscowych elit, ale nie tylko, znajdujemy na kartach pamiętnika Stanisława Srzednickiego, który z inicjatywy jego praprawnuczki Agnieszki Battelli po ponad 100 latach doczekał się publikacji, a ostatnio nawet wznowienia. Przypomnijmy tylko niektóre relacje, jakie związały go z tą ziemią. W Krasnymstawie Stanisław Srzednicki poznał Bronisławę – siostrę Karola Krassowskiego, swojego kolegi z instytuckiej ławy, która po wielu umizgach, w 1869 r. została jego żoną, a następnie matką dwóch córek: najstarszej Marii urodzonej w 1870 r. w Krasnymstawie i Janiny, która przyszła na świat w 1874 r. Teść Srzednickiego – Paweł Krassowski był urzędnikiem intendentury w funkcji nadzorcy składów wojskowych na kilka powiatów i cieszył się poważaniem wśród miejscowych.

Na kartach pamiętnika Srzednicki odsłania pikanterię krasnostawskiego życia towarzyskiego na wielu płaszczyznach, np. wyjaśniając zasługi żakerii w przysporzeniu potomstwa sparaliżowanemu do pasa podsędkowi Gnoińskiemu, który miał młodą i atrakcyjną żonę.

Są też szczegółowe i nieznane dotąd relacje z potyczek stoczonych w czasie powstania styczniowego na terenie guberni lubelskiej, tym cenniejsze, że pisane przez ich uczestnika i bez-

pośredniego świadka. Pisze Srzednicki o morderstwie ks. Szyduczyńskiego z Częstoborowic oraz o brutalnych napadach rozbójniczych band chłopskich na okoliczne polskie dwory szlacheckie, przeprowadzane za milczącą aprobatą rosyjskiej administracji wojskowej. Wszystko to pełne dotąd nieznanych szczegółów.

Wypada więc na koniec oddać głos samemu Srzednickiemu, który tak rozliczył się przed samym sobą ze swojej pracy w mieście: *Koniec końcem, ufny w lepszą przyszłość, Krasnystaw wraz z rodziną opuściłem, aby do niego już nigdy nie wrócić. Przy pożegnaniu miasta, w którym tyle czasu najpiękniejszego w mym życiu strawiłem, doznałem niezmiernie miłego uczucia, oto zgłosili się do mnie gospodarze z przedmieść i zaofiarowali się przewieźć moje rzeczy do Lublina bez żadnej pretensji, chcąc przez to, jak mówili, dać mi dowód swej życzliwości i uznania za moją w ich mieście pracę.*

Drobny ten fakt przyjąłem z największym rozrzewnieniem, był on bowiem dotykalnym dowodem, że cicha a skromna praca nie pozostaje bez nagrody i oceny oraz że nagrodę tę można otrzymać z tej właśnie strony, z której najmniej spodziewać się jej można.

W ciągu niemal dziewięcioletniego mego przebywania na urzędzie w Krasnymstawie starałem się o to, aby nikomu rozmyślnie nie narazić się, pełniłem swoje obowiązki sumiennie i dość gorliwie, przy czym miałem zawsze na uwadze, aby o ile to tylko zgadzało się z przepisami i sumieniem, każdemu w miarę mej możności dopomóc. Toteż zdaje mi się, iż po sobie nie pozostawiłem tam nieprzyjemnego wspomnienia, a nawet przeciwnie, na co miałem w ciągu dalszego życia dotykalne dowody, nie tylko żałowano mnie tam, lecz i życzono sobie, abym tam w jakim bądź charakterze powrócił.

Eryk Zywert

Eryk Zywert – magistrant w Katedrze Badań nad Rozwojem Państwa i Prawa na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Łódzkiego, stypendysta naukowy marszałka województwa łódzkiego. Zajmuje się głównie dziejami prawa Królestwa Polskiego, wybranymi instytucjami dawnymi prawa publicznego oraz prozopografią elit.

Mirosław Iwańczyk

Powstańcy styczniowi

W styczniowy poranek
roty Moskali runęły
na szwadrony powstańcze,
co pod lasem stanęły,
by krasnostawskiej ziemi
bronić,
by wrogów z ojczyzny
wygonić.
Powstańcy słabo uzbrojeni,
od kowali broni chcieli.
Więc Pawłowski
przekuł dla nich
na sztorc kosy.
Pod Pokrówką rozległy się
bitwy odgłosy.
Powstańcy z kosami
na Rosjan się rzucili,
pod Wierzchowinami
całkiem ich rozbili.
Wkrótce do Wielkopola
dotarli,
tam z Moskalami
znowu się starli.
Naskoczyli na ich tyły,
wielu Rosjan poranili.
Tyralierę rozciągnęli
i w pułapkę ich wciągnęli.
Dokonywali cudów męstwa,
parli w walce do zwycięstwa.
Tarczyński strzelił z nagana,
trafił ruskiego w kolana.
Antoni Rysak
wrogów kosą młócił,
wielu Kozaków
z koni zrzucił.
Paweł Karauda
w wir walki skoczył,
kolbą karabinu
Kozaka zamroczył.
Moskal w powstańca
niecelnie strzelił.
Mikołaj Haratym
bagnetem wroga przebił.
Oddziały Rosjan się cofnęły,
z pola bitwy szybko pierzchnęły.
Dzielni powstańcy
z krasnostawskiej ziemi
pod Wielkopolem
z męstwa zasłynęli.

Bohaterski powstaniec
(Mikołaj Nieczaj)

Mknie na koniu
Nieczaj mężny,
za nim pędzi
oddział gniewnych,
by Rosjan rozgromić,
by Polskę wyzwolić.
Jak Spartakus
gromi Nieczaj wroga,
opanował rynek Hrubieszowa.
Pod Zalinem znów
na Rosjan się zasadził,
swych ludzi w bój poprowadził.
Trzy razy więcej było Moskali,
po ciężkiej walce powstańcy przegrali.
Dzielny Nieczaj mocno poraniony,
dostał się do rosyjskiej niewoli.
Rosjanie w Krasnymstawie
bestialsko go zastrzelili.
W miejscu kaźni krasnostawianie
pomnik mu postawili.
Był lekarzem,
mógł żyć spokojnie,
wolał walczyć za ojczyznę
na okrutnej wojnie.
Na egzekucji z pogardą
spojrzał w lufy wroga.
„Niech żyje Polska" – krzyknął
i wkrótce skonał
i poszedł w objęcia Boga.
Dzisiaj Mikołaj Nieczaj
z bohaterstwa słynie.
Pamięć o nim w Krasnymstawie
nigdy nie zaginie.

Fajsławice 1863

Powstańcy kilkudniowym
marszem znużeni,
pod Fajsławicami
wyczerpani stanęli.
Zastępy Moskali z oddali
ich dojrzały.
Szwadronami stopniowo
się do nich zbliżały.
Kruk ze swym oddziałem
w lesie się schronił,
tutaj powstańcom rozkazał
się bronić.

Poezja – Mirosław Iwańczyk

Obawiał się, że zostanie
otoczony,
rozmieścił powstańców
z każdej lasu strony.
Gdy Rucki i Wagner
zajęli pozycje,
wróg zaczął od frontu
krwawą ekspedycję.
Polacy cudów odwagi
dokonywali,
tyralierą męstwa
Rosjan odpierali.
Kłuli wściekle bagnetami,
celnie w piersi im strzelali.
Kawaleria jak pod Somosierrą
szarżowała,
przez zastępy moskiewskie
się przedzierała.
Kolumna piechoty do boju
ruszyła,
na ogień ruskiej artylerii
natrafiła.
Wielu powstańców
do lasu się cofnęło,
wielu było rannych
i wielu zginęło.
Moskale nie czekali
ani chwili,
szturm o zmierzchu
przypuścili.
Powstańcy heroicznie
się bronili,
niczym legioniści
do końca dzielnie walczyli.
Ignacy Berkowski
z Krasnegostawu
nie cofnął się w boju
ani razu.
W ramię ciężko postrzelony
nadal walczył jak szalony.
Gdy po raz drugi
go trafili,
bagnetami piersi mu przebili.
Jak Patrokles mężnie
poległ w boju,
oddał życie ojczyźnie
i Bogu.
Jan Burcoń, powstaniec
z Tarnogóry,
też nie zamierzał tanio
sprzedać swej skóry.
Strzelił z rusznicy
Kozakowi między oczy.

Na Moskala z szablą
jak lampart naskoczył,
na wylot serce mu
przebił.
Wróg po chwili już nie żył,
kilku Kozaków
go zaatakowało
i w ciężkim boju śmierć
mu zadało.
Moskiewskie zastępy
liczebnie przeważały,
powstańcze oddziały
stopniowo się cofały,
mniej liczne, znużone
i słabiej uzbrojone
przez Rosjan zostały
niebawem otoczone.
Bohaterscy powstańcy
bili się zaciekle,
odpierali szturmy
Rosjan wściekłe.
Roty wroga opór
przełamały
i do lasu szybko
się wdzierały.
Polacy zachowali
się spokojnie,
umierali w walce
godnie.
Major Wagner nie
opuścił oddziału swego,
jak Żółkiewski poległ
śmiercią walecznego.
Pod Fajsławicami
walka nierówna była,
lecz dzielnym powstańcom
chwały przysporzyła.
W dowód wdzięczności
za ich bohaterstwo
pomnik im postawiło
wiejskie społeczeństwo.

Hekatomba w Częstoborowicach

W Częstoborowicach
niczym w Guernice,
ziemia przesiąkła
krwią powstańców.
Otoczeni przez Rosjan,
ze śmiercią pogodzeni,
bronili się mężnie
niczym wojownicy

Poezja – Mirosław Iwańczyk

trojańscy.
Walczyli od świtu
do zmierzchu,
do zatrzymania oddechu,
do końca.
Żołdackie okrucieństwo
spotęgowane barbarzyństwem,
przekroczyło człowieczy wymiar,
rozpoczął się dantejski spektakl.
Na twarzach Moskali
odcisnął piętno
bestialski atawizm,
jakaś rozkosz mordowania
dla mordowania ich umysły
zniewoliła.
Bezbronne ciała powstańców
cierpieniem wytatuowane
niemo krzyczą.
Nikt o zmiłowanie ich nie prosi,
wszelkie słowa umilkły.
Kroczą powstańcy
w korowodzie śmierci,
prowadzeni na rzeź
jak ofiarne baranki.
Każdy mięsień gra
pod skórą ludzki dramat.
I słychać strzał za strzałem
i krzyk szlachtowanych
bagnetami.
Dziś śpiewają o nich pieśni,
stali się męczennikami.

Zwycięski bój pod Depułtyczami

Żądne krwi roty Moskali
do Depułtycz się zbliżały,
oddziały Ćwieka, Ruckiego
osaczyć tam chciały.
Lecz powstańcy długo
nie czekali, szyki zgrabnie
w tyralierę sformowali.
Do Pokrówki wnet dotarli,
w marszu z wrogiem
dzielnie się zwarli,
do Depułtycz go wyparli.
Moskale na wzgórzu zajęli
dogodną pozycję,
by stamtąd wyruszyć
na krwawą ekspedycję.
Rudowski z Gromejką
swe skrzydła rozstawili,

w błyskawicznym natarciu
starli się z nimi.
Z dwóch stron Moskali
osaczyli.
Powstańcze kompanie
w kleszcze ich wzięły,
kosynierzy kosami
okrutnie nieprzyjaciół cięli,
wtem armatki raptownie
celnie ogniem plunęły.
Roty kozackie w popłochu
się cofnęły.
Oddziały powstańcze
wkrótce wzgórze zdobyły,
umocniły na nim
strategiczne siły.
Kapitan Krasucki
naprzód się wysforował,
strzelił w Kozaka,
Kozak gwałtownie skonał.
Adiutant Matkowski
ciął w lejtnanta szablą,
lejtnant spadł z konia,
ginąc śmiercią nagłą.
Kajetan Cieszkowski też
dzielnie w boju stawał,
gromiąc Moskali,
bagnetem im śmierć zadawał.
Moskale w popłochu
ku lasom uchodzili,
powstańcy szybko ruszyli
za nimi, pod Wierzchowinami
znów ich okrążyli,
tam ich w krwawej walce
całkiem pognębili.
Polacy walcząc pod Depułtyczami,
stali się mężnymi Hektorami.
W bohaterskim boju w proch Rosjan rozgromili,
bezprzykładnym męstwem i chwałą się okryli.

Mirosław Leszek Iwańczyk – historyk, polonista, regionalista, historyk literatury, pisarz, poeta, członek Związku Literatów Polskich Oddział w Lublinie, autor trzynastu pozycji książkowych. Za twórczość literacką uhonorowany Wawrzynem Literackim oraz dyplomami uznania przez wojewodę lubelskiego i marszałka województwa lubelskiego.

Józef Adam Dąbek

Organiści parafii Chłaniów

Tytułem wstępu

W parafialnych społecznościach zawód organisty od dawna, można powiedzieć od wieków, cieszy się zasłużonym uznaniem. Nazwa tego zawodu łączy się etymologicznie z nazwą instrumentu muzycznego, czyli z organami. Wśród wielu znanych nam instrumentów muzycznych, organy piszczałkowe zajmują wyjątkową pozycję. Przede wszystkim uznawane są jako największy i najgłośniejszy instrument muzyczny zbudowany przez człowieka. Organy składają się, zależnie od ich rozmiarów, z różnej liczby i wielkości piszczałek, w których źródłem dźwięku jest drgający słup powietrza. Na tym samym zjawisku akustycznym opiera się gra na flecie. Piszę o tym dlatego, bo jak wykazują niedawne odkrycia archeologiczne, znaleziony na terenie Niemiec flet, uważany jest za najstarszy w historii ludzkości instrument muzyczny. Był on wykonany z ptasiej kości, a dokładnie z kości skrzydła sępa. Jego wiek szacuje się na 35 tysięcy lat (!). Wynalezienie pierwszych organów piszczałkowych datuje się na III wiek przed naszą erą. Były to tzw. organy wodne, w których do regulacji ciśnienia powietrza w piszczałkach służyły zbiorniki z wodą. Później, ten hydrostatyczny sposób dostarczania powietrza do instrumentu zastąpiły skórzane miechy. Przez kilkaset lat organy piszczałkowe były instrumentem wyłącznie świeckim. Jeszcze w czasach starożytnego Rzymu, były używane w amfiteatrach lub cyrkach podczas różnych okolicznościowych uroczystości. Organy zostały wprowadzone do świątyń kościoła łacińskiego w połowie VII wieku. Od tego czasu zaczęła się epoka organowej muzyki kościelnej.

Przykładem pieśni kościelnej pochodzącej z tamtych czasów jest dobrze nam znany „Hymn do Ducha Świętego”. Tekst i może też melodia do hymnu, zostały napisane na początku IX wieku. Do dziś śpiewany jest przy różnych kościelnych uroczystościach. Między innymi podczas konklawe, uroczystości Zesłania Ducha Świętego, w liturgii święceń kapłańskich, jak też przed udzieleniem

sakramentu małżeństwa. Jeszcze nie tak dawno temu, kiedy w kościołach rzymskokatolickich odprawiano nabożeństwa w tzw. rycie trydenckim, używany był wówczas język łaciński. Wtedy na początku ceremonii ślubnej, przy akompaniamencie organów, rozbrzmiewał z chóru śpiewany przez organistę hymn „Veni Creator Spiritus...", co przekłada się na język polski „O Stworzycielu, Duchu, przyjdź…". Pewnie jeszcze wielu z nas pamięta, że były to wyjątkowo wzruszające chwile. U wielu osób, a zwłaszcza u rodziców wchodzącej do kościoła młodej pary, pojawiały się w oczach łzy. Starsi mogą też sobie przypomnieć fragment tekstu piosenki śpiewanej przez Kazimierza Grześkowiaka: „Na organach organista „Creatorem" łzy wyciska…".

Od dawna muzyka organowa i towarzyszący jej śpiew znakomicie wzbogacają odprawiane w naszych świątyniach nabożeństwa. Trudno byłoby nam teraz wyobrazić sobie jakąkolwiek liturgię kościelną bez muzyki organowej. Chór i organy są też jakby wpisane w architekturę wnętrza każdej świątyni. Widzimy to zwłaszcza w starych kościołach, gdzie wyeksponowane na chórze bogato zdobione zespoły organowe, podobnie jak umieszczane na bocznych ścianach zabytkowe ambony, stanowią oryginalne elementy dekoracyjne.

Z archiwum parafii Chłaniów wyjęte

Po tym wstępie opartym na danych encyklopedycznych oraz na zapisanych w pamięci wspomnieniach, przenieśmy się do historii kościoła parafialnego w Chłaniowie. Jego zewnętrzna bryła składa się ze starszej części murowanej, którą stanowi barokowa kaplica (I połowa XVII w.) wraz z przylegającą do niej zakrystią oraz z dobudowanej później części drewnianej (lata 1743-1746). Cała konstrukcja jest przykładem udanego połączenia tych dwóch różnych materiałów budowlanych. Szczegółowe opisy kościelnego budynku i jego wyposażenia, jak też całego parafialnego majątku, można znaleźć w robionych co pewien czas spisach inwentaryzacyjnych, określanych po łacinie jako „Fundi instructi".

Chór i organy chłaniowskiego kościoła – widok z lat 60. ubiegłego wieku.

W jednym z takich dokumentów, spisanym w roku 1848, znajduje się dość skromnie zredagowany opis chóru: „Chór na drewnianych filarach wsparty, przy wchodzie do kościoła przez wielkie drzwi, mieści na sobie organ mały o ośmiu głosach, nieco odstrojony, na chórze znajduje się bęben drewniany skórą obity". Dla wyjaśnienia – o wielkości organów, jak też o ich sile akustycznej decyduje wspomniana w powyższym opisie liczba głosów. Podam tu dla przykładu, że znajdujące się w Kazimierzu Dolnym organy, uważane jako najstarsze i w pełni sprawne organy w Polsce, posiadają tych głosów 35. O wyglądzie pierwszych organów chłaniowskiego kościoła oraz o tym, kiedy zostały tam zainstalowane, nie wiemy nic. Z praktyki budowania kościołów w latach współczesnych wiemy jednak, że od daty konsekracji nowej świątyni, aż do czasu zbudowania i uruchomienia zespołów organowych, mija zwykle kilka, a nawet kilkanaście lat. Można więc śmiało przypuszczać, że przez pewien czas w chłaniowskim kościele brakowało organów. A jeżeli w tym czasie służył przy kościele ktoś obeznany z muzyką, to do grania muzyki kościelnej mogły mu być pomocne jakieś inne znane na wsi instrumenty muzyczne. Do postawienia takiej właśnie hipotezy, skłania wymieniony w opisie chóru „bęben drewniany skórą obity". Według kościelnych dokumentów, ufundowane przez kolatorów kościoła „nowe organy", zostały zainstalowane w 1807 roku. Z tej wzmianki mówiącej o wybudowaniu wówczas „nowych organów" trudno wywnioskować, czy były wcześniej na chórze jakieś inne „stare organy", które uległy zużyciu i nadawały się

tylko do wymiany. Pewnym jest, że te organy, jakie znajdują się obecnie na chórze, powstały znacznie później. Był to rok 1882. Ta data została wzięta z książki profesora muzykologii Jerzego Gołosa, w której zamieszczono wiele informacji o pochodzącym z Lublina organmistrzu Stanisławie Romańskim (1832-1895). Jako syn organisty, grę na organach praktykował u swojego ojca w kościele pw. św. Ducha w Lublinie. W latach następnych zajmował się remontem starych instalacji organowych, jak też budową nowych organów, którymi wyposażył kilkanaście miejskich i wiejskich parafii. Cytując fragment z ww. publikacji: „W roku 1882 mieszkał czasowo w Krasnymstawie [mowa tu o Stanisławie Romańskim], gdzie zbudował dwoje organów: 7-głosowe do Chłaniowa i 10-głosowe do Surhowa".

Przy opisywaniu działania zabytkowych organów piszczałkowych, odrębnym tematem jest tak zwane „kalikowanie". Jest to krótko mówiąc, mechaniczna obsługa miecha, który dostarcza powietrze do organowych piszczałek. Tak więc przez wiele lat właśnie to kalikowanie było niezbędne do tworzenia muzyki organowej. Wiemy też, że dużo wiejskich parafii zelektryfikowano dopiero kilkanaście lat po wojnie. Ministranci z takich wiejskich kościołów, mający teraz odpowiednią liczbę lat, wiedzą doskonale, na czym ta czynność polega. Miechy organowe mogły być w różny sposób napełniane powietrzem. Dawniej do tego celu najczęściej służyły pedały nożne. Właśnie z tym sposobem obsługi miechów wiążą się takie spolszczone słowa jak „kalikant" lub czasownik „kalikować". Pochodzą one od łacińskiego słowa „calcare", co oznacza „naciskać stopami", czyli deptać. Miechy organowe były też napędzane ręcznie, za pomocą korby lub dźwigni. Przy chłaniowskich organach zastosowany był napęd dźwigniowy. Wygląd całego chóru oraz od dawna już nieużywany miech służący do zasilania organów, widoczne są na załączonych fotografiach. Na jednej z nich widzimy też starą, już od lat nieużywaną fisharmonię. Była ona dla głównych organów kościelnych jakby instrumentem zapasowym. Fisharmonia ta znajdowała się bliżej ołtarza, przy kaplicy po lewej stronie. Osoba na niej grająca była jednocześnie kalikantem. Mocno zniszczone dwa nożne pedały, dają świadectwo o jej wieloletnim eksploatowaniu.

Miech do organów.

Stara fisharmonia.

Pora teraz przywołać postaci chłaniowskich organistów, którzy przez cały czas funkcjonowania kościoła, czyli przez prawie trzy stulecia, zasiadając przy organowym pulpicie, swoim graniem i śpiewem uświetniali liturgię odprawianych tu nabożeństw i innych religijnych uroczystości. Opierając się na opracowaniu Grzegorza Misiury, opisującym środowisko organistów diecezji lubelskiej z lat 1918-1992, łatwo jest skompletować listę organistów z tego właśnie okresu. Dużo trudniejszym zadaniem jest odszukanie nazwisk organistów pracujących w latach poprzednich. Wiadomo przecież, że w ufundowanym w połowie XVIII wieku nowym kościele, znajdujący się w nim chór, jak się to mówi potocznie, nie był tam wybudowany „tylko od parady". Należy przypuszczać, że chór, z wysuniętym w stronę ołtarza balkonem opartym na dwóch drewnianych słupach imitują-

cych barokowe kamienne kolumny, był od początku wykorzystywany zgodnie z jego przeznaczeniem. O zatrudnionym przy kościele organiście, niestety niewymienionym z nazwiska, świadczy jeden z parafialnych dokumentów, w którym opisano przekazanie na rzecz parafii określonej sumy pieniędzy. Jest to dokument spisany 20 stycznia 1797 roku, w którym ówczesny dziedzic Bzowca Jacek Bartłomiej Trembiński podpisuje akt darowizny na rzecz parafii. W tytule dokumentu czytamy: „700 złotych polskich na Fundusz Kościoła Chłaniowskiego, na Xs. Wikarego, Organistę y Ubogich w Bzowcu". Obaj nieznani z imienia i nazwiska wikary oraz organista, jako jedni z beneficjentów tej darowizny, byli zobowiązani do odprawienia w tygodniu czterech mszy świętych, na których miały być śpiewane przez organistę wraz z ludem modlitwy różańcowe.

Przeszukując stare metryki parafialne, takie jak akty urodzenia, akty zawarcia małżeństwa lub zgłoszenie zgonu, odnoszące się do osób o wyższym statusie społecznym, udaje się czasami odnaleźć nazwisko ówczesnego wikarego lub organisty, którzy figurują tam w charakterze świadków. W ten sposób udało się ustalić, że organistą służącym przy chłaniowskim kościele na początku XIX wieku, był Ignacy Rybicki. Dowiadujemy się o nim po raz pierwszy z aktu urodzenia jego syna. W metryce urodzenia spisanej w 1812 roku (nr aktu 30) zostało zapisane: „13 VIII roku bieżącego Ignacemu Rybickiemu, lat 35, organiście w Chłaniowie, w domu pod nr. 1, z matki Zuzanny z Zawadzkich, urodził się syn Wawrzyniec". Świadkiem spisania tego aktu urodzenia był miejscowy pisarz Józef Sakowicz. Nazwisko organisty Ignacego Rybickiego pojawia się w aktach parafialnych po raz drugi dwa lata później. Razem z drugim świadkiem Wojciechem Tymińskim, zarządcą majątku Wierzchowina, oznajmia w parafialnej kancelarii o śmierci byłego rządcy dóbr Chłaniowa Sebastiana Rudnickiego, zmarłego w wieku 43 lat. Zapis ten został zrobiony 30 lipca 1814 roku (nr aktu 44). Jako przykład nieprzewidywalności ludzkiego losu, chciałbym korzystając z poprzednich metrykalnych zapisów dodać, że tenże Sebastian Rudnicki, trzy tygodnie wcześniej, sam występując jako świadek, zgłosił śmierć swojego pracodawcy, dziedzica Chłaniowa Norberta Pęczkowskiego.

Dziedzic zmarł 8 lipca, przeżywszy 46 lat. Warto dla mieszkańców Chłaniowa dodać, że jako miejsce śmierci dziedzica Pęczkowskiego podane są Popławy. Jest to dawna, teraz już rzadko używana nazwa wschodniej części Chłaniowa. Bliskość dat śmierci dziedzica i zarządcy jego majątku sprawiła, że oba te metrykalne zapisy, opatrzone kolejnymi numerami 43 i 44, znajdują się na tej samej stronie parafialnej księgi zgonów.

Trudno jest ustalić, jak długo Ignacy Rybicki pełnił służbę organisty. Było to w latach, kiedy proboszczem był ksiądz Michał Gorajski. Był on proboszczem przez niemal 50 lat, aż do śmierci 12 stycznia 1848 roku. Następnego dnia przy spisywaniu aktu zgonu, jako zgłaszający ten fakt świadkowie byli obecni: ówczesny chłaniowski organista Maciej Banaszyński, lat 45 i miejscowy tkacz Antoni Królikowski. Złożone przez nich oświadczenie przyjął w parafialnej kancelarii i podpisał ówczesny wikariusz Wincenty Skolimowski. Korzystając z informacji zawartych w „Grabowieckim słowniku biograficznym" można ustalić, że Maciej Banaszyński, jako organista służył tu w latach 1832-1848. Z tego samego źródła wiadomo o jeszcze jednym chłaniowskim organiście. Był nim Jakub Malczewski, przyjęty do pracy w 1862 roku. Brak jest danych, jak długo tu pracował.

Dokładnie przeszukując parafialne kroniki, zapewne udałoby się odnaleźć nazwiska jeszcze kilku innych organistów związanych pod koniec XIX wieku z parafią Chłaniów. Jednak przy braku innych źródeł archiwalnych, byłaby to praca dość żmudna i zajmująca sporo czasu. Przejdźmy więc do lat późniejszych. Zanim posłużę się danymi zawartymi w cytowanej wcześniej książce Grzegorza Misiury, należy tu odnotować jeszcze jednego organistę. Był nim Władysław Krzywkowski. Jego grób z prostym w swej formie i łatwym do odnalezienia pomnikiem, znajduje się w środkowej części parafialnego cmentarza. Z napisu umieszczonego na pomniku dowiadujemy się, że zmarł on 27 czerwca 1902 roku. Na tym samym cmentarzu jest też pochowana jego żona Katarzyna z domu Boniecka, która zmarła 18 lutego 1917 roku.

Chłaniowscy organiści – wykaz nazwisk i krótkie biogramy

Dane pochodzące z dostępnych mi źródeł pisanych oraz informacje uzyskane od osób prywatnych, pozwalają na chronologiczne zestawienie nazwisk organistów, którzy byli związani z parafią Chłaniów. Z pewnością wykaz ten nie jest kompletny, co widać z dołączonych do nazwisk dat. Dopiero od drugiej dekady XX wieku aż do dnia dzisiejszego, ciągłość lat zatrudnienia jest praktycznie zachowana. Lista nazwisk chłaniowskich organistów wraz z podaniem okresu ich zatrudnienia wygląda następująco:

Ignacy Rybicki (pocz. XIX wieku)
Maciej Banaszyński (1832-1848)
Jakub Malczewski (1862- ?)
Władysław Krzywkowski (? -1902)
Piotr Podobiński (1903-1903)
Edmund Spasiewicz (1922-1930)
Stanisław Szwajgier (1930-1933)
Piotr Panas (1933-1936)
Bronisław Pikuła (1937-1939)
Jan Pietruszka (1939-1945)
Tadeusz Kasperkiewicz (1947-1952)
Teofil Podobiński (1952-1958)
Henryk Głos (1958-1966)
Jan Oszczepaliński (1966-1973)
Adam Kaznowski (1973-1976)
Mieczysław Pietrzniak (1976-2013)
Mieczysław Garbacz (2013-2022)
Damian Lewicki (styczeń 2023 - do dziś)

Chciałbym teraz, do każdej z wyżej wymienionych osób dołączyć pewne uzupełniające informacje, jakie udało mi się w różnych źródłach odnaleźć. O pierwszych trzech wymienionych tu organistach, poza tym co już zostało o nich wcześniej napisane, nie wiemy nic więcej. Informacje związane z kolejnymi nazwiskami z tej listy są dosyć różne i zawierają miej lub więcej interesujących szczegółów.

O Władysławie Krzywkowskim wiadomo, że urodził 17 listopada roku 1844 w Nieliszu, powiat Krasnystaw. Pochodził z rodziny szlacheckiej. Prawdopodobnie jego pierwszym miejscem pracy jako organisty był kościół parafialny w Grabowcu. Pracował tam w latach 1868-1875. Z Katarzyną z Bonieckich założył rodzinę i tam też urodziło im się troje dzieci. Nieznana jest dokładna data początku jego pracy przy organach chłaniowskiego kościoła. Zapewne pracował jako organista aż do śmierci. Jak napisałem wcześniej, zmarł w 1902 roku, w czerwcu, w dniu swoich imienin.

Pomniki organisty Władysława Krzywkowskiego i jego żony Katarzyny.

Kolejnym organistą był Piotr Podobiński. Informacja ta pochodzi z monografii Grzegorza Misiury. W środowisku lubelskich organistów była to postać wybitna. Urodził się 22 VI 1885 roku w Tyszowcach. Z prostej kalkulacji opartej na dwóch datach wynika, że zasiadł on przy organach chłaniowskiego kościoła jako osiemnastoletni człowiek i że była to prawdopodobnie jego pierwsza praca w tym zawodzie. Następnie przez kilka lat pracował we Frampolu (1904-1906), w Warszawie (1906-1910) i ponownie we Frampolu (1911-1926). Będąc przy parafii św. Antoniego w Warszawie, ukończył Warszawskie Konserwatorium Muzyczne. Od 1926 roku związał się z kościołem i parafią pod wezwaniem św. Pawła w Lublinie. W murach tego kościoła znajduje się tablica upamiętniająca jego zasługi. Swój czas i talent do muzyki organowej dzielił pomiędzy pracą dla parafii i działalnością społeczną na rzecz różnych organizacji zrzeszających osoby związane z muzyką kościelną. Wyraża to treść napisu umieszczonego

na wspomnianej tablicy: „Piotrowi Podobińskiemu 1885-1962, organiście i założycielowi chóru parafii św. Pawła w Lublinie, wychowawcy organistów, prezesowi Komisji Organistowskiej Kurii Biskupiej w Lublinie, szlachetnemu człowiekowi, wiernemu synowi Kościoła i Ojczyzny, w 60-lecie istnienia chóru – wdzięczni chórzyści. 1986". Piotr Podobiński zmarł 3 listopada 1962 roku w Lublinie, gdzie na cmentarzu przy ul. Lipowej został pochowany.

Edmund Spasiewicz, organista w Chłaniowie od 1922 roku, urodził się w podlubelskiej miejscowości Niemce, 21 X 1892 roku. Jego bliska rodzina była ściśle związana z zawodem organisty. Wacław Spasiewicz, młodszy brat Edmunda oraz urodzony w Chłaniowie w 1927 roku syn Ryszard, też wybrali dla siebie ten zawód. Wymieniony tu syn Ryszard, poczynając od 1951 roku, był przez 39 lat organistą w Turobinie. Pierwszym miejscem pracy Edmunda Spasiewicza była prawdopodobnie parafia w Chłaniowie. W akcie małżeństwa, jaki zawarł on z Wandą Luterek w Turobinie na początku roku 1922 zostało zapisane, że już wtedy był chłaniowskim organistą. Prywatną Szkołę Organistowską ukończył w 1926 roku. Jego następne miejsca pracy po 1930 roku to parafie Tarnogóra, Płonka i Markuszów. W każdej z nich był zatrudniony przez krótki okres. Od roku 1935, aż do czasu wojny był organistą w parafii Serniki, położonej niedaleko Lubartowa. Czas wojny okazał się dla niego tragiczny. Po aresztowaniu przez Niemców w styczniu 1942 roku w Bychawie, został osadzony na Zamku Lubelskim jako jeden z więźniów tej okrutnej, znanej w całej Generalnej Guberni katowni. Powody jego aresztowania są nieznane. Po ciężkim pobiciu w trakcie przesłuchań, w kwietniu tego samego roku trafia do szpitala, z którego po miesiącu wychodzi. Zmarł w Lublinie 28 marca 1945 roku. Jest bardzo prawdopodobne, że przyczyną jego śmierci była poważna utrata zdrowia w więzieniu i mało skuteczne leczenie. Z tego też powodu został zaliczony do tych organistów diecezji lubelskiej, którzy ponieśli śmierć w wyniku niemieckich represji podczas II wojny światowej. Tablica z ich nazwiskami, została 26 XI 1959 r. wmurowana w kruchcie zabytkowego lubelskiego kościoła pod wezwaniem Świętego Ducha.

Po Spasiewiczu, obsługę kościelnych organów w Chłaniowie objął Stanisław Szwajgier, który

urodził się w Bełżycach, 6 maja 1888 roku. Niewiele informacji daje się o nim odnaleźć. Miał starszego brata Juliana, który jeszcze w latach przedwojennych również był organistą. Przed przyjściem do Chłaniowa Stanisław Szwajgier grał na organach w dwóch parafiach – Branew i Rogóźno. Po trzech latach pracy w Chłaniowie, pracował jeszcze w parafiach Potok Górny, Annopol, Klementowice i Polichna. Prawdopodobnie jeszcze przed wojną, zakończył wykonywanie swojego zawodu. Zmarł 7 VII 1951 roku w Janowie Lubelskim.

Kolejnym organistą w Chłaniowie był Piotr Panas. Urodził się 23 VI 1901 r. w Izbicy. Naukę zawodu w Prywatnej Szkole Organistowskiej rozpoczął w 1926 roku, a jego pierwszym miejscem pracy były Leszkowice (1927-1928). Przed objęciem posady organisty w Chłaniowie pracował po kilka lat w czterech różnych miejscowościach. Były to parafie: Żdżanne, Majdan Stary, Podhorce i Olchowiec. Po trzech latach pracy w Chłaniowie został przeniesiony do parafii w Czerniejowie, gdzie pracował prawdopodobnie do końca wojny. Data i miejsce jego śmierci są mi nieznane.

W trzech ostatnich latach przed wojną, posadę organisty w chłaniowskiej parafii objął Bronisław Pikuła. Urodził się on 17 czerwca 1911 roku w Chomęciskach Dużych, w parafii Stary Zamość. Pracę organisty rozpoczął w parafii Tarnawatka w 1930 roku, a rok później ukończył szkołę, która dała mu przygotowanie do wykonywania tego zawodu. Przed przyjściem do Chłaniowa był przez cztery lata (1933-1937) organistą w Świeciechowie leżącym niedaleko Annopola. W Chłaniowie, ujawnił się jego wyjątkowy talent do szkolenia i prowadzeniu miejscowego parafialnego chóru. Taka praca to dla organisty nie lada wyzwanie. Parafrazując ogólnie znane powiedzenie, można by w tym miejscu dodać, że szkolenie chórzystów to „wyższa szkoła śpiewania". Szkolenie chłaniowskich chórzystów zostało rozpoczęte jeszcze przez poprzedniego organistę Piotra Panasa. Jak wiadomo z ustnego przekazu od kilku osób, na powiatowym konkursie chórów parafialnych w Krasnymstawie, bodajże w 1938 roku, chór z Chłaniowa zajął pierwsze miejsce. Co więcej, po tym sukcesie, chór dostał zaproszenie do udziału w przeglądzie chórów parafialnych do Lublina i tam też został wyróżniony. Jak mówił mi mieszkający

w Chłaniowie Stanisław Zwolak, organista Pikuła i jego chór „wyśpiewali" tam dla siebie zaszczytne drugie miejsce. Od niego też dostałem unikalną, pamiątkową fotografię ówczesnego chóru, na której widzimy grupę chórzystów oraz ich „mistrza"

znalazł się organista Bronisław Pikuła i prawie cała jego rodzina: żona Maria, 8-letnia córka Mirosława i 5-letni syn Bogdan. Wszyscy zostali pochowani na miejscowym cmentarzu. Na wspomnianej wcześniej tablicy poświęconej pamięci organistów

Chór parafialny z Chłaniowa, rok 1938.

Bronisława Pikułę (w rzędzie siedzących, czwarty od lewej). Zdjęcie to zostało prawdopodobnie wykonane w Lublinie, obok dawnych zabudowań Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Na krótko przed wybuchem wojny Bronisław Pikuła obejmuje posadę organisty w parafii Niemce. Ile razy dane mu było zagrać w tym nowym dla niego kościele, na innych, zapewne większych i lepszych organach niż organy chłaniowskie, tego nie wiemy. Niestety, znowu dało o sobie znać okrucieństwo czasu wojny. Jak zapisano w kronice gminy Niemce, 11 września na tę miejscowość odbył się nalot niemieckich samolotów szturmowych typu Heinkel. Celem nalotu była pobliska stacja kolejowa oraz skrzyżowanie szosy Lublin-Lubartów z drogą na Kijany. Akurat blisko tego skrzyżowania znajdowały się kościół i plebania. W wyniku bombardowania i ostrzału z działek lotniczych, zginęło na miejscu ponad dwadzieścia osób. Wśród ofiar będących ofiarami II wojny światowej, wśród czternastu nazwisk, znajdują się nazwiska dwóch organistów związanych z parafią Chłaniów. Ich losy połączyło coś jeszcze – miejscowość Niemce. Tutaj urodził się Edmund Spasiewicz i tutaj tragicznie zginął Bronisław Pikuła.

Grób rodziny Pikułów na cmentarzu parafialnym w Niemcach.

W czasie niemieckiej okupacji organistą w Chłaniowie był Jan Pietruszka. Z posiadanych o nim dość skąpych informacji wiadomo tylko, że urodził się w 1907 roku. W latach przedwojennych pracował kolejno w trzech parafiach: Lipsko, Dzierążnia i Czernięcin. Z przekazów rodzinnych o jego bytności w Chłaniowie w latach wojny, wiem nieco więcej. Mój dziadek ze strony mamy Władysław Bednarz, przez wiele lat był miejscowym kościelnym. Tak więc cała jego rodzina i rodziny kilku kolejnych chłaniowskich organistów, były lokatorami tego samego parafialnego budynku. Ten dom zwany potocznie organistówką, można powiedzieć „miał nieszczęście" do pożarów. Przed wojną, w połowie lat trzydziestych, kiedy tutejszym organistą był Piotr Panas, w wyniku pożaru, a jak opowiadała nam mama, stało się to w niedzielę, kiedy w kościele akurat była odprawiana suma, organistówka doszczętnie spłonęła. Jak było wtedy wiadomo, przyczynili się do tego pożaru dwaj nieletni synkowie organisty. Po latach, kiedy nowo wybudowaną organistówkę wspólnie zamieszkiwały rodzina Bednarzów i rodzina organisty Pietruszki, takie samo nieszczęście wydarza się po raz drugi. Był to tragiczny dla Władysławina i Chłaniowa niedzielny poranek, 23 lipca roku 1944. W tym dniu obie wioski zostały w okrutny sposób spacyfikowane przez współdziałający z Niemcami tzw. ukraiński oddział samoobrony ULS. Jest wiele relacji opisujących to tragiczne wydarzenie, między innymi mój artykuł, zamieszczony w 48 numerze „Nestora". Organista Jan Pietruszka pracował jeszcze w Chłaniowie przez pewien czas po zakończeniu wojny. Od 1945 roku znalazł zatrudnienie w parafii Czerniejów. Zmarł w Lublinie 30 XII 1972 roku.

Tablica z nazwiskami organistów diecezji lubelskiej, ofiar II wojny światowej.

Nie można, niestety ustalić nazwiska organisty pracującego w Chłaniowie w latach 1945-1946. Od wymienionego wcześniej Staszka Zwolaka wiem tylko, że ten młody, pochodzący z Bychawy organista p.o. (pełniący obowiązki), grał tu na organach i zajmował się też szkoleniem kościelnego chóru. Wiadomo natomiast, że już od roku 1947 przy kościelnych organach zasiadał tu przez pięć lat Tadeusz Kasperkiewicz. Urodził się w 1922 roku. Przed przyjściem do Chłaniowa, przez dwa lata pełnił funkcję organisty w parafii Majdan Stary. Po odejściu z Chłaniowa pracował jeszcze w kilku parafiach: Goraj, Rogóźno, Dub i Rudno. W ostatniej parafii w Rudnie pracował do 1981 roku. Nieznana mi jest data jego śmierci.

Po Kasperkiewiczu posadę organisty objął Teofil Podobiński. Urodził się 12 marca 1880 roku we wsi Kadłubiska, sąsiadującej z osadą Dołhobyczów. Te dwie miejscowości dzieli niewielka odległość od miasteczka Tyszowce, gdzie urodził się Piotr Podobiński. Przemawia to za ich pokrewieństwem, ale szczegóły rodzinnych powiązań Piotra i Teofila nie są znane. Przed objęciem pracy w Chłaniowie, Teofil Podobiński był organistą we Frampolu, Wielączy, Nabrożu i Goraju. Najdłużej, bo około 25 lat pracował w Wielączy, skąd pochodziła jego żona i tam też urodziła się im dwójka dzieci. Po zakończeniu służby w chłaniowskiej parafii w roku 1958, w wieku 78 lat przechodzi na emeryturę. Nie było mu dane długo cieszyć się zasłużonym odpoczynkiem. Zmarł 22 sierpnia 1959 roku. Z moich dziecięcych lat pozostała mi w pamięci postać tego organisty, jak też jego żony Marii. W przeciwieństwie do sylwetki swej żony, pan Teofil wydawał mi się wtedy jako niewysoki, szczupły staruszek. Oboje zamieszkiwali w pomieszczeniach starej plebanii. Była tam kancelaria parafialna i duża sala z fortepianem, przeznaczona na próby parafialnego chóru. Kiedy nasza mama, jako śpiewająca w chórze sopranistka przychodziła tam wieczorami na próby, też bywałem tam częstym gościem.

Kolejnym organistą był Henryk Głos. Urodził się 1 lipca 1931 roku w Wąwolnicy. Wcześniej był organistą w parafiach w Ostrówku i w Łubkach. Na początku pracy w naszej parafii, ukończył w 1959 roku Prywatną Szkołę Organistowską. Rodzina państwa Głosów zamieszkała w stojącym blisko kościoła budynku nowej organistówki. Po-

czątkowo mieszkali we trójkę z synem Andrzejem. Na załączonym zdjęciu widzimy Henryka Głosa, jego żonę Janinę z synkiem na ręku oraz moich dziadków Ewę i Władysława Bednarzów. Potem urodził się im drugi syn Jerzy. Po ośmiu latach pracy w Chłaniowie, Henryk Głos wraz z rodziną przenosi się do parafii Boby. Tam ich rodzina znowu się powiększa. Rodzą się im bliźnięta: syn Janusz Adam i córka Henryka Ewa. Ostatnim miejscem pracy pana Henryka był kościół parafialny w Kraczewicach, obok Poniatowej. Pracował tam na etacie organisty do około 2001 roku, a jako organista emeryt zasiadał jeszcze przy organach do roku 2005. Zmarł 21 stycznia 2007 roku w Lublinie, a pochowany został w Poniatowej. Pan Henryk i jego dwaj synowie, mogą być potwierdzeniem starego, polskiego porzekadła, że „niedaleko pada jabłko od jabłoni". Najstarszy syn Andrzej po skończeniu seminarium duchownego w Lublinie, został księdzem. Mszę prymicyjną odprawił w kościele parafialnym w Kraczewicach, pod koniec 1983 roku. Grając na organach i kierując parafialnym chórem, oprawę muzyczną tej uroczystości zapewnił nie kto inny, tylko pan Henryk Głos, ojciec prymicjanta. Obecnie, ksiądz Andrzej Głos jest proboszczem w lubelskiej parafii pw. św. Jadwigi Królowej. Pełni tam służbę od 13 lat. Natomiast najmłodszy syn Janusz Adam, idąc dokładnie w ślady swego ojca, został organistą. Od 32 lat gra na organach kościelnych, jednych z najsłynniejszych w Polsce. Te zabytkowe organy znajdują się w Kazimierzu Dolnym w kościele farnym. Warto je i zobaczyć i posłuchać.

Henryk Głos, pracując w Chłaniowie, podobnie jak jego poprzednik Podobiński, dbał o chór parafialny, utrzymując jego profesjonalizm. Z połowy lat 60. pochodzi fotografia przedstawiająca grupę chórzystów i widoczny w tle budynek dawnej plebanii. Starsi mieszkańcy Chłaniowa powinni bez trudu rozpoznać osoby znajdujące się na tym zdjęciu. Jedną osobę z tej fotografii chciałbym wyróżnić. Pierwszy od lewej, stojący tuż za dwiema chórzystkami młodzieniec, to stryjeczny brat naszej mamy Janek Bednarz (ur. w 1941 r.). W latach wcześniejszych praktykował grę na chłaniowskich organach u poprzedniego organisty Teofila Podobińskiego. Jego przywiązanie do muzyki i śpiewu trwa do dzisiaj. Mieszkając w Zamościu,

Rodzina organisty Henryka Głosa.

związał się z kilkoma lokalnymi chórami jako chórzysta i jako ich organizator. Za całokształt swej śpiewaczej działalności został uhonorowany Złotą Odznaką z Laurowym Wieńcem. Jest to najwyższe odznaczenie dedykowane dla zasłużonych chórzystów. Ceremonia wręczania odznaczeń odbyła się w styczniu 2020 roku w katedrze lubelskiej. Należy jeszcze wspomnieć o urodzonym w Wierzchowinie w 1938 roku Edwardzie Polskim. Kształcąc się na organistę, też zasiadał przy chłaniowskich organach, lecz raczej incydentalnie. Natomiast jako etatowy organista, pracował w kilku innych parafiach: Wąwolnica, Żulin, Józefów nad Wisłą i Józefów w powiecie biłgorajskim.

Po Henryku Głosie, posadę organisty objął Jan Piotr Oszczepaliński. Urodził się 22 lutego 1913 roku w Baranowie, gdzie jako organista pracował jego ojciec Franciszek. Kontynuując tę rodzinną profesję, od 1936 roku pracował w kilku parafiach. Były to kolejno: Żabianka, Zamch, Zambrów, Liw, Drelew i Karczmiska. Niektóre z tych parafii należą do diecezji siedleckiej. Ostatnie siedem lat pracy w swoim zawodzie spędził w Chłaniowie, skąd pod koniec życia wyjechał do Lublina. Miał dwóch synów. O jednym z nich wiadomo, że też został

Chór parafialny z Chłaniowa, połowa lat 60. XX w.

organistą i był zatrudniony między innymi w parafii Częstoborowice. Jan Oszczepaliński zmarł w Lublinie 14 IV 1973 r.

Po jego odejściu, na pewien czas nastąpił w chłaniowskiej parafii wakat na etacie organisty. Nie mając zapisanych na ten temat informacji, trudno mi jest dokładnie ustalić związane z tym stanem przejściowym fakty i daty. Wiadomo tylko z przekazów ustnych, że przez kilka lat organami zajmował się Adam Kaznowski, związany później z parafią w sąsiedniej Płonce. Oprócz pełnienia obowiązków organisty, zajmował się też renowacją i konserwacją aparatury organowej oraz wprowadzaniem do niej dodatkowych efektów dźwiękowych. Dopiero zmotywowany przez księdza Kazimierza Gajdę, mieszkający w Chłaniowie Mieczysław Pietrzniak, podjął się pracy przy organach na dłuższy okres. Jak się później okazało, ten „dłuższy okres" trwał ponad trzydzieści lat. Urodził się 5 maja 1938 roku. Od młodych lat interesował się muzyką, a jako grający na akordeonie członek miejscowej orkiestry wiejskiej, rozwijał swój muzyczny talent. Przy kościelnych organach spędził ponad połowę swego dorosłego życia. Początkowo jako organista samouk, a potem, po ukończeniu wymaganych dla tego zawodu szkoleń, jako już wykwalifikowany kościelny organista. Jak się to nierzadko zdarzało i zdarza się nadal, synowie organisty przejmowali profesję po ojcu, albo też kształcili się na księży. Dodam tutaj, bo może nie jest to powszechnie znane, że synem organisty był też nasz Prymas Tysiąclecia, bł. Stefan Wyszyński. Krzysztof, syn Mieczysława i Władysławy Pietrzniaków, też wybrał dla siebie drogę kapłaństwa. Kiedy w 1992 roku odbywała się w chłaniowskim kościele jego prymicyjna msza św., rodzice prymicjanta, siedząc blisko głównego ołtarza, z dumą i wielkim wzruszeniem przeżywali tę uroczystość. W tym czasie grą na organach zajmował się ktoś inny. W tym też dniu historia chłaniowskiej parafii jakby zatoczyła koło. Można w tym widzieć jakiś symboliczny znak czasu. Bowiem w czasie tej prymicyjnej celebry homilię wygłosił ksiądz Andrzej Głos, jak wiemy syn dawniejszego tutejszego organisty. Po ponad 35 latach pracy przy kościelnych organach, 2 kwietnia 2013 roku Mieczysław Pietrzniak odszedł do wieczności.

Muzyka organowa w chłaniowskim kościele rozbrzmiewa nadal. Pod koniec 2012 roku miejsce przy kościelnych organach zajął Mieczysław Garbacz. Urodził się w naszej parafii w Wierzchowinie 16 XII 1945 roku. Przygotowanie muzyczne zdobywał w Studium Nauczycielskim przy ulicy Krzywej w Lublinie. Początkowo przez wiele lat pracował w kilku miejscach na kierowniczych stanowiskach. Między innymi był kierownikiem USC w Gmi-

Grób organisty Mieczysława Pietrzniaka (1938-2013).

nie Żółkiewka i dyrektorem Szkoły Podstawowej w Chłaniowie. Nie stracił jednak kontaktu z muzyką. W ostatnich dekadach ubiegłego wieku, działały na wiejskich terenach modne wówczas i potrzebne, młodzieżowe zespoły muzyczne. W jednym z takich lokalnych zespołów, pracując równocześnie w szkole, grał przez wiele lat. Grał na modnym wtedy instrumencie muzycznym – na elektrycznych organach. Ta umiejętność sprawiła, że jeszcze w okresie problemów zdrowotnych poprzedniego organisty, mógł przesiąść się do klawiatury organów kościelnych. Mówi o sobie, że jest organistą wolontariuszem. Z uwagi na konieczność dojeżdżania z domu do kościoła, niezależnie od pogody i pory roku, taka praca nie była łatwa. Mimo tego, obecny był na każdym kościelnym nabożeństwie, przy którym wymagana jest posługa organisty. Kiedy jakiś rok temu zdrowie już nie pozwoliło na pełnienie obowiązków organisty, Mieczysław Garbacz dość łatwo znalazł swojego następcę.

Jego miejsce zajął mieszkający w Chłaniowie Damian Lewicki, urodzony 11 V 1994 roku. Swój związek z muzyką kościelną rozpoczął od udziału w graniu i śpiewaniu w młodzieżowym zespole „Schola", uformowanym wiele lat temu przez proboszcza Jerzego Komę. Być może to spowodowało, że już w młodym wieku Damian poświęcił swój czas na muzyczną edukację. Po ukończeniu szkoły średniej, studiował na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, gdzie na kierunku administracji uzyskał tytuł naukowy magistra. Równocześnie przez 5 lat uczył się zawodu organisty w Archidiecezjalnym Studium Organistowskim w Lublinie. Należy mieć nadzieję, że z racji jego młodego wieku i profesjonalnego wykształcenia muzycznego, muzyka organowa w chłaniowskim kościele będzie jeszcze rozbrzmiewać przez wiele lat.

Powodem do większej satysfakcji ze swojej pracy, zarówno dla księdza proboszcza, jak i całej kościelnej służby, są różne jubileuszowe uroczystości. Chłaniowska parafia właśnie cztery lata temu obchodziła 600-lecie swojego istnienia. Pamiątką z tego dnia jest załączona fotografia. Pośrodku zdjęcia widoczni są J.E. arcybiskup Stanisław Budzik, główny celebrant tych uroczystości oraz ksiądz proboszcz Jerzy Koma. Tuż obok proboszcza widzimy postać poprzedniego organisty Mieczysława Garbacza. Jako pierwszy od lewej widoczny jest nasz kościelny Zbyszek Domański.

Pamiątka z uroczystości 600-lecia parafii Chłaniów.

Jeszcze kilka refleksji o słowach, o muzyce i o zbliżającym się okresie śpiewania kolęd. Litery alfabetu tworzą słowa, którymi zapisano niezliczoną ilość tekstów, wierszy, powieści. Z nut tworzone są proste melodie lub złożone utwory muzyczne. To wszystko można słuchać, grać na instrumentach, albo też „grać" na własnych strunach głosowych, czyli śpiewać. Dla mnie, muzycznego laika zadziwiające jest to, że z tak małej liczby nut (podstawo-

wa gama muzyczna ma ich tylko osiem), powstała niepoliczalna liczba różnych rodzajów melodii. W piosence słowa łączą się z melodią. Zwykle jedna osoba pisze tekst, a kto inny, posługując się nutami pisze muzykę. Ulubionymi pieśniami granymi i śpiewanymi w okresie świąt Bożego Narodzenia są polskie kolędy. Ten czas już blisko. Śpiewając kolędy spróbujmy zrobić coś więcej. Postarajmy się odszukać chociaż dla kilku najbardziej znanych kolęd, kim byli autorzy tekstów i kto skomponował do nich muzykę. Piękne są dawne polskie kolędy. Piękne są też słowa i melodia jednej z nowszych pastorałek pt. „Kolęda dla nieobecnych". Zaczyna się ona słowami: „A nadzieja znów wstąpi w nas…".

dr Józef Adam Dąbek

Materiały źródłowe:

G. Misiura, *Środowisko organistów diecezji lubelskiej w latach 1918-1992*, Towarzystwo Naukowe KUL, 2019.

J. Gołos, *Zarys historyczny budowy organów w Polsce*, Bydgoskie Towarzystwo Naukowe, 1966.

Instytut Historii im. Wojtka Kulika, *Grabowiecki słownik biograficzny*, t. 2.

Archiwum parafii Chłaniów.

Józef Adam Dąbek urodzony w 1948 roku, dzieciństwo spędził w wielopokoleniowej rodzinie w Chłaniowie. Po ukończeniu Szkoły Podstawowej w Wierzchowinie, a następnie Liceum Ogólnokształcącego w Wysokiem, studiował fizykę na UMCS w Lublinie. Pracę zawodową związał z uniwersyteckim Instytutem Fizyki. Jeszcze jako student V roku, w ramach szeroko pojętej współpracy nauki z przemysłem, został na kilka lat zatrudniony na etacie WSK Świdnik. Po powrocie na uczelnię uzyskał stopień doktora nauk fizycznych. Jako adiunkt zajmował się głównie dydaktyką i fizyką doświadczalną. Specjalizował się w dziedzinie spektrometrii mas i badaniach izotopowych. Od czasu podjęcia studiów mieszka w Lublinie. Po przejściu na emeryturę ponownie stał się „studentem" i bierze udział w zajęciach Lubelskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Hobbystycznie interesuje się numizmatyką i historią regionu, którą od kilku lat przedstawia w periodykach „Nestor" oraz „Dominik Turobiński".

Waldemar Seroka

Dramat w Ujazdowie. Krótka historia krasnostawskich ułanów

„Dramat w Ujazdowie" to tytuł szkicu lubelskiego historyka Ireneusza Cabana o działalności i okolicznościach zagłady konnego oddziału Obwodu AK Krasnystaw. Cały tekst opublikował 31. numer „Tygodnika Chełmskiego" w 1986 roku. Autor już we wstępie zwraca się do żyjących jeszcze ułanów, o wzbogacenie swą wiedzą historii tej partyzanckiej jednostki niemającej dotąd – poza jedną (błędną) wzmianką – żadnej literatury.

Kpt. Franciszek Jarocki – „Jadźwing" (fot. ze zbiorów Andrzeja Jarockiego).

Z ustaleń autora wynika, że oddział powstał w maju 1944 roku z rozkazu dowódcy Zgrupowania Oddziałów Partyzanckich kpt. „Jadźwinga" – Franciszka Jarockiego – jako zalążek kompanii zwiadowczej dla odtwarzanego przez Inspektorat Rejonowy Chełm 7. Pułku Piechoty Legionów AK (OP 7)[1].

Miejscem jego formowania była leśniczówka Niemienice – baza oddziału por. „Zręba" – Jana Małka, dowódcy OP 7/II czyli II baonu tego pułku[2].

[1] Etat wojenny pułku piechoty w 1939 r. obejmował, w ogólnej formie, dowództwo pułku, kwatermistrzostwo, 3 bataliony piechoty oraz służby i pododdziały specjalne, w skład których wchodziła kompania zwiadowcza składająca się z plutonu kolarzy, plutonu kawalerii i drużyny gospodarczej. Razem 109 ludzi, 57 koni, 52 rowery, 4 rkm-y, 102 kbk i 45 szabel.

[2] Dowódcą I baonu był por. Z. Szumowski „Sędzimir"

Kpt. Jan Małek – „Zrąb”
(fot. ze strony Chełmscy żołnierze wyklęci).

Organizatorem i dowódcą konnego zwiadu został ppor. rez. kawalerii Eugeniusz Hilcher – „Strzała”, doświadczony partyzant mający za sobą udział w wojnie obronnej 1939 roku i kilkuletni „staż” w konspiracji.

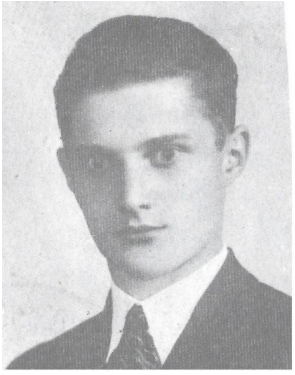

Ppor. Eugeniusz Hilcher – „Strzała”
(fot. ze zbiorów I. Cabana).

Od publikacji artykułu I. Cabana minęły, bez mała, cztery dekady. W tym czasie wyrosły nowe pokolenia miłośników historii AK – historii, jakże często, splecionej z dziejami ich przodków. Niech więc fragmenty tej pracy będą dla nich zachętą do odkrywania jej nieznanych kart.

Eugeniusz Hilcher urodził się w 1917 r. w Sitańcu, w rodzinie wywodzącej się z dawno osiadłych tu kolonistów niemieckich. Jeszcze przed wojną rodzina Hilcherów przeniosła się do Suchego Lipia koło Rudnika. Po ukończeniu gimnazjum,

(obwód Chełm), III – kpt. B. Flisiuk „Jarema” (obwód Włodawa).

E. Hilcher został powołany do służby wojskowej w Szkole Podchorążych Kawalerii w Grudziądzu, uzyskując stopień kaprala podchorążego. Studia w SGGW przerwała mu wojna, w której uczestniczył w jednym z pułków kawalerii.

Z konspiracją związał się pod koniec 1940 roku, wstępując do ZWZ. Bardzo szybko został „spalony” i wraz z braćmi musiał się ukrywać. Niemcy uznali Hilcherów za tzw. Reichsdeutschów i usiłowali wymóc na nich podpisanie volkslisty. Odmowa spowodowała okresowe aresztowanie ojca i dwóch młodszych braci. Również miejscowa placówka z rezerwą podchodziła do konspiracyjnego zaangażowania „Strzały”. Dopiero z czasem uznano, że wszelkie obiekcje są tu bezpodstawne. Hilcher został członkiem grupy do zadań specjalnych (karanie zdrajców i kolaborantów). Byli w tej grupie również jego bracia i kilku kolegów z Suchego Lipia. Z początkiem maja 1944 roku Hilchera wraz z jego grupą skierowano na koncentrację w Niemienicach, gdzie wszedł w skład oddziału „Zręba”, obejmując funkcję jego zastępcy.

Etat tworzonego konnego oddziału przewidywał, że obok dowództwa powstanie 5 sekcji bojowych, każda po siedmiu ułanów, sekcja zwiadu i łączności oraz kwatermistrzowska. Razem około 50 żołnierzy. Wydzielona z oddziału „Zręba” grupa liczyła na początku około 20 ludzi. Stan oddziału miał być uzupełniony w drodze naboru ochotników, lecz praktycznie nigdy nie osiągnął zakładanego stanu i nie liczył więcej niż 30 partyzantów.

Trzon oddziału stanowili partyzanci, którzy przed wojną odbyli służbę w kawalerii, ale większość nie posiadała w ogóle przeszkolenia wojskowego. Pochodzili z Suchego Lipia, Rudnika, Gorzkowa, Łopiennika i Borowa. Do oddziału dołączyło również kilka osób z Wirkowic. Partyzantem oddziału był też Niemiec, który zbiegł z elkaemem i parabellum z kompanii wartowniczej, ochraniającej lotnisko pod Zamościem, oraz Żyd – kapral „Cichy” (NN) – zbiegły z obozu na Majdanku.

Nie sposób w tej chwili wymienić nazwiska wszystkich partyzantów. Obok E. Hilchera („Strzały”) w oddziale byli: wspomniany już „Cichy”, Edward Czwórnóg z Suchego Lipia, Godlewski, Edward Hilcher, młodszy brat „Strzały”, Zdzisław Kiełczewski („Kłos”) z Suchego Lipia, Jan Kowalewski („Ptasznik”), Roman Kudrycki z Suchego Lipia,

Jakub Kunikowski („Kuba") wysiedleniec z poznańskiego, mieszkał w Suchym Lipiu, Włodzimierz Lewandowski („Lew"), Adam Łukaszczuk („Wojtek"), Janusz Orliński, syn znanego przed wojną lotnika – Bolesława Orlińskiego, Stanisław Rapa z Łopiennika, Piotr Rudnicki („Honoriusz") z Borowa, Zenon Szymański („Ryba") z Chełma, „Wierzba" (NN), Zbigniew Tura („Żbik"), Stanisław Wrona („Dratwa") z Felicjana oraz wymieniony już Niemiec.

W końcowym okresie swego istnienia oddział dysponował co najmniej 11 końmi. Na uzbrojeniu miał ręczny karabin maszynowy, lekki karabin maszynowy, 2 steny, reszta partyzantów dysponowała karabinami produkcji polskiej lub bronią krótką. Tabor oddziału stanowiły dwa parokonne zaprzęgi.

W drugiej połowie maja „Strzała" przeszedł ze swym oddziałem w lasy bonieckie. Miejsce postoju zmieniano co kilka dni, zatrzymując się w rejonie Surhowa, Wirkowic, Płonki, Romanówka, Ujazdowa i Stawu Noakowskiego. W rejonie Wirkowic nawiązał kontakt z miejscową placówką, a za jej pośrednictwem z radziecką grupą dywersyjną. Wspólnie z nią uczestniczył w dwóch wypadach na niemieckie transporty wojskowe: 24 maja, na linii między Krasnymstawem a Izbicą wysadzono pociąg towarowy (…). Drugą „kolejówkę" wykonano 27 maja w pobliżu Izbicy. Po wysadzeniu pociągu partyzanci stoczyli potyczkę ogniową z eskortą, zmuszając ją do ucieczki. Podczas wymiany ognia poległ żołnierz z placówki Wirkowice, pchor. „Orlik" (NN).

W dniu 9 czerwca 1944 r. oddział „Strzały" stanął w folwarku Ujazdów. W tym właśnie czasie Niemcy rozpoczynali jedną z większych akcji oczyszczających zaplecze frontu. Trudno dziś wyjaśnić, dlaczego w zaistniałej sytuacji zdecydowano się na pozostanie w folwarku. Prawdopodobnie uznano, że w sytuacji, kiedy Niemcy zdecydowali się wejść do pobliskich lasów, pozostanie w zabudowaniach folwarku może dać większą szansę uniknięcia konfrontacji z Niemcami (...).

Kiedy w dniu 10 czerwca około godziny 4 nad ranem wartownicy spostrzegli Niemców, folwark był już otoczony przez 8. kompanię pułku Selbstschutzu. Próby podjęcia skoordynowanej obrony spełzły na niczym. Oddział już w tym momencie nie tworzył zwartej, bojowej jednostki. Dał tu znać o sobie brak „ostrzelania" i doświadczenia młodych partyzantów.

W chwili, gdy Niemcy znaleźli się w obrębie zabudowań, większość próbowała przebijać się na własną rękę. Tylko część z nich zamiar ten realizowała w małych grupkach i właśnie ci w większości ocaleli. Po trwającej blisko godzinę akcji Selbstschutzu, oddział konny „Strzały" przestał praktycznie istnieć. Poległo 10 partyzantów; wielu z nich zostało rannych. Niektórzy, aby nie wpaść w ręce wroga kończyli śmiercią samobójczą.

Oddział utracił sporo broni, wszystkie konie i cały tabor. Policyjny meldunek po akcji w Ujazdowie podawał, że Selbstschutz zdobył polski rkm, angielski pistolet maszynowy (sten), 7 karabinów, pistolet, 11 koni, 2 wozy taborowe, 11 siodeł i 3 maski gazowe. Niemcy mieli tylko jednego rannego.

Niektóre z relacji upatrują przyczyny tego dramatu w zdradzie jednej z mieszkanek folwarku (Ukrainki?). Czy tak było naprawdę? Tego chyba nie da się nigdy wyjaśnić. Nie wyjaśnia tego ani innych okoliczności, zachowana lakoniczna notatka niemieckiego meldunku. W jego treści nie ma nic, co mogłoby sugerować, że wejście Niemców na teren folwarku było efektem donosu.

Do dziś nieustalona jest liczba poległych i rannych. Najczęściej podaje się liczbę 8 zabitych, ale wymienionych z nazwiska lub pseudonimu tylko 5: Stanisław Wrona („Dratwa"), „Cichy", Stanisław Rapa*, „Wierzba" oraz nieznany z nazwiska ani pseudonimu – Niemiec. Podobne trudności istnieją w ustaleniu liczby rannych. Znane są tylko 3 nazwiska: Jan Kowalewski („Ptasznik"), Piotr Rudnicki („Honoriusz") i Edward Czwórnóg. Wiadomo jednak, że liczba rannych była o wiele wyższa. Nieznana jest przy tym liczba partyzantów, którzy kwaterowali wówczas w Ujazdowie. Prawdopodobnie część ludzi znajdowała się wówczas poza oddziałem. Meldunek niemiecki podaje, że w Ujazdowie zabito 11 osób. Jednak najprawdopodobniej zginęło dziesięciu – na co może wskazywać ilość utraconej broni (właśnie 10 sztuk). Kim więc byli pozostali polegli? Jak brzmią ich nazwiska lub pseudonimy! Czy mają pozostać nadal nieznanymi?

Od dramatu w Ujazdowie minęło ponad 42 lata. O ile nic nie zmieniło się w ostatnich latach, to na cmentarzu w Gorzkowie nadal figurują dwa nazwiska – Wrony i Rapy, z dopiskiem: „i inni". Przygotowałem ten szkic m.in. z myślą, aby zaapelować do wszystkich, którym znane są dzieje Konnego

Oddziału Partyzanckiego ppor. „Strzały", by i bezimiennym przywrócić ich prawdziwe nazwiska.

Ireneusz Caban

Był rok 1990 lub 91, gdy w archiwum Lubelskiego Sądu Rejonowego natrafiłem na opis działalności konspiracyjnej organizacji „Miecz i Pług" („MiP") na terenie gminy Nielisz. Było to zeznanie kpt. Tadeusza Kuncewicza – „Podkowy", pochodzące z jego sądowych akt. To w nich znalazłem krótki opis tragedii, bliżej nieokreślonego oddziału AK z obwodu krasnostawskiego:

W roku 1944 zostałem wysłany do nawiązania kontaktu z 27. Wołyńską Dywizją, rozbitą przez Niemców za Bugiem. W tym czasie zastępował mnie por. „Dan" (Jan Brochowski), który z resztą oddziału zakwaterował w Borku [Noakowskim – W.S.]. *Będąc tam kilka dni, miał akcję wspólnie z organizacją „Miecz i Pług" na niemiecką żandarmerię (…).*

Wracając z Hrubieszowskiego umówiłem się z krasnostawskim oddziałem AK na wspólną akcję na wieś Nawóz i posterunek na Wieprzu pod Nieliszem. Silny posterunek na moście pod Nieliszem i nasiedlona przez Niemców wioska Nawóz osłaniały kolonistów przed napadami partyzantów. W czasie koncentracji, na terenie zajmowanym przez nas zjawił się większy oddział niemiecki. Nasze oddziały wycofały się w rejon Radecznicy. Oddział krasnostawski zlekceważył niebezpieczeństwo. Został zaatakowany na wygodnych kwaterach i rozbity, tracąc połowę ludzi w zabitych, wszystkie konie i sprzęt. Oddział „MiP", który wycofał się wraz z moim oddziałem, po kilkunastu dniach wrócił na swój punkt w Borku.

Nie znając wtedy artykułu I. Cabana, nie mogłem „dopasować" do tego epizodu żadnego krasnostawskiego oddziału. Dopiero mój, nieoceniony w takich sprawach, ojciec – partyzant III Rejonu AK (placówka Izbica), wyprowadził mnie z tej niewiedzy, opowiadając historię zasłyszaną w 1945 r. w *302 prowieroczno-filtracjonnom łagierie mołotowskoj obłasti* na Uralu. Opowiedział mu ją Roman Kudrycki z Suchego Lipia – były podkomendny por. „Strzały" – teraz towarzysz niedoli ojca, począwszy od krasnostawskiego więzienia (grudzień1944).

Jego przekaz jest na ogół zgodny z tym, co pisze Ireneusz Caban. Rozbieżności dotyczą głównie wątku konfidencjonalnego. Caban sugeruje, że

donos na oddział mogła złożyć ukraińska wyrobnica folwarczna, ale wycofuje się z tego, nie znalazłszy potwierdzenia w niemieckim meldunku. Natomiast Kudrycki był przekonany o zdradzie, ale nie Ukrainki, tylko dzierżawcy folwarku Koziełły, który miał rzekomo dać „cynk" kolonistom[3].

Zarzut ten od razu wydał mi się chybiony, chociażby z tego względu, że arendarz i jego córka Krystyna należeli do AK[4]. Tylko że sama przynależność do konspiracji nie wyklucza ewentualnej zdrady... I tu przyszedł mi w sukurs ksiądz Stanisław Samorek, proboszcz parafii św. Wojciecha i Matki Bożej Różańcowej w Nieliszu, który w swoich wspomnieniach potwierdził moją supozycję:

Bronił ludzi przed Niemcami. Kiedy ludzie oddawali kontyngent, wyrobił pozwolenie, że swoje zboże oddawał rolnikom na zasiew. Nasłali mu wysiedlonych z Poznańskiego, pomimo że Niemcy surowo zabraniali przyjmowania obcych. Każdy się cisnął tutaj, każdy został przyjęty, nakarmiony, ogrzany w dzień i w nocy (...).

Ludzie mu się odwdzięczyli: okradli – nocami rabowali konie, krowy, świnie. Przez swoje roztargnienie dopuścili do bitwy z Niemcami przed jego domem, ponieśli klęskę, a jego samego narazili na odpowiedzialność. Niemcy podczas odwrotu spalili zabudowania, a Rząd Ludowy zabrał majątek. Lubiany i szanowany Pan Doktor ledwo z życiem przeniósł się do Zamościa, gdzie pracuje na chleb i na utrzymanie rodziny jako obrońca sądowy. Ludzka pamięć krótka, młodzi nie wiedzą, inni zapomnieli, ale u starszych, cośmy korzystali z jego pomocy w pamięci i w sercu zostawił dla siebie wielką wdzięczność[5].

[3] W maju 1944 r. został utworzony Pułk Samoobrony Zamość składający się z 3 batalionów (8 kompanii). Wszyscy etniczni Niemcy (koloniści) w wieku od 16 do 60 lat zostali powołani do służby w tym pułku, który w sile ok. 2 tys. ludzi wziął udział w operacji „Majowa Burza". Jej celem była likwidacja oddziałów partyzanckich, głównie na Zamojszczyźnie. Wg. Kudryckiego, oddział „Strzały" został rozbity przez landwachy posterunków ochronnych kolonistów (tzw. „czarnych") z Ruskich Piask i Krzaka – wchodzących w skład ww. pułku jako 8 kompania.

[4] Patrz: J. Grygiel, *ZWZ i AK w Obwodzie Zamojskim 1939-1944,* PWN Warszawa 1985, ss. 201 i 207.

[5] Tadeusz Kozieł vel Koziełło, syn Leopolda i Marii z d. Tuziak, ur. w parafii Janów k. Gródka Jagiellońskiego w 1890 r. Podczas I wojny światowej oficer armii au-

W dalszym toku swej opowieści Kudrycki mówi o jeszcze jednym znamiennym fakcie, mogącym finalnie zaważyć na losie oddziału. Twierdzi on, że przed niechybną śmiercią uratował go wyjazd na patrol (prawdopodobnie) do Borku[6]. „Strzała" miał jeszcze nadzieję na złapanie kontaktu z oddziałem „MiP", którego już tam nie było. Tak więc, to brak dowódcy w tak kluczowym dla oddziału momencie, stał się przyczyną jego pogromu.

Nie wiem, jaki był odzew na apel autora, ale sądząc po lekturze jego kolejnej publikacji – raczej niewielki[7]. Dlatego ośmieliłem się wtrącić swoje „trzy grosze" jako podzwonne dla tragicznych bohaterów i spóźniony głos w dyskusji nad rozwikłaniem ostatniej, jakże intrygującej zagadki, dotyczącej fatalnej decyzji pozostania oddziału w rejonie koncentracji znacznych sił niemieckich.

Waldemar Seroka

* Ojciec mój twierdził, że Stanisław Rapa pochodził z Widniówki, a nie z Łopiennika. Był synem gajowego, który wraz z drugim synem Janem (bratem Stanisława), byli wywiezieni w listopadzie 1944 roku, do zespołu łagrów Borowicze. Przebywali w podobozach w Ustiu i Jogle, gdzie zmarli na *krowawyj ponos.*

Waldemar Seroka - urodzony w 1949 roku, emerytowany oficer Wojska Polskiego, syn żołnierza AK i zesłańca Sybiru, regionalista i pasjonat historii Armii Krajowej. Autor publikacji na temat żołnierzy Armii Krajowej z Zamojszczyzny.

stro-węgierskiej. W 1923 zamieszkał w Lublinie jako aplikant adwokacki. Tutaj poślubił Marię Stanisławę Pankowską, urzędniczkę z Lublina. Około roku 1927 wydzierżawił od Adama Sierakowskiego i jego żony Marii Julii z Gorzkowskich 159-hektarowy folwark z neorenesansowym dworkiem z 1880 roku. Zmarł w 1969 roku w Lublinie, pochowany w Zamościu. Ceniony adwokat, doktor praw.

6 Wypowiedź Kudryckiego jednoznacznie potwierdza hipotezę I. Cabana, że część ludzi (podczas ataku na folwark) mogła się znajdować poza oddziałem.

7 Patrz: I. Caban, *Ludzie Lubelskiego Okręgu Armii Krajowej,* Lublin 1995, s. 63.

Lucjan Cimek

Słowo o Mikołaju Reju

Praojciec poezji polskiej podpisywał się Mikołaj Rej z Nagłowic, ale tylko na rewersach, dokumentach notarialnych i aktach lokacyjnych, bo utwory literackie, którymi się zabawiał jakby od niechcenia, sygnował pseudonimem Ambrożego Korczboka Rożka. Nawet się nie urodził w tych ojcowych Nagłowicach, tylko wiosną 1505 roku w Żórawnie położonym u ujścia Świcy do Dniestru, rodowej majętności matki. Umarł zaś pod jesień 1569 roku – czy w Rejowcu, założonym przez siebie miasteczku na miejscu dostatniej pod Chełmem wsi Kobyle, czy w Okszy, też założonym przez siebie miasteczku pod Krakowem, tego zupełnie na pewno nie wiadomo. Mikołaj Rej, założyciel miast, a więc szlachcic nietypowy, bo przecież szlachta, o psychice typowo rustykalnej, miastem gardziła.

Nie pierwsza to i nie ostatnia sprzeczność w jego portrecie. Właściciel kilku wsi i jednego miasteczka pod Krakowem (a w Krakowie osobnej kamienicy na ul. Grodzkiej), kilku wsi i jednego miasteczka pod Chełmem i kilku wsi pod Haliczem, był Mikołaj Rej panem możnym i bogatym. Pieczętował się herbem Oksza, którym jak wynika z nazwy, jest topór. Można się w tym dopatrzyć wielostronnie charakteryzującego twórczość Reja symbolu. Ta twórczość jest dzisiaj dla nas jakaś klocowata i guzowata, jakby z grubsza toporem ciosana. Rzeczywiście musiał ja wyciosywać z niezgrabnej, sękatej kłody ówczesnej mowy polskiej. Tą twórczością z kolei jak toporem musiał przerąbywać przez zwarty gąszcz, rzekłbym odwieczną puszczę, ówczesnej oficjalnie panującej literatury łacińskiej prosty i jasny dukt ku czarnolesiu poezji polskiej.

Wprawdzie usiłowano to robić i przed nim, i współcześnie z nim, jak choćby Biernat z Lublina i Marcin z Białej, ale tylko jednemu Mikołajowi z Nagłowic to się udało. I tylko jemu jedynemu przysługuje czcigodne miano praojca literatury polskiej. Ale czy również i poezji polskiej?

Niewątpliwie. Zgodnie ze stanem świadomości swojego wieku, uważał słowo za narzędzie

Portret Mikołaja Reja namalowany przez artystę malarza Andrzeja Misztala z Rejowca (fot. Lucjan Cimek, 17 stycznia 2019).

osobistej wypowiedzi. Najbardziej trafny wyraz, czyli najbardziej precyzyjny układ słów służący tej wypowiedzi, uważał za istotę poezji. Uprawiane przez niego bogactwo form literackich świadczy o instynktownie odczuwanej potrzebie doskonałości słowa czy poezji.

Czy Mikołaj Rej robił to świadomie? Rzecz bardzo wątpliwa. Tak samo jak zaczął pisać po polsku nie ze świadomego wyboru, lecz z konieczności. Był przecież tylko samoukiem. Skończył jakąś tam szkołę przyklasztorną. Potem przetarł się nieco na jakimś jednym i drugim dworze wielkopańskim. Ale chociaż nawet przez rok był słuchaczem Akademii Krakowskiej, to jednak z łaciną nie obzwyczaił się nadmiernie nigdy. Z grzechu tedy uczynił cnotę i zaczął pisać tak jak mówił, i tymże językiem, którym na co dzień się posługiwał. Tak oto z przypadku, a nie ze świadomości zaplanowania stał się Mikołaj Rej inwentorem literatury, a więc i poezji polskiej – podobnie jak z przypadku, na przykład Krzysztof Kolumb (płynąc do Indii) został odkrywcą Ameryki. Ale czy to jest zasługa? Jest. I to jeszcze jaka! Przecież Mikołaj Rej mógł nie skorzystać z tego przypadku, a uczynić z grzechu cnotę to zasługa wcale duża, jeśli zaś chodzi

o Reja w odniesieniu do polskiej literatury, a więc i poezji – wprost wiekopomna.

Posiadał Mikołaj Rej zmysł muzyczny, talent słowny i dar wyobraźni, a główną jego pasją było rymotwórstwo. Pisze Aleksander Brückner: *Od roku 1543 do 1568 pisał i pracował w jednym ciągu i żaden dawny pisarz z nim porównać się nie może co do ilości, ani co do objętości dzieł*… I z tą konstatacją całkowicie się dziś zgadzamy, uznając w Reju praojca naszej poezji z czego i Rejowiec może być dumny, a także Siennica Różana, która stanowiła dobra posagowe jego żony.

Lucjan Cimek

Lucjan Cimek

Jesienny las

Jesienią las paletą barw się mieni
w mgle porannej nie widać promieni.
W słońcu ogień czerwieni i żółć liści
sprawia, że wzrok piękno pochłania.
Lekki szelest podszytu – to łania.
Spłoszona królowa z uniesioną głową,
dumnie prezentuje suknię zimową.
Na polanie wśród leśnej przerzedzi,
dzięcioł pstrokaty na gałęzi siedzi.
I pozostawił blizny na konarach,
gdzie trzymał szyszki w szparach.
Tylko ja we wspomnieniach zatopiony,
idę przez las porą roku zmieniony.
Bowiem jesień ma to do siebie –
koloruje liście i obłoki na niebie.

Buk i sosna, przytuleni jak para kochanków (fot. Lucjan Cimek).

Elżbieta Kmieć

Krótka historia z drugiej strony

Wśród naszych rodzinnych pamiątek jest list. Jego nadawca i adresatka od dawna nie żyją. Napisany został do młodej kobiety 78 lat temu, w Toruniu. Ma on jednak, jak medal, dwie strony. Tuż po zakończeniu wojny brakowało wszystkiego, także papieru na listy. Kartka zapisana tylko z jednej strony nadawała się jeszcze do wykorzystania, choćby na list. I właśnie o tej drugiej stronie, która ma swoją historię, jest niniejszy tekst. List został dostarczony do Izbicy pocztą polową nr 50115B na przełomie września i października 1945 roku. Taki numer miała poczta 10 Brygady Artylerii Ciężkiej w Toruniu. Dzisiaj, kiedy w nieprzebranych zasobach Internetu jest prawie wszystko, nietrudno było taką informację zweryfikować. Zacznijmy jednak od treści listu.

Kan. Kwiecień Mieczysław
Bat. Sztabowej
plut. zwiadu

Toruń, 8.09.45 r.

Do
Z-cy Dowódcy 10 Br. Art.
do spraw polowychyw

Raport

Proszę o udzielenie mi 15 dniowego
urlopu na Dolny Śląsk wieś Kraśnicy
pow. Milicz w celu wyszukania gospodarstwa dla moich rodziców.
Rodzice moi przyjechali zza Buga
i nie mogą znaleźć gospodarstwa.
Mieszkają we wsi Kraśnice gdzie znajdują
się w ciężkim położeniu.
Ojciec ma lat 61, matka 55 i mieszkają
sami bez żadnej opieki.
Zabezpieczenie ich na zimę jest najważniejszą dla nich sprawą.
Proszę o przychylne załatwienie mej sprawy.

Kan. Kwiecień Mieczysław.[1]

List kanoniera Mieczysława Kwietnia, którego stopień odpowiadał szeregowemu w innych rodzajach wojsk, jest po żołniersku zwięzły. Napisany atramentem, bez błędów ortograficznych, czytelnym i wyrobionym charakterem pisma. Prawdopodobnie piszący skończył przed wojną co najmniej gimnazjum. Jednak wnosząc z posiadanego przez niego stopnia, kariery w wojsku nie zdążył zrobić. Poza tym niewątpliwie był on człowiekiem młodym. Bowiem tylko młody uważa, że osoby w wieku 55-61 lat wymagają opieki. Czy raport spotkał się z przychylnością zastępcy dowódcy brygady do spraw polityczno-wychowawczych? Przypuszczalnie tak. Czy rodzina Kwietniów osiadła na stałe w Kraśnicy? Nie wiadomo. Próbowałam to sprawdzić i przejrzałam strony internetowe powiązane z miejscowością Krośnice w powiecie milickim, w województwie dolnośląskim. Natknęłam się nawet na informację, że tuż po wojnie nazwała się Kraśnica. I choć nieczęsto, to trafiałam na nazwisko Kwiecień, podawane w różnym kontekście. Ale czy miałoby ono związek z rodziną „naszego" Kwietnia?

Dlaczego naszego? Otóż historia 10. brygady artylerii ciężkiej ma początek w rejonie Zamościa. Powstała jako jednostka 3. Armii Wojska Polskiego w ramach prób tworzenia w 1944 roku Frontu Polskiego. Poszczególne jednostki formowano w Zamościu, Tomaszowie, Krasnymstawie, Hrubieszowie, Chełmie itd., a opierały się głównie na masowym poborze młodych mężczyzn z Lubelszczyzny. Krótka historia tej formacji rozpoczęła się 10 października 1944 roku, a zakończyła jesienią 1945 roku, przeformowaniem w 71. pułk artylerii ciężkiej. W międzyczasie, 15 listopada 1944 zaniechano tworzenia 3. Armii Wojska Polskiego. Zapewne przyczyniły się do tego wydarzenia z 12-13 października w Białce koło Krasnegostawu, nazywane hasłowo największą dezercją w historii Ludowego Wojska Polskiego.

Wydarzenia z przeszłości i ich bohaterowie, opisywane w „Nestorze" także przeze mnie, często miały swój dalszy ciąg. Potwierdza to, że czasopismo dociera do wielu czytelników w całym kraju. Po opublikowanym w nr. 4(14)20 tekście o szkołach, napisał do mnie krewny kierownika szkoły

[1] Układ raportu i pisownia oryginalne.

w Izbicy, Edwarda Steindla. Po artykule, autorstwa głównie brata Zbigniewa, o Czesławie Konczewskim w nr. 3(17)20 „Nestora", odezwała się rodzina Konczewskich z Krakowa. Miła dla mnie była reakcja rodzin zabitych partyzantów, o których pisałam w nr. 2(64)2023. Do tekstu o Annie German w nr. 3(65)2023, także można dopisać ciąg dalszy. Wszystko wskazuje na to, że matka Anny sprzedała wyposażenie mieszkania, które przywiozła do Polski, rodzicom pani Teresy S., którzy zamieszkali w 1946 roku w Kraśniczynie. Do dziś zachowała ona ręcznie wyszywaną, lnianą serwetę, być może rękami bliskich Anny German. Dlatego niewykluczone, że także krótka historia kanoniera Mieczysława Kwietnia, przedstawiona powyżej, doczeka się dalszego ciągu. Czego sobie i Redakcji „Nestora" serdecznie życzę.

Elżbieta Kmieć

Elżbieta Kmieć z d. Cimek urodziła się w 1955 r. Ukończyła Liceum Ogólnokształcące im. Władysława Jagiełły w Krasnymstawie oraz studia prawnicze na UMCS w Lublinie. W 1973 r. zamieszkała w Izbicy gdzie z mężem Janem pozostaje do dzisiaj. Przez większość życia zawodowego związana była z administracją oświatową w gminie Izbica. W 2016 roku, po prawie 40 latach pracy przeszła na emeryturę. Była radną Rady Powiatu w Krasnymstawie IV i V kadencji. Wolny czas przeznacza na czytanie książek, o których pisze w mediach społecznościowych. Interesuje ją historia i literatura faktu. Jest autorką monografii pt. „Historia szkół w gminie Izbica (Zarys)", która ukazała się w 2012 r. Można powiedzieć, że kontynuuje ojcowskie tradycje literackie poety Edwarda Franciszka Cimka. Podobnie jej córka Katarzyna Maria Garbacz jest autorką szeregu opracowań naukowych jako prof. dr hab. nauk medycznych Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego.

Andrzej David Misiura

Zalążki łowiectwa na terenie powiatu krasnostawskiego

Warto przypomnieć, że po odzyskaniu niepodległości pierwsze stowarzyszenie skupiające krasnostawskich myśliwych powstało zaledwie w rok po utworzeniu Galicyjskiego Towarzystwa Myśliwych i Polskiego Związku Myśliwych w Poznaniu. Powołanie zainicjowali Seweryn Luterek i Bronisław Szymański. 21 listopada 1921 roku zwołali zgodnie z wymogami rejestracyjnymi piętnastoosobową grupę myśliwych w siedzibie Towarzystwa Kulturalno-Oświatowego „Ogniwo" w Krasnymstawie z zamiarem utworzenia oddziału Lubelskiego Towarzystwa Myśliwskiego. W skład tymczasowego czteroosobowego Zarządu weszli: Szymański (prezes), Luterek, Krukowski i Wincenty Certowicz. Gdy okazało się, że lubelskie towarzystwo formalnie nie istnieje, dwaj główni inicjatorzy postanowili opracować statut dla niezależnego Krasnostawskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, który 11 lipca 1922 roku został zatwierdzony przez wojewodę lubelskiego. Pod statutem jednak figurowało jedynie dziesięć osób: Bronisław Szymański, Stanisław Leszczyński, Tadeusz Krukowski, Karol Stangenberg, Bolesław Orłowski, Stanisław Bujalski, Wiktor Hendigery, Jan Muszalski, Seweryn Luterek i Apoloniusz Piechowicz.

Wiktor Hendigery – współzałożyciel KTPM (fot. z archiwum rodziny Hendigerych).

Na siedzibę wskazano Syndykat Rolniczy w Krasnymstawie, gdzie biuro miał prowadzić Seweryn Luterek. Towarzystwo posługiwało się

pieczęcią przedstawiającą łeb jelenia, na którym pomiędzy rogami widniał krzyż, ze skróconym napisem w otoku: „KRASNYSTAWSKIE TOWARZYSTWO PRAWIDŁ. MYŚLISTW".

Statut zakładał szeroką działalność, a mianowicie przewidywał powołanie muzeum, biblioteki oraz klubu, w którym można urządzać spotkania, grać w karty, bilard, organizować uroczystości i zabawy. Podstawowym jednak działaniem towarzystwa miało pozostać, oprócz selekcji, tępienie kłusownictwa i hodowla zagrożonych gatunków na terenie całego powiatu.

Zaproponowano wprowadzenie rocznego zakazu polowań w wybranych rejonach, m.in. w lasach Antoniówki, Chełmca, Siedlisk oraz Krasnegostawu, przeznaczając je na mateczniki, w których można byłoby odbudować zwierzostan poprzez m.in. sprowadzanie młodych bażantów, kuropatw i zajęcy. Prezes Towarzystwa apelował również o tępienie szkodników, takich jak zdziczałe koty, psy, jastrzębie i inne. Za aktywność w tym zakresie oferował nagrody w postaci m.in. branżowych odznak.

Niebawem zainwestowano w otwarcie sklepu myśliwskiego przy firmie handlowej Żebrowski-Gleń. Sklep zaopatrywał członków towarzystwa i leśników w amunicję oraz inne artykuły po preferencyjnych cenach, za okazaniem legitymacji lub pozwolenia na broń.

W roku 1936 powiat reprezentowało aż czterech delegatów do Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie. „Kalendarz myśliwski" wymienia następujące osoby: Jerzy Koszarski – Krasnystaw, Siennica Różana, Stefan Lipiński – Gorzków, Piaski Szlacheckie, Wojciech Michalski – Krasnystaw, Ludwik Thones – Izbica n/Wieprzem, Ostrzyca.

Towarzystwo Prawidłowego Myślistwa „Szarak"

Zanim ucichła wojenna zawierucha, jesienią 1948 roku zaczęło formować się w Krasnymstawie nowe stowarzyszenie pod nazwą Towarzystwo Prawidłowego Myślistwa „Szarak". Do tego czasu okoliczni pasjonaci myślistwa indywidualnie dzierżawili tereny łowieckie. Oto jedna z list dzierżawców w obszarze dawnej gminy Siennica Różana, z których część zainicjowała później powstanie TPM „Szarak" (od 1953 r. Koło Łowieckie nr 16 „Szarak"):

1.	Franciszek Bąk, Żdżanne	850 ha
2.	Roman Iwanicki, Wieś Krupe	1 053 ha
3.	Roman Iwanicki, Stójło	300 ha
4.	Władysław Januszewski, Krupiec i Wincentów	750 ha
5.	Władysław Januszewski, Siennica Różana	692 ha
6.	Władysław Januszewski, Czarnoziem	400 ha
7.	Józef Kociuba, Ostrów Krupski	550 ha
8.	Jan Łazuka, Bzite	770 ha
9.	Jan Seweryn, Siennica Królewska	530 ha
10.	Franciszek Szajner, Maciejów	675 ha
11.	Jan Szostek, Wola Siennicka	1 000 ha
12.	Józef Wrona, Siennica Nadolna	1 032 ha
	Razem:	**8 602 ha**

Józef Drygasiewicz i inni dzierżawili tereny w obrębie gmin Izbica i Tarnogóra. Wśród nich lekarz Stanisław Pawłowski, żołnierz AK (krewny kowala Stanisława Pawłowskiego), który w czasie II wojny światowej ścigany był przez okupantów niemieckich. Sytuacja ta zmusiła go do wstąpienia do oddziału partyzanckiego AK i zmiany miejsca zamieszkania, co odseparowało go od grupy inicjatywnej.

W formalnej grupie członków założycieli Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa „Szarak" znalazło się szesnaście osób, czyli o jedna więcej niż minimalna liczba konieczna do rejestracji.

Bolesław Czarnecki, kierownik skupu, Krasnystaw (delegat na konferencję, 1951 r.),

Wiktor Czech z Izbicy, kierownik klinkierni (nieobecny w 1951 r.),

Józef Drygasiewicz, kowal z Wólki Orłowskiej (wiceprezes, 1951 r.),

Andrzej Hałas, kierownik młyna w Krasnymstawie (prezes, 1951 r.),

Władysław Januszewski z Krasnegostawu, inspektor PMT Lublin,

Roman Iwanicki z Kasjanu, lekarz pogotowia ratunkowego w Krasnymstawie,

Józef Kociuba, Krasnystaw, radca prawny PZGS (komisja rewizyjna, 1951 r.),

Czesław Kolasiński, rolnik z Fajsławic,

Jan Martynowski, kierownik ds. handlu spółdzielni „Świt" w Krasnymstawie,

Aleksander Matys z Niemienic (nieobecny w 1951 r.),

Marian Parcheta z Krasnegostawu (sekretarz Koła w 1951 r.),

Stanisław Pawłowski, kowal z Wólki Orłowskiej w gm. Izbica,

Antoni Pliszka, kierownik Referatu Handlu PPRN w Krasnymstawie,

Jan Seweryn, fotograf z Krasnegostawu (skarbnik w 1951 r.),

Stanisław Szymański z Białki (nieobecny w 1951 r.),

Tadeusz Wlizło, rolnik z Widniówki.

Pierwsi dzierżawcy i członkowie Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa „Szarak", późniejszego Koła Łowieckiego nr 16 „Szarak" w Krasnymstawie, w kolejności alfabetycznej. W nawiasach daty urodzenia. Fotografie: zbiory rodzinne, IPN w Lublinie, opracowanie A.D. Misiura „Dzieje Szaraka".

Wiktor Stanisław Czech

Józef Drygasiewicz (1912)

Stefan Golibroda (1900)

Andrzej Hałas (1897)

Roman Iwanicki (1915)

Władysław Januszewski (1915)

Józef Kociuba (1908)

Czesław Kolasiński (1916)

Jan Łazuka (1906)

Jan Martynowski (1921)

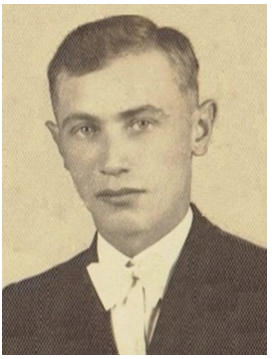

Aleksander Matys (1913)

Marian Migal (1925)

Michał Nizioł (1885)

Jan Paradowski (1916)

Stanisław Pawłowski (1893)

Stanisław Pawłowski

Władysław Pawłowski (1910)

Antoni Pliszka (1904)

Władysław Przychodaj (1914)

Bolesław Rogoś (1909)

Jan Seweryn (1917)

Stanisław Szawara (1917) fot. IPN

Jan Szostek (1908)

Stanisław Szymański (1910)

Tadeusz Wlizło (1920)

Józef Wrona (1908)

Władysław Wrona (1912)

Na liście 25 członków Towarzystwa sporządzonej 15 listopada 1951 roku brakuje trzech nazwisk spośród członków założycieli, pojawia się natomiast trzynaście nowych:

Stanisław Domański, mechanik z Surhowa,

Stefan Golibroda, prezes GS w Krasnymstawie (gospodarz I w 1951 r.),

Franciszek Gruszczyński, kierownik w PZGS w Krasnymstawie (łowczy,1951 r.),

Jan Łazuka, rolnik z Bzitego, ówczesna gm. Siennica Różana,

Marian Migiel z Orłowa Murowanego, leśniczy (gospodarz II, 1951),

Michał Nizioł z Tarnogóry, lekarz Gminnego Ośrodka Zdrowia w Izbicy,

Stanisław Olejnik, pracownik Państwowego Monopolu Tytoniowego,

Władysław Pawłowski, kowal z Wólki Orłowskiej w gm. Izbica,

Jan Paradowski ze Stryjowa, gm. Izbica, kierownik sklepu GS,

Władysław Przychodaj ze Stryjowa, gm. Izbica, pracownik GS,

Bolesław Rogoś, rolnik z Małochwieja Dużego,

Stanisław Szawara, komendant posterunku MO w Krasnymstawie,

oraz

Władysław Wrona rolnik z Siennicy Nadolnej, gm. Siennica Różana.

Władysław Wrona był młodszym bratem Józefa Wrony, indywidualnego dzierżawcy terenów łowieckich w obrębie Siennicy Nadolnej przed 1948 rokiem. Żaden z nich jednak nie występuje w późniejszych dostępnych dokumentach Koła Łowieckiego „Szarak". Według informacji córki i wnuka (również myśliwych), Józef Wrona wstąpił do sąsiedniego Koła Łowieckiego „Jarząbek". Zaprzeczali przy tym jakoby stryj Władysław miał być również myśliwym. Lista członków towarzystwa jednak nie pozostawia złudzeń, Władysław Wrona figuruje jako członek towarzystwa w roku 1951.

Myślistwo zawsze było kosztowną pasją, ale przyciągało przedstawicieli różnych zawodów. „Szarak" w swoich szeregach miał kilku lekarzy, prezesów, kierowników, sekretarzy, funkcjonariuszy, radców prawnych, rzemieślników, pracowników przeważnie spółdzielczych instytucji oraz rolników. W późniejszych latach przynależność stała się niemalże modą i awansem dla niektórych grup społecznych.

cdn

Andrzej David Misiura

Edward Wierzchoś

Rymowanka listopadowa 2023

Co byłby wart Świat Panie Andrzeju,
bez zniczy na grobach,
Świąt Listopadowych i nadziei
na ciała Zmartwychwstanie,
które zapewniał nam Chrystus
umierający na Krzyżu Cedrowym.

Co by było: bez wiary, kościołów,
modlitwy osób konsekrowanych,
jak też przebaczania, za wiele dni
na Ziemi dla Nieba zmarnowanych.

Co by było: gdyby na smutek śmierci,
jak też przygnębienie,
nie można było „świeczki pamięci" zapalić –
Tym którzy są Wiary Niebie.

Więc gdy jeszcze w sercach płoną
te „płomyki zadumy" o najbliższych,
oczekujących Miłosierdzia
i w Bogu Zmartwychwstania,
wiedzmy, że też nadejdzie nasz czas –
Wiekuistego Trwania.

Modląc się zatem za Dusze Zmarłych
i ich Wieczne Jutra,
prośmy Wszystkich Świętych by nam –
także została uchylona
„Radosna Niebiańska" a nie ta
„Wiecznego Potępiana Furta".

Andrzej Stanisław Adamczuk

Zima idzie! Nie ma na to rady!

Z cyklu: „Mój Jaślików"

Jesień jeszcze od czasu do czasu czarowała bezchmurnym niebem i ciepłym słońcem, ale w końcu przychodził ten zimny, wietrzny i deszczowy listopad, wiatr i przymrozki ogołociły drzewa z liści, ludzie zaczęli wyciągać ze strychu zimowe odzienie, ciężkie kurtki podbite „baranem", zimowe walonki z kaloszami, czapki z nausznikami, grube rękawice z baraniej wełny.

W niektórych stodołach dało się słyszeć głuche, rytmiczne walenie cepów o klepisko – to ci, którzy jeszcze nie całkiem przekonali się do mechanizacji robót i czas jesieni z zimą przeznaczali na młócenie zboża metodą „bardzo tradycyjną".

W chałupach już prawie na okrągło podtrzymywano ogień w paleniskach kuchennych, jesienne chłody dawały się we znaki i jak tylko ogień w grubce przygasał, ziąb łaził po kątach w chałupie. Przez szpary w oknach wiatr dmuchał na prymulki i pelargonie stojące na parapecie, a one „przytakiwały" w rytm jego podmuchów.

Pająk zlazł z pajęczyny, usadowił się na ścianie w kącie pod stropem, przeciągi telepały siecią, przeszkadzając mu w drzemce i fałszywe alarmy czyniąc.

Przy wchodzeniu do domu, pilnować się trza było, żeby myszy nie wpuścić, bo te chętne bardzo były, żeby w zimie z ludźmi zamieszkać, kota przechytrzyć, po kątach się chować, na okruszki liczyć, a w nocy po garnkach buszować, co na kuchni stały. Przychodził czas, żeby chałupy i pomieszczenia dla żywiny przygotować do jesiennego chłodu i zimowych mrozów – a te czasami nie żartowały.

Chałupy w Moim Jaślikowie były głównie drewniane, na podmurówkach z kamienia lub cegły. Starsze, te przedwojenne, osadzane były często na dębowych przyciesiach, ustawianych zwykle na solidnych głazach polnych (przyciesiem nazywano pierwszy dolny bal w drewnianej ścianie domu).

W tych starych chałupach podłogi były zrobione przeważnie z ubitej gliny zmieszanej z długo ciętą sieczką ze słomy żytniej (tzw. polepa) albo z konopnymi pakułami. Mieszanie gliny z tym „rozproszonym zbrojeniem" miało na celu zmniejszyć podatność podłogi na pękanie. Podłoga była lekko wyniesiona ponad poziom gruntu na zewnątrz chałupy i zwykle oddzielona od niego wysokim progiem, tak żeby woda z deszczu czy roztopów się nie wlewała.

Taka chałupa była m.in. u Jana Cichosza (ojca Stacha), tego spod wielkiej lipy. Jan mieszkał tam ze swoją żoną Teklą, którą we wsi nazywano nie inaczej tylko „Stara Cichoszka". Chałupa Jana Cichosza była bardzo wiekowa. Była tak stara, że przyciesie prawie całkiem wlazło w grunt i przed wejściem do sieni trzeba było znacznie się ukłonić, żeby nie walnąć głową w solidną futrynę drzwi wejściowych. Takie chałupy ze ścianami z grubych sosnowych bali, zawęglonych zamkiem na jaskółczy ogon, z malutkimi okienkami, z glinianą podłogą i stromym słomianym dachem, w latach 50. w Moim Jaślikowie spotykane były jeszcze dość często.

Do sieni prowadziły drzwi stare, z kutymi zawiasami, z wyślizganym „paluchem", który trzeba było nacisnąć, żeby podnieść zapadkę zamka po drugiej stronie. Drzwi rozwierały się ze skrzypieniem, czasami uwalniając zamknięte w sieni kury, a te z głośnym gdakaniem, gubiąc pióra, całą hurmą waliły w przybysza. Z sieni do izby prowadziły drugie drzwi z wysokim progiem, pośrodku którego było wytarte zagłębienie od wieloletniego przełażenia przez ten próg.

W chałupach nowszych, budowanych po wojnie w latach 40. przeważnie były już podłogi z desek. W domach tych wykonywano tzw. podmurówkę z kamienia białego albo z cegły. W niej osadzano legary, na których układano podłogę z grubych heblowanych sosnowych desek. Długie legary podpierano dodatkowymi słupkami z cegły albo z kamienia.

Przestrzeń pod podłogą zasypywano trocinami z wapnem, często z tłuczonym szkłem, żeby myszy tego nie żarły, a dodatek wapna miał być antidotum na pleśń w przestrzeni pod podłogą. Ta przestrzeń była wentylowana (żeby podłoga nie gniła) poprzez otwory w podmurówce. W zimie pod

podłogą tworzyły się silne przeciągi, wiatr mógł tam hulać swobodnie, wyziębiając bardzo podłogę, dlatego na zimę te otwory zatykano ciasnym wiechciem słomy.

W zimowe chłody – a zimy wtedy wydaje się, że były bardziej „zimowe" – bywało w domu chłodno. Wiatr, można by rzec, spacerował po chałupie. Na ten zimowy czas sprawiano chałupom zagaty i robiono je we wszystkich chałupach, a nawet w niektórych budynkach dla zwierząt. Słowo „zagata" pochodzi od słowa „ogacić", czyli ocieplić.

A cóż to była ta zagata? Zagata to była ówczesna „technologia" sezonowego ocieplania chałup, stosowana od zawsze i jeszcze w niektórych rejonach kraju całkiem niezapomniana. Technologia ta była genialna w swej prostocie, skuteczności i sposobie budowy. Oto bowiem stawiano rząd żerdzi przy ścianie domu, zapierając go górnym końcem o okap dachu a dołem lekko wkopując w ziemię, przestrzeń między tak powstałym rusztem a ścianą, wypełniano materiałem izolacyjnym, czyli słomą lub liśćmi (liście często grabiło się w lesie). Przy stosowaniu liści trzeba było drągi stawiać gęściej albo stosować dodatkowe zakładki z desek, żeby „izolacja" nie wypadała.

Z grabieniem liści w lesie czasami był problem, bo gajowy Ignac nie pozwalał ich grabić. Mówił: „Tat jak ja się rozlicze z liści?" (W słowie „tak" Ignac zamieniał „k" na „t"). Dlaczego tych liści nie pozwalał grabić, dokładnie nie wiadomo. Widać jakieś instrukcje władz były i w tej materii. Ludzie gadaniem gajowego Ignaca nie bardzo się przejmowali i grabili liście w „Piątrzakowych Dębakach" i w zagajnikach przy „Szerokiej Lenii" (sic).

Kiedy listopadowy chłód stawał się dokuczliwy, baby w gorzkich słowach przypominały chłopom, że „Zima idzie! Chałupę trza ogacić!". Chłopy zwykle miały swój ogląd sprawy i często jakoś trudno było im podjąć decyzję, że oto przyszedł już ten czas i trzeba stawiać zagatę. Decyzję ciągle odwlekano, wynajdując różne wytłumaczenie, że to niby nie było liści albo drągi jakimś sposobem poginęły (drągi nie ginęły, tylko w lecie używane były na podpałkę w kuchni, z komentarzem: „Eee, tam! Przyniesie się z lasu nowe."). Ale najczęściej brakowało po prostu chęci.

Pierwsze przymrozki i czarne chmury śniegowe, dopingowały ociągających się i migiem za-

W moim archiwum nie ma dobrego zdjęcia, chałupy z zagatą. To, które przedstawiam, gdzie na drugim planie jest chałupa częściowo ogacona, pochodzi z końca lat 50. i zrobione zostało na weselu Stacha Tymickiego z Jaślikowa (ps. „Stosiek") i Eugenii Szewczyk ze Stężycy Łęczyńskiej. Ślub były zawarty 1 lutego 1959 r. w kościele w Stężycy Nadwieprzańskiej, a wesele odbyło się w domu panny młodej w Stężycy Łęczyńskiej. gdzie zostało zrobione to zdjęcie. Stoją od lewej: Janina Szewczyk, Olga Korczyńska z Jaślikowa, Zosia Marczewska z Jaślikowa, państwo młodzi, Fela Sawicka, Janek Korczyński, chyba brat Olgi. Opisać zdjęcie pomógł Marcin Tymicki z Krasnegostawu – wnuk państwa młodych. Fotografia pochodzi z rodzinnego albumu Zosi Patyk z d. Marczewskiej z Jaślikowa.

Chłopiec czytający gazetę. Za tym chłopcem stoi dom drewniany o konstrukcji sumikowo-łątkowej z częściowym ogaceniem zrobionym ze słomy. Miejsce wykonania zdjęcia nie jest znane (…na razie). Z archiwum Bolesława Fariona z Lubaczowa, (publikacja za zgodą Muzeum Kresów w Lubaczowie, które jest właścicielem tego archiwum https://archiwumfariona.pl/).

bierano się za gacenie, żeby nie zasypał śnieg. Przed gaceniem chałupy, zakładano tzw. zimowe okna albo – jak mówili starsi – dubeltowe okna. Parapet między skrzydłem zimowym i letnim, zdobiony był fantazyjnie kulami i bałwanami z waty, bombkami choinkowymi, włosem anielskim i co tam komu do głowy strzeliło. Tutaj było pole do popisu dla dziewczyn z polotem artystycznym i one skrzętnie to wykorzystywały, wg zasady „moje ładniejsze". Okna w chałupach wyglądały jak bogate witryny sklepowe w okresie przedświątecznym.

Przed oknami wieszano skórki słoniny, do których zlatywały się roje sikorek i z zapałem wydłubywały tłuszcz, czyniąc przy tym szczebiotliwe kłótnie o to, która ma być pierwsza w kolejce, albo głośno protestując, gdy za przekąskę imał się duży dzięcioł – słowem teatrzyk ze scenariuszem pisanym na bieżąco.

Chałupy po ogaceniu wyglądały pięknie, słoma między ciemnymi żerdziami zagaty, jaśniała w słońcu odcieniami żółci i bieli, a jak do roboty przyłożył się jeszcze śnieg, a „na szyby kwiaty rzucił pan scenograf mróz" – było bajkowo.

Do zagaty natychmiast wprowadzały się wróble i myszy. Kury sprawdzały czujnym okiem z ukosa, czy przypadkiem w słomie nie zostały pełne kłosy i natychmiast niedopatrzenie to likwidowały.

Jak już zagata była zrobiona – chałupę ogarniał błogi ciepły spokój, w kuchni trzaskał żwawy ogień, piec grzał i zachęcał, żeby go przytulić. Kot jakoś tak się wpraszał częściej w gościnę i nie bardzo chętnie wychodził na dwór. Kot miał pełny etat przez cały rok w spichrzu albo w stodole i było niemile widziane przez seniorów, kiedy po całych dniach grzał futro przy piecu. Czasami była potrzebna „zachęta" w postaci ścierki gospodyni, żeby poszedł pilnować rewiru.

Zagata stała do wiosny, aż słońce pewnego dnia zarządzało: „No, rozbierać mi te dekoracje! Teraz ja!". Po rozwaleniu zagaty, liście i słoma szły na podściółkę w oborze, myszy do stodoły, ale tylko te, które zdążyły przed kotem, wróble gdzieś tam nie wiadomo, drągi znowu na rozpałkę, a dom wyglądał jakby go ktoś odarł z ubrania – trzeba było się parę dni przyzwyczajać do jego nowego widoku.

Andrzej Stanisław Adamczuk

Andrzej Stanisław Adamczuk

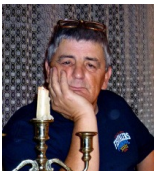

Bożesz Ty mój! – To już Adwent?

Z cyklu: „Mój Jaślików"

Pod koniec listopada, zaczynał się adwent, post i okres wyczekiwania na Boże Narodzenie. W adwencie trzeba było chodzić na roraty (w Jaślikowie mało kto chodził, bo nie było kościoła), nie wolno było urządzać zabaw i imprez hucznych – słowem zachowywać się trzeba było statecznie. Jednakże 30 listopada, w Andrzeja, wolno było dużo! Kościół na ten dzień dyspensę dawał, co suweren skwapliwie wykorzystywał.

Jeszcze wtedy, w latach 50. przestrzeganie postu adwentowego w wielu rodzinach było dość rygorystyczne. Patrząc z perspektywy lat na tamten Jaślików, dochodzę do wniosku, że im biedniejsza była rodzina, tym rygor postu był większy. Była to jakaś próba wytłumaczenia i usprawiedliwienia życia w niedostatku.

Mój ojciec (kowal) twierdził, że jego duży rygor postu nie powinien dotyczyć, bo bijąc młotem w kuźni, wnet by na postnym posiłku zmarniał ze szczętem i nie dość, że pożytku by z niego nie było, to jeszcze kłopotów by przysporzył, zapadając na zdrowiu. Mama patrzyła przez palce na „grzeszne" poglądy ojca i rygor postny często łamała, ograniczając się tylko do postnych piątków.

Wśród chłopów, na czas adwentu modne było „zaklinanie się", czyli podejmowanie ślubowania o wyrzeczeniach – najczęściej nałogowych. Chłop klękał przed świętym obrazem i przysięgał, że np. do „pośniku", czyli kolacji wigilijnej, papierosa do ust nie weźmie, a prywatnie komentował: „Nie będzie k…wa nałóg mną rządzić!".

Czas adwentu to był okres spokojniejszych dni, chałupy już były pobielone, zagata postawiona, kapusta w beczce. Zaczynał się czas darcia pierza, przędzenia wełny na kołowrotkach, dziewczyny szykowały jakieś stroiki choinkowe, w remizie odbywały się próby „teatrzyku", w którym brała udział starsza młodzież, szykując premierę „sztuczki" na zabawę w karnawale.

W adwencie bardziej aktywne, stawały się swatki, a skuteczność ich działania była już wi-

doczna na zabawie karnawałowej, tzw. „kotylionowej", gdzie panny „wykładały kawę na ławę", dekorując wybranego kawalera kotylionem, co było jednoznaczne ze stwierdzeniem – „mój ci on jest i innym pannom wara od niego".

Ale wracając do adwentu, to na jego początku był jeden dzień, w którym rygory wszelkie odstawiano na bok i wieś na chwilę tętniła śmiechem, żartem i muzyką – były to andrzejki, które zawsze obchodzono z fantazją wielką, ścigając się w pomysłach na psoty i żarty.

– „A żeby cie, bita cholera ścisnęła, draniu jeden! Żeby ci paluchy poskręcało! Żebyś łyżki nie móg do gęby donieść! Za te moje krzywde, żebyś z piekła nie wylaz!" – złorzeczyła stara Jaworska, na andrzejkowych żartownisiów, którzy wedle zwyczaju, w noc andrzejkową wysmarowali jej okna farbą olejną.

Prawo andrzejkowe zezwalało na to, żeby w domach, w których mieszkały panny na wydaniu, szkody i psoty czynić. Spór zwykle toczył się o to, czy psota to jeszcze, czy już czyn szkodliwy i wredny. Zgodnych opinii w tej kwestii nigdy nie było, ale też na andrzejki bez swawoli i kpiny przystać nikt nie chciał. Toteż w andrzejkowy wieczór kawalerka jaślikowska prześcigała się w pomysłach, jaką by tu psotę i komu wyrządzić, z której panny zakpić, któremu gospodarzowi zaleźć za skórę?

Powszechny i łatwy do wykonania, był „żarcik" polegający na malowaniu, albo lepiej pomazaniu szyb w oknach. Takimi breweriami zajmowali się głównie małoletni jeszcze harcownicy, wprawiający się dopiero i sposobiący do „ważniejszy" psot. Za ich to głównie sprawą, w chałupach panien na wydaniu brzask opóźniał się, bowiem słońce nie mogło przedrzeć się przez pomazane szyby okien. Na tych szybach, na świeżej jeszcze farbie, rysowano palcem złośliwe rysunki (czasami życzliwe) i rymowanki o cnotach panny tam mieszkającej. Malowano przeważnie wapnem albo rzadką gliną z wapnem, które łatwo można było zmyć albo zeskrobać. Ale niektórzy psotni złośliwcy, malowali szyby farbą olejną. Ot, było w domu pół puszki starej farby, szkoda było wyrzucić, a na zasmarowanie okna akurat starczało, więc grzechem byłoby nie wykorzystać. No, ale takie pojmowanie tradycji andrzejkowych to był już powód do złorzeczeń bab, które te okna musiały myć, a farba olejna tak łatwo nie odpuszczała. Toteż tu i ówdzie, rano po andrzejkach, dawało się słyszeć urągania bab skrobiących szyby z zaschniętej farby. Tak też było tego poranka u Jaworskiej, która była matką Celiny – panny na wydaniu.

Wieczór andrzejkowy zaczynał się zwykle od wróżenia i dokazywania po chałupach, w których były dziewczyny. Czasami muzyka przy tym była i poczęstunek skromny. Wróżono z wylewanego do wody przez ucho klucza roztopionego wosku, którego zastygnięta bryłka, oświetlona smugą światła z gromnicy, cień na ścianę rzucała, a z kształtu tego cienia, przyszłość „przeczytać" można było. Do wróżb „zapraszano" zwierzęta domowe, np. psy. Dziewczyny układały na podłodze kawałki psich frykasów, wołano psa i kąsek tej panny, który został pierwszy pożarty, miał świadczyć tym, że ani chybi może ona się szykować do zamążpójścia jako pierwsza. W podobny sposób do wróżby zapraszano koguta albo gąsiora. Liczono sztachety w płocie, wyciągając jakieś tam wnioski, wróżono z kart, z płomieni w kuchni i takie tam inne jeszcze sposoby, w których biegłe były dziewczyny, głównie niezamężne i przebierające nogami za swoim „chłopem".

Główne wydarzenia psotnicze, odbywały się późną nocą, kiedy wieś zasypiała, cichły odgłosy wieczornej krzątaniny, okna gasły, zapadała cisza przerywana leniwym poszczekiwaniem psów. Wtedy na „scenie" – czasami śnieżnej – pojawiała się grupka cieni z drabinami, a obok nich psy merdające ogonami, znaczy „sami swoi".

Poruszali się po ciemku i w ciszy, jak zjawy jakieś upiorne, czasami tylko pies cicho zaskomlił albo ktoś szepnął słowo jakieś. Szli w kierunku zagrody wybranej w tajemnicy parę dni wcześniej. Nikt postronny nie miał prawa dowiedzieć się na kogo przypuszczony będzie „atak", żeby „wybraniec" środków zaradczych nie mógł podjąć żadnych i nie popsuł zabawy całej.

Andrzejkowe psikusy „wagi cięższej" skierowane były zawsze na chałupy, gdzie były panny na wydaniu. Mieszkańcy tych chałup mogli spodziewać się żartów andrzejkowych, nie zawsze miłych, a w zasadzie zawsze dokuczliwych i złośliwych. Potencjalne ofiary tych żartów, starały się nie spać tej nocy, żeby udaremnić „desant" albo przynajmniej próbować wypłoszyć żartownisió

Nad wodą (nad stokiem) – druga połowa lat 50. (zdjęcie pochodzi z albumu rodzinnego Zosi Patyk z d. Marczewskiej, byłej mieszkanki Jaślikowa). Stoją od lewej: Staś Perestaj – komendant OSP, Zosia Patyk z d. Marczewska, Zosia Malinowska, Janek Leszczyński, Marysia Leszczyńska z d. Korczyńska, Janek Bochyński (ps. „Bochyra"). Klęczą: Janka Sarnecka z d. Sakowska, Marian Tymicki, Marysia Żydziak z d. Majchrówna – moja cioteczna siostra. W tle gospodarstwo Kuczmy.

W lesie (zdjęcie też pochodzi z albumu Zosi Patyk z d. Marczewskiej). Stoją od lewej: Wanda Adamczuk z d. Łapówna (moja przyszła bratowa), Zosia Perestajówna, Edek Tymicki, Zosia Malinowska, Danka Jaszakówna, Basia Stefańczyk z d. Wojtalówna, za nią Janka Sarnecka z d. Sakowska, Józek Wójtowicz, Zosia Patyk z d. Marczewska i ten facet z prawej, którego nazwiska nie mogę sobie przypomnieć.

Ale gdzie tam! Nawet jak gospodarz wyczuł jakiś ruch na podwórku, to przy próbie wyjścia z domu, okazywało się, że drzwi na dwór, są mocnym drągiem zaparte i o otwarciu ich mowy na razie być nie może. Zresztą próba wejścia w konflikt ze zgrają psotników była dość ryzykowna, bo łatwo mogła się zamienić w awanturę, na której mogła ucierpieć reputacja panny tu mieszkającej, a i wzięcie panny na wiejskie jęzory było możliwe. „Zgroza" i ryzyko!

Wspomniana ferajna z drabiną szła wykonać ulubiony andrzejkowy numer, który polegał na tym, żeby wóz konny stojący zwykle na poddachu koło obory, czyli w tzw. „wozówce" „zaparkować" na kalenicy dachu stodoły. Wcześniej, za dnia, robiono rozeznanie, czy wszystko da się przeprowadzić zgodnie z planem.

Wejście na podwórko i wyprowadzenie wozu z wozówki, trwało moment, wyjęcie dyszla – parę sekund, następne kilkanaście sekund rozmontowanie skrzyni wozu, zdjęcie pierścienia na rozworze i wyjęcie bolca wymagało czasami stuknięcia czymś twardym – chwila i wóz był praktycznie w częściach.

Najtrudniejsze było wciągnięcie części na dach i tam na kalenicy zmontowanie szkieletu wozu. Długie drabiny i mocne ręce zgrai psotników, pobudzone adrenaliną, sprawiały, że montaż wozu na dachu szedł nad podziw wartko. Kilka chwil, trochę stękania, puszczony niechcący „bąk wysiłkowy" i już można było złazić z dachu. Teraz myk za płot i spojrzenie z pewnej odległości na wóz stojący na dachu. W mroku nocy, na tle nieco jaśniejszego nieba, wyglądał pięknie. Koniec akcji i grupa przenosi się do następnej wybranej zagrody, gdzie mieszkająca tam panna, marudzi z wyborem i zwleka z zamążpójściem.

Efekty nocnego desantu harcowników andrzejkowych, w pełnej krasie można było obaczyć dopiero na drugi dzień, kiedy chłopy z chałup powyłaziły do obrządku i już z samego rana słychać było złorzeczenia poszkodowanych, rechotanie i docinki sąsiadów podziwiających wóz na kalenicy stodoły. Wtedy też można było „szkody" nocnych swawoli ocenić.

Gospodynie i córki, które „winne" były wszystkiemu, zabierały się za mycie okien, ale jeżeli napisy wapnem na szybach były pochlebne, to

panny nie wykazywały takiego entuzjazmu w ich usuwaniu.

– Eee! tam! Niech przeczytają i wiedzą, że tu porządna panna mieszka.

Na zdjęciach kawalerka i panny z Jaślikowa w latach 50. (56-57) ubiegłego wieku. Można zagwarantować, że brali udział w niejednej imprezie andrzejkowej, a i psoty też mają na sumieniu.

Andrzej Stanisław Adamczuk

rys. Różena Horn

Andrzej Stanisław Adamczuk urodził się w roku 1949 w Jaślikowie, tam też spędził dzieciństwo. Przez wiele lat mieszkał w Lublinie, gdzie pracował, głównie na lubelskich budowach oraz w pracowniach projektowych. Pod koniec XX wieku zostawił Lublin i znowu zamieszkał na wsi, tym razem niedaleko Lublina. Obecnie - emerytowany inżynier budownictwa lądowego, projektant konstrukcji budowlanych. Autor projektów konstrukcji kilkudziesięciu SE 110kV w całej Polsce; autor projektów kilkunastu konstrukcji kościołów, m.in. – kościół pw. św. Piotra w Krośnie; autor projektu konstrukcji nowych pawilonów Muzeum Nafty w Bóbrce k/Krosna; wielu budynków mieszkalnych i innych obiektów. Do dzisiaj uprawia swoją profesję, mając za sobą 55 lat praktyki zawodowej. Chętnie oddaje się fotografii oraz sztuce pisarskiej. Wybrane bardzo klimatyczne wspomnienia publikuje m.in. w „Nestorze" z zamiarem wydania indywidualnej książki.

Marian Rybczyński

Na małej wysokości

Z cyklu: Dęblińskie przypadki

Kołowrotek kręci się szybko. Trasy, strefy, szyki, loty parą i kluczem. Są i trasy na małej wysokości.

– Phi – prycha lekceważąco „Kokocha" kiedy melduję mu się przed lotem – jaka to mała wysokość… 200 m? Przecież to prawie stratosfera.

Dobre sobie. Dla niego to może i stratosfera, a dla mnie trochę mniej, zwłaszcza, że prędkość to 600 km/godz., czyli w minutę dziesięć kilometrów i dalej z prostego rachunku 1 sekunda to 166 metrów. Dlatego też zasada lotu po trasie na małej wysokości jest prosta: zapomnij o mapie, trasy musisz nauczyć się na pamięć. Na mapę po prostu nie ma czasu. Oczywiście jak wszędzie – jak masz doświadczenie i umiejętności, to niekoniecznie musi być prawda. Ale ja nie mam ani jednego, ani drugiego, więc… Kurs i czas na pierwszym odcinku… W 55 sekundzie mijam rzekę, w 1.45 skrzyżowanie dróg… itd. Problem, że na Podlasiu tylko, jak mówią, „laski, piaski i karaski". Nie ma wielkich rzek, oprócz Bugu, brak większych miast, więc pozostają tylko te laski, wątpliwe to jednak punkty orientacyjne. Wbiłem sobie do głowy te wątpliwej jakości punkty charakterystyczne i jazda do samolotu. Problemy zaczynają się już w połowie pierwszego odcinka. Lecimy w kierunku na północ i tylko z grubsza wiem… że lecę na północ. Ratuje mnie Drohiczyn, bo to miasto ciężko przegapić, chociażby dlatego, że leży nad Bugiem i jest pierwszym punktem zwrotnym na trasie. Dalej już tak słodko nie jest. Obiektów charakterystycznych zupełnie brak, a na dodatek następny punkt zwrotny trasy, to jakaś mała pipidówka. Żadna z tych w polu widzenia mi na moją nie pasuje, ale ponieważ wyszedł czas odcinka, więc dziarsko zawijam na kurs następnego odcinka. Teraz już totalnie nie wiem, gdzie dokładnie jestem, ale ponieważ druga kabina milczy, więc nie wychodzę przed orkiestrę i dziarsko powożę dalej. Na chwilę wznawiam się w okolicach Łukowa… i to wszystko, co udaje mi

się w temacie nawigacji szczegółowej osiągnąć. Znowu jakaś mała miejscowość, która powinna być punktem zwrotnym, ale dałbym dużo, żeby wiedzieć, że to na pewno to. Ponieważ, tak jak poprzednio, minął czas odcinka, więc staję na ostatni kurs. Kurs wiedzie prosto na lotnisko, więc patrzę na radiokompas, który mnie utwierdza w tym, że jest wysoce prawdopodobne, że jednak na lotnisko trafię. Ziemia pomyka jak szalona, ale ponieważ nie mam szansy, aby na lotnisko nie trafić, więc ze zdziwieniem stwierdzam, że rozpoznaję dużo więcej szczegółów niż na poprzednich odcinkach. Daje się jednak tutaj nawigować przy odrobinie wprawy.

– Melduję się po locie – „Kokocha" krzywi się z niesmakiem.

– Przestań bez sensu trzaskać dziobem, a poza tym, jeśli uważasz ten totalny brak utraty orientacji za lot, to gratuluję dobrego samopoczucia.

Cóż mam odpowiedzieć na takie dictum. Sam najlepiej wiem, jak było.

– Ale niewykluczone, że będą z ciebie jacyś ludzie, bo byli lepsi od ciebie. Ty chociaż na Drohiczyn wyszedłeś i Białej z Radzyniem nie pomyliłeś. A byli tacy, co pomylili – podsumowuje.

Potem dowiedziałem się, że jeden z kolegów leciał z „Kokochą" dokładnie po tej samej trasie, co ja, ale był zdolniejszy ode mnie – nie trafił nawet na Drohiczyn. Mało tego... przelecieli nad Białą i pan Marian pyta...

– Co to za miasto pod nami? Masz ostatnią szansę, żeby się zrehabilitować.

– Radzyń – pada po chwili wahania z pierwszej kabiny.

– Biała, matole, Biała! – Pan Marian często nie przebierał w słowach.

– Jak masz głupoty opowiadać, to lepiej byś zamilczał.

– Jak bym nic nie powiedział, to by pan uważał, że straciłem orientację geograficzną. A ja orientację mam, tylko że złą – odpowiedział rezolutnie kolega, czym rozbroił „Kokochę", że nawet karnych rejonów nie kazał mu rysować.

29 lipca 1978 roku wstąpiłem w związek małżeński z Barbarą Kowalską, studentką III roku Uniwersytetu Łódzkiego. Ślub odbył się w Tomaszowie, a wesele na Glinniku, tym Glinniku, gdzie

tak nie chciałem iść, a teraz z własnej i nieprzymuszonej woli… eh!!!. Niezbadane są wyroki opatrzności. Świadkiem moim był Marek Kaletka, który w tym czasie szkolił się na AN-2 w Podlodowie. „Telu", niestety, nie dojechał, bo go z WIML-u wypuścić nie chcieli. Był jeszcze Zdzich Basiński, towarzysz niedoli z pamiętnego występu w Lublinie, który dla mnie zakończył się „szczęśliwym" aresztem w sylwestra 1976 roku. Zdzich też leżał w WIML-u po wypadku na Mig-21, w którym zginął instruktor. Lądowali w złej pogodzie, przy dużym deszczu, samolot wypadł z pasa, przełamał na pół i zapalił. Zdzich miał szczęście, bo zdołał się wyczołgać przez otwór w pękniętym kadłubie. Instruktor, niestety nie zdążył. Zdzicha, na szczęście na wesele z WIML-u wypuścili. Na ślub i wesele dostałem parę dni urlopu... jak zwykle minął za szybko.

Przychodzi sierpień i jak poprzedniego roku ktoś stwierdza, że całej grupie wychodzą badania, więc na gwałt jedziemy wszyscy na dwa dni do Dęblina. Tym razem, nauczony poprzednim doświadczeniem, nie bawię się już w totolotkowe zgadywanki i po badaniach lekarz nie musi wysyłać mnie na dodatkowe „przepytanki" do psychologa. Dużo czasu poświęcam na pisanie pracy końcowej, bo mój promotor mocno kręcił nosem, kiedy przy okazji badań przedstawiłem mu stan jej zaawansowania. Skutkuje to tym, że zamiast w wolnych chwilach z kolegami chodzić naprawiać Białą Podlaską i przy okazji ten marny świat, w którymś z „zacnych" miejsc ukulturalniania się, muszę siedzieć i pilnie analizować „wpływ wilgotności względnej powietrza na występowanie chmur stratus i cirrostratus". Przy okazji zaoszczędzam trochę pieniędzy i kupę zdrowia, bo szanowne towarzystwo nie chodzi tam na czarną kawę i koniak. A że kolegom inwencji nie brakuje, to przy powrocie w środku nocy „Baca" Biegun z Heńkiem „Piżmakiem" przytargali ze sobą jakiś znaleziony po drodze łańcuch i porzucony znak „roboty drogowe". Tłukli się przy tym niemiłosiernie, ciągnąc go po schodach, robiąc raban na pół miasta. Pobudzili wszystkich na całym piętrze, tylko „Al." Jędrzejak spał w najlepsze. Został więc w nagrodę owinięty łańcuchem i przykryty znakiem drogowym. To go też nie obudziło i trzeba było czekać do rana na jego reakcję. Kiedy się dowiedział, kto go tak utulił, doszło prawie do rękoczynów.

Niskie loty nad „Białym"

Ppłk K. „Ponton", z racji dużych gabarytów, taką ma u nas ksywę, jest prowadzącym „rombika", zespołu akrobacyjnego. Lubi dużo zjeść, rozmowny zbytnio nie jest, za to lata wyśmienicie. Treść zadania sobie a „Ponton" sobie. Zwykle kręci pełną akrobację, a nie „jakiś zwis w lewo, zwis w prawo", jak jest zapisane w ćwiczeniu. Masz się trzymać i tyle. Jak odpadniesz, to wracasz sam na lotnisko, a nie w parze, a po lądowaniu dostajesz standardową „zjebkę", zresztą zwykle bardzo krótką, bo jak wspomniałem wcześniej pan K. do gadatliwych nie należy. Raz tylko zachował się nietypowo, kiedy podchorąży M. mocno go postraszył w powietrzu, bo chciał go staranować, oczywiście niecelowo. K. zdołał tego uniknąć w ostatniej chwili. Stał teraz na schodkach i kiedy ten podszedł do niego, aby się tradycyjnie zameldować po locie, złapał go za klapy, podniósł do góry i zaczął nim potrząsać, wykrzykując przy tym, co sądzi o jego umiejętnościach. M. posturą nie grzeszył, więc tylko majtał nogami, kiedy pan instruktor przekazywał mu swoje uwagi często przetykane słowami ogólnie uznawanymi za niecenzuralne.

– Wielu mnie chciało zabić, ale tak jak ty to chyba jeszcze żaden – podsumował na koniec, pozwalając oszołomionemu M. w końcu znaleźć się na matce ziemi.

– Musiał go nieźle wystraszyć – stwierdził filozoficznie „Dziadek" Palak, który był też świadkiem zdarzenia. – Jeszcze go takiego wk...go nie widziałem i jak go znam, pewnie z tego powodu pochłonie podwójną porcję kiełbasy – dodał… i miał rację.

Lecę więc na lot kluczem z „Pontonem" jako prowadzącym, na drugiej pozycji leci pchor. „Docent" Sankowski potem „Trampek" i na końcu ja. Pozycja i wygodna, i niewygodna. Niewygodna, bo ewentualne błędy w utrzymaniu szyku poprzedników zwielokrotniają się i trzeba większej pracy obrotami. Można rozhuśtać samolot i przy moim mizernym doświadczeniu mogą być kłopoty. Wygodne to jest o tyle, że poprzednicy (mówię o instruktorach) są zajęci sobą i nie mają czasu, żeby patrzeć, co robię ja. Jest tak tylko teoretycznie,

bo „Ponton" widzi wszystko. Startujemy parami, na wysokości kręgu zbieramy się w ugrupowanie klucza i odchodzimy do strefy, nabierając wysokości. Ćwiczenie ma być na wysokości ok. 4000 m, a strefa jest na południowy wschód od lotniska w odległości ok. 30 km. Po kilku minutach jesteśmy w strefie, ale prowadzący leci dalej, meldując jednocześnie rozpoczęcie zadania. Nie mogę zbytnio śledzić naszego położenia, bo muszę zwracać przede wszystkim uwagę na utrzymaniu miejsca w szyku. Za nawigację odpowiada prowadzący. Minęło parę minut i przed nami zalśniła tafla jeziora Białego koło Włodawy i wtedy samolot „Pontona" w lekkim zakręcie zaczął zniżanie, które stopniowo przeszło w nurkowanie. Jesteśmy coraz niżej i niżej. „Docent" wyszedł ponad prowadzącego, to samo zrobił „Trampek", no i oczywiście ja. Wyrównujemy do lotu poziomego, spoglądam kątem oka na wysokościomierz – 100 m. Cała formacja zawija o 180 stopni i po chwili jesteśmy z powrotem nad taflą jeziora, ale już na 50 m. Przelatujemy z siłą huraganu nad kilkoma żaglówkami i „Ponton" w zakręcie wyciąga na jakieś 300 m. Historia powtarza się kilkakrotnie, czeszemy jezioro wzdłuż i wszerz. Wszystko to odbywa się w absolutnej ciszy radiowej. Zero jakichkolwiek komend. Nawet zbytnio obrotami nie trzeba pracować. Prowadzący potrafi prowadzić formację, widać rękę mistrza. Nawet takie kaczory jak my nie mamy większych problemów, aby utrzymać się w szyku. Wiadomo… „rombik". Prędkość cały czas utrzymuje się w okolicach 600 km/godz., więc wyobrażam sobie, jakie to musi robić wrażenie na ziemi. Jeszcze jedno przejście wzdłuż jeziora, idziemy ostro do góry, prowadzący melduje zakończenie zadania w strefie i zgłasza powrót na lotnisko, gdzie rozpuszcza szyk i pojedynczo idziemy do lądowania.

– U Władka tak zawsze – mówi „Trampek", kiedy po locie idziemy w stronę domku pilota.

– Są dwie komendy: „zezwól zadanie w strefie" i „zadanie zakończyłem". Małomówny gość jest.

– A co by się stało, jak by nam szyk się rozpadł? – pytam instruktora.

– Jak to co? Powrót na lotnisko pojedynczo, a potem standardowa „zjebka" – śmieje się „Trampek". – Ale chyba nie było najgorzej, bo najpierw poszedł coś przekąsić – podsumowuje temat.

Pod koniec sierpnia jest obchodzone uroczyście święto pułku. Mają być pokazy, uroczysta zbiórka, a wieczorem bal w kasynie, na który jako IV rok, mamy też wstęp. Akademia jak akademia, przebiega standardowo. Jest dużo wyróżnień, nawet ja się załapuję na jakąś pochwałę, co jest dla mnie totalnym szokiem. Na imprezie jest też delegacja Aeroklubu Lubelskiego. Spotykam mojego dawnego instruktora szybowcowego A. Ciesielskiego, który na mój widok staje jak wryty.

– A co ty tutaj robisz? – pyta mnie, patrząc na moje cztery paski na rękawie. Ich widok budzi u niego wyraźne zdumienie.

– Jestem na WOSL na czwartym roku – odpowiadam.

– Na nawigacji? – bardziej stwierdza niż pyta.

– Nie… na pilotażu. Latam tutaj na limach.

Pan instruktor nie kryje zdumienia i patrzy na mnie z niedowierzaniem i wiem dlaczego. Swego czasu, kiedy po zimie wznawiałem się na szybowcach, musiałem przerwać lot, ponieważ zrobiło mi się niedobrze. To samo stało się też w następnym locie. Odporność błędnika w początkowym etapie latania nie była moją najmocniejszą stroną i mimo, że później stopniowo wszystko mi przeszło, to jednak patrzę na akrobatów z dużą dozą podziwu. Pamiętam, jak po tamtym locie przeprowadził ze mną rozmowę.

– Wiesz, nie każdy może i musi latać. Jeśli nie możesz, to po prostu zrezygnuj – podsumował na koniec.

Ja miałem inne zdanie na ten temat. Wiedziałem, że bardzo chcę i że jest to tylko kwestia pewnego treningu i przyzwyczajenia, żebym też i bez problemów mógł tym pilotem być. Jak życie pokazało, miałem rację, niemniej jednak po drodze miałem ciężkie chwile.

Poślubne niechlubne sensacje

Jest niedzielny wieczór, atmosfera senna, lato, które nie było dla nas pogodowo łaskawe, powoli ustępuje miejsca jesieni. Robi się coraz chłodniej, częściej zakładamy na kombinezony skórzane kurtki, a i od czasu do czasu pod kombinezon sweter też trzeba założyć. Do sali wkracza

„Próchniak", który właśnie wrócił z własnego wesela (wysyp tych imprez ostatnio się zrobił), dzierżąc w ręku butelkę (nie jedną) weselnej wódki. Stawia flaszkę na stole i pytająco patrzy po nas.

– Zwariowałeś? – mówi „Szymyk" Martynowicz, chyba najrozsądniejszy z naszej całej bandy – przecież jutro z rana latamy!

– Jakie latamy?! – „Próchniak" puka się wymownie w czoło, łapie go za rękaw i ciągnie do okna.

– Sam popatrz, to jest pogoda na latanie?

Podchodzę też do okna. Z nieba leci kapuśniaczek, a wiadomo, że taki to szybko nie przechodzi. Wrony chodzą na piechotę i wyraźnie zanosi się na trzydniówkę. A „Próchniak" kusi dalej. W końcu łamie się jeden, potem drugi. Pijemy za zdrowie i szczęśliwe pożycie młodej pary, a impreza powoli się rozkręca. Druga flaszka pokazuje dno i idziemy spać. Mam wrażenie, że dopiero co przyłożyłem głowę do poduszki, a tu budzi nas dyżurny. Patrzę na zegarek, jest 4.30. Półprzytomny z niewyspania spoglądam za okno. Dopiero co świta, ale już widać, że niebo jest bezchmurne, a po wczorajszej mżawce i chmurach nawet ślad nie pozostał.

– No tak – mruczę do siebie – jeszcze jeden dowód na to, że meteorologia to nauka ścisła: wie, co było, nie wie, co będzie.

Trochę niewyraźni wleczemy się na śniadanie, a potem na lotnisko. Cały czas mam dylemat: latać czy nie? Po śniadaniu wątpliwości mijają. Samopoczucie wraca prawie do normy. Na wszelki wypadek „na bezdechu" przechodzę lekarza, ciśnienie i tętno w porządku, więc nie jest źle. Tylko lekkie pulsowanie w skroniach i lekko ziemista cera, kiedy przyglądam się w lustrze, przypomina mi, że wczoraj wieczór nie do końca spędziłem „po bożemu". Za dużo latania dzisiaj nie mam; zaledwie dwa loty, a właściwie jeden, bo połączone dwa zadania… „typowe ataki", a w drugiej części „manewry parą w płaszczyźnie pochyłej". W sumie razem ok. 40 minut. Ponieważ prowadzącym jest ppłk K., więc wiadomo, że żadnych „manewrów w płaszczyźnie pochyłej" nie będzie, tylko pełna akrobacja w „płaszczyźnie pionowej". Idziemy do samolotów, rutynowy start parą i po schowaniu podwozia, podczas dolotu do strefy, odstaję od prowadzącego i strzelam kilka krótkich serii, z fotokarabinu oczywiście. To tak na wszelki wypadek,

gdybym miał dzisiaj problemy z celowaniem. Serie uwiecznią się na zdjęciach, a to jest potrzebne do zaliczenia ćwiczenia, jako dowód, że podczas strzelania umowne pociski nie poszły „Panu Bogu w okno".

Oczywiście K. widzi, że pętam się gdzieś za daleko, zamiast trzymać się w szyku i od razu słyszę przez radio parę cierpkich słów na temat moich umiejętności utrzymywania się w formacji. Tlen ustawiłem na 100% i w ten sposób dolatujemy do strefy. K. nakazuje rozpoczęcie zadania, więc odchodzę na pozycję paręset metrów z tyłu i z boku, z lekkim przewyższeniem. Rozpoczynam skręt w stronę prowadzącego i w lekkim nurkowaniu i z przewagą prędkości wchodzę mu na ogon. Łapię samolot prowadzącego w rombik świecącego celownika, przekładam samolot w drugą stronę i idąc za nim po łuku, próbuję oddać serię. W tym manewrze występuje przeciążenie około 4-5g i nie jest to dużo. Nie jest w normalnym stanie, ale ja jednak trochę odczuwam „zespół dnia następnego" i mimo oddychania czystym tlenem, nie mogę tego manewru wykonać we właściwy sposób. Na dodatek zaczynam czuć, że mam organ zwany żołądkiem. Dobrze, że zrobiłem wcześniej zdjęcia „na ojca", bo zdaję się, że moje obecne strzelanie raczej by celowi krzywdy nie zrobiło. K. widzi te moje anemiczne poczynania i strofuje mnie przez radio..

– Ciaśniej, ciaśniej, gdzie się tam pętasz! – słyszę ciągle.

Jak mam robić ciaśniej, kiedy za każdym pociągnięciem steru, żołądek zaczyna bezczelnie upominać się o swoje prawa. W końcu kończymy te nieszczęsne typowe ataki i wyganiają nas do drugiej strefy na wykonanie „manewrów w płaszczyźnie pochyłej". Dołączam do szyku zwartego i podczas dolotu sytuacja wraca do normy. Wlatujemy do strefy i zaczyna się taniec. Ppłk K. ma własną definicję „płaszczyzny pochyłej", więc na dobry początek wykonuje przewrót, potem pętlę i kończy to ostrym zwrotem bojowym. Potem powtarza to w drugą stronę, a ja, zgodnie z regułami wpatrzony w samolot prowadzącego, widzę raz niebo, raz ziemię nad głową i tylko po tym orientuję się jaką figurę właśnie wykonujemy. Niebo, ziemia, niebo, znowu ziemia, a ja po każdej figurze czuję organ pokarmowy coraz bliżej gardła. Nawet tlen nie pomaga. Przy kolejnej pętli, będąc na plecach nie pozostaje

mi nic innego jak pozwolić organizmowi pozbyć się zawartości. Odskakuję w bok, odwracam samolot do normalnej pozycji i ledwie zdążam z wyciągnięciem mapy z plastykowego pokrowca, gdzie ląduje cała zawartość śniadania. K. widzi, że wypadłem z szyku, samolot zachowuje się nienaturalnie, więc wzywa mnie przez radio. Niestety, nawet gdybym chciał, nie mogę odpowiedzieć, bo akurat oddaję się innej, mało atrakcyjnej czynności, która na dodatek jest całkowicie ode mnie niezależna. Kiedy w końcu dochodzę do siebie, jest już niezła afera. K. narobił wrzasku i teraz, kiedy wreszcie mogę odpowiedzieć, każe mi dołączyć i wracamy na lotnisko. Po lądowaniu specjalnie nie skracam dobiegu i skołowuję w ostatnią drogę na końcu ponadtrzykilometrowego pasa. Z dala od ludzkich oczu odsuwam owiewkę i torebka po mapie, wraz z całą zawartością ląduje w trawie, z boku drogi kołowania. Podkołowuję na stoisko, a tam karetka pogotowia, lekarz i cały tłum zebranych gapiów, wśród których są moi koledzy i mechanicy, bo wieść o tym zdarzeniu już się rozniosła lotem błyskawicy. Lekarz tylko spojrzał na mnie, złapał mnie za rękę, wsadził do karetki i ruszyliśmy na izbę chorych.

– O nic nie pytam, ale jak się dobrze przyjrzeć paru twoim kolegom, to chyba z tego samego pieca chleb wczoraj jedliście. Ty do łóżka, a ja dla niepoznaki zarządzam kontrolę w kasynie, czy tam wszystko w porządku i czymś was nie podtruli. Musieliście się tak wygłupić przed lotami? Że też ja wcześniej nic nie zauważyłem – kręci z dezaprobatą głową.

Opowiedziałem mu ze skruchą wczorajszą historię, a ponieważ zmiana lotna właśnie się kończyła, więc pan doktor zrezygnował ze sprawdzenia reszty kolegów na okoliczność „podtrucia". A reszta? Cóż... bardziej ode mnie odporni byli, a poza tym nie wykonywali w tym dniu „manewrów w płaszczyźnie pochyłej z ppłk K.". Tylko panie z kasyna musiały przeżyć wnikliwą kontrolę sanitarną. Sprawa nigdy się nie wydała na szerszym forum, a ja się tym też nie chwalę, bo i nie ma czym. Reszta niech będzie milczeniem. Faktem jednak jest, że to był ostatni przypadek w moim lotniczym życiu, kiedy dokuczył mi żołądek podczas lotu i ostatni przypadek, kiedy zbliżyłem się do samolotu po zakrapianej imprezie.

Kosztowny fryzjer

Na początku października, tuż przed końcowymi egzaminami w powietrzu, przyjeżdża komisja, w której są „kupcy", jak nazywaliśmy przedstawicieli pułków, które w danym roku miały przydział pilotów, takich świeżo po promocji. Oczywiście była to pewnego rodzaju lipa, bo decyzje o tym kto, gdzie ma pójść latać, zapadały na wyższym szczeblu i my jako najbardziej zainteresowani, mieliśmy na to praktycznie zerowy wpływ. Deklaracje mógł składać każdy, ale w efekcie dostawało się przydział tam, gdzie zadecydowała wojskowa biurokracja. Niemniej jednak przedstawiciele poszczególnych pułków starali się zachęcić nas i przekonać, że właśnie w danym ich pułku, będzie nam najlepiej. W czasach słusznie minionych brakowało wszystkiego, więc pilot też był materiałem deficytowym. Moim wyborem był 62 PLM w Poznaniu-Krzesinach. Oprócz Poznania do Wojsk Obrony Powietrznej Kraju były jeszcze przydziały do 10 PLM w Łasku. Siedzimy więc na spotkaniu z ową komisją, której przewodzi płk Marian B. i słuchamy dyrdymał, które opowiada. Słyszeliśmy to już wiele razy przy różnych okazjach. Wszystko to prawie, jak dzisiaj się mówi, „kopiuj i wklej". Ten w końcu zauważa nasze znudzone miny, zawiesza głos i zaczyna mi się bacznie przyglądać, jako że siedzę najbliżej niego. Nie znam powodu jego nagłego zainteresowania i nawet nie próbuję zgadywać, cóż tak bardzo zwróciło uwagę pana pułkownika. Wreszcie jest rozwiązanie zagadki:

– A wy, podchorąży, to co… z fryzjerem się pogniewaliście? – pyta z udaną troską w głosie, wpatrując się we mnie.

Ponieważ podchorąży z pilotażu tuż przed promocją był niemal świętą krową i mało co mogło mu zaszkodzić, a jeszcze licho mnie podkusiło, więc wstaję i dziarsko odpowiadam:

– Nie, obywatelu pułkowniku, tylko, że żołd mały, a data wysoka, więc po prostu zabrakło mi pieniędzy na fryzjera. Za parę dni będzie wypłata, dostanę pieniądze i natychmiast pójdę do fryzjera – obiecuję solennie.

Po sali, wśród kolegów przeszedł szmerek. Co poniektórzy z lekka się uśmiechnęli, znaczy jeden zero dla mnie. Ale pan pułkownik podjął rękawicę.

– Nie macie pieniędzy, mówicie – popatrzył na mnie i sięgnął do kieszeni. – Pozwólcie tu do mnie – powiedział, wyciągając monetę.

– Jak takie kłopoty finansowe macie, to ja wam bardzo współczuję i wam pomogę – troska biła z jego głosu, prawie się użalał nad losem biednego podchorążego. – Macie tutaj pieniądze, idźcie do tego fryzjera i nie czekajcie na żołd – podał mi łaskawie dwa złote, kiedy podszedłem i wymownie spojrzał w kierunku kapitana W., dowódcy eskadry.

Był remis, ale mnie licho kusiło dalej.

– Dziękuję, obywatelu pułkowniku – powiedziałem, biorąc monetę – ale pozwolę sobie zauważyć, że fryzjer kosztuje teraz dziesięć złotych.

Sala zamarła. Koledzy z ciekawością czekali, co będzie dalej, a pan pułkownik mnie zaskoczył, bo sięgnął do kieszeni i dołożył brakujące osiem złotych. Cóż było robić, wziąłem pieniądze i wróciłem jak niepyszny na miejsce. Żart się nie udał, zostałem pognębiony, a jeszcze dodatkowo podpadłem dowódcy eskadry, bo za mój występek na pewno po głowie go nie pogłaszczą. Tymczasem pan pułkownik, upojony sukcesem, potoczył triumfalnie wzrokiem po sali i żeby ugruntować swoje zwycięstwo protekcjonalnie zapytał:

– A może jeszcze kogoś wesprzeć, bo widzę tutaj więcej takich z problemami finansowymi? Czy ktoś jeszcze potrzebuje pomocy? No, śmiało, nie wstydźcie się – dodał zachęcająco. – Kto chętny niech podniesie rękę – kontynuował.

Jak na komendę uniosło się w górę parę rąk, a pana pułkownika o mało szlag nie trafił, widać było, że nerwy mu puściły. Popatrzył z wściekłością na salę, potem na naszego dowódcę, oznajmił koniec spotkania i energicznie wyszedł z sali, a za nim cała jego świta. Koledzy zaczęli chichotać, również zbierając się do wyjścia.

– Ryba, ale dałeś – podszedł do mnie „Al" Jędrzejak.

– A widziałeś „Winia"? Myślałem, że cię wzrokiem zabije. Lepiej mu się na oczy nie pokazuj, bo gotów to zrobić. Już mu pan pułkownik podziękuje za to spotkanie.

– Faktycznie, chyba trochę przesadziłem, ale wy też nie od macochy. Trzeba było ręce w górę podnosić? Tak pułkownik miałby ostatnie, zwycięskie słowo i pełną satysfakcję, a tak jest problem.

– Jaki tam problem – wtrącił się „Jabłko". – Co ci mogą zrobić? Dostaniesz jakąś karę i to wszystko. Zależy ci? – Ale ubaw był niezły, a i pewnie w szeptanych annałach się zapisze – dodał.

– Pewnie, że mi nie zależy, a jakby nie było, „dyszkę" zarobiłem, chociaż łatwo nie przyszło. Ile to się człowiek musi w tym życiu naharować – zakończyłem filozoficznie.

Wychodziliśmy tłumnie z sali, kiedy, roztrącając na boki kolegów, podskoczył do mnie „Winio". Miał wściekłość w oczach, złapał mnie za klapy i targając, wysyczał mi w twarz przez zaciśnięte zęby:

– Ty sk…u, u mnie jesteś przegrany. Módl się, żebyś tu po promocji nie trafił, bo cię zniszczę, zapamiętaj to sobie.

Jeszcze nigdy nie widziałem go tak wściekłego, prawie się go przestraszyłem, ale on tak jak szybko się wściekł, tak szybko się opanował. Puścił mnie i już spokojnym, ale pełnym jadu głosem powtórzył:

– Ty się módl… ja ci radzę… ty się módl, żeby twoja noga w tym pułku nie postała.

– Ja się nie modlę... ja już za to na mszę dałem – odrzekłem zgodnie z prawdą.

Pożegnalny „fajerwerk"

Afera z fryzjerem przyschła bardzo szybko, chociaż cały czas, gdyby wzrok dowódcy eskadry mógł zabijać, to już dawno bym nie żył. Szykowaliśmy się do egzaminów w powietrzu, jednocześnie zbliżał się czas złożenia do oceny pracy końcowej. W miarę jak pogoda pozwalała, kontynuowaliśmy też latanie, bo realizacja naszego programu szkolenia to był temat, który przyprawiał o ból głowy nie tylko nas, ale i decydentów. Jak pisałem wcześniej, tego lata aura nas nie rozpieszczała, a ponieważ do wykonywania większości ćwiczeń potrzebne były tzw. Zwykłe Warunki Atmosferyczne, czyli tłumacząc to na ludzki język – pogoda więcej niż przyzwoita, z programem byliśmy w lesie i nawet czołówka nie sięgnęła 100 godzin nalotu na limach. Nie było więc szans, abyśmy osiągnęli poziom wyszkolenia III klasy pilota myśliwskiego. Trudno, zamiast „trójki" w wieńcu w „gapie", pozostanie puste pole. Kilkakrotnie jeździłem do Dęblina ze swoimi wypocinami na temat „Zależności w występowaniu

i podstawy chmur stratus w rejonie Tomaszowa Mazowieckiego od wilgotności względnej powietrza" i pomimo, że mina mojego promotora daleka była od entuzjazmu, to jednak zaczęło być już widać światełko w tunelu.

– Wiesz – płk dr M. kręcił z powątpiewaniem głową – wyciągasz zgoła fantastyczne wnioski. Nigdzie się z czymś takim wcześniej nie spotkałem.

– Idę na Nobla – zażartowałem, ale widząc, że pan doktor ma inny typ poczucia humoru niż ja, szybko dodałem – tak mi wychodzi ze statystyki i moich przemyśleń.

– Niech ci będzie, akceptuję to wszystko. Zamieść tylko końcowe wnioski i zrób podsumowanie – westchnął ciężko z rezygnacją, oddając mi plik zapisanych kartek.

– Tylko niech cię fantazja za bardzo nie poniesie! – dodał na koniec.

Wyszedłem z ulgą na korytarz, ściskając pod pachą swoje wypociny. Przynajmniej na tym polu widać jakiś postęp. Wracam do Białej Podlaskiej i tam się dowiaduję, że egzaminy są za kilka dni. Bierzemy więc się do podliczania dzienników lotów i wypełniania całej tej buchalterii z tym związanej. Niestety, mój stan zaawansowania programu jest mocno niezadowalający, zresztą nie tylko mój. Nie czas jednak martwić się tym teraz. Egzaminy są ważniejsze.

– Podchorążowie, jest taka sprawa – tradycyjnie zagaja w sobotę na zakończenie zajęć „Winio". Ponieważ w poniedziałek czeka nas wszystkich ciężki dzień, więc ani dziś, ani jutro wyjść żadnych nie ma. Macie siedzieć tu na miejscu i odpoczywać, żeby w poniedziałek nie było niespodzianek. Są pytania? – rzuca na zakończenie.

Oczywiście pytań żadnych nie ma, tak samo jak i nie ma wątpliwości, że mało kto zostanie w jednostce. Przecież to prawdopodobnie ostatni weekend tutaj. I jak tu się godnie nie pożegnać z Białą... Przecież przed poniedziałkiem jest jeszcze niedziela. Zdążymy odpocząć, tym bardziej, że wraz z „Walą" Wojciechowskim, „Ichim" i Ryśkiem Wilczkiem, puściliśmy na spółkę „totolotka" i trafiliśmy czwórkę. Wygrana to około 4500 złotych, czyli taka średnia pensja, więc problem finansów odpada. „Łatwo przyszło, łatwo pójdzie" wyrokuje „Ichi", a my przypadkowo mamy takie same zdanie w owej kwestii. Pieniądze zostają sprawiedliwie podzielone, bo każdy ma inne plany na ich wydanie. Ja z Wilkiem i paroma kolegami, którzy wietrzą w tym niezły interes, wiadomo, są sponsorzy, ruszamy razem do „Agatki", gdzie chcemy trochę ponaprawiać świat i podyskutować nad jego marnościami. Nie wiem, jakie ma plany „Wala" z „Ichim", ale zdaje się, że równie wzniosłe. Z tego, co widzę, to mało kto zostaje na miejscu, co było zresztą do przewidzenia. W trakcie wieczoru towarzystwo idzie w rozsypkę, szukając wrażeń na własną rękę, tak że w końcu zostaję tylko z „Wilkiem". Przed powrotem do koszar zaglądamy jeszcze do „Kryształowej", ale ponieważ jest już dość późno, a właściwie to wcześnie, nie zastajemy nikogo z naszych. Wracamy w szampańskich humorach do siebie i kładziemy się spać. Jest wcześnie rano, kiedy budzi mnie szarpanie za ramię.

– Ryba, wstawaj i zasuwaj po instruktora – to Zbyszek „Szymyk".

– A dlaczego mam zasuwać po instruktora, przecież jest niedziela – odpowiadam zdumiony i jeszcze nie do końca przytomny. – Po co niby instruktor w niedzielę. Pali się, czy co? – nijak nie mogę pojąć, o co chodzi Zbyszkowi.

– To ty nic nie wiesz? – Zbyszek pokazuje w stronę łóżka „Ichiego" i widzę, że ten ma bandaż na głowie.

– Jest afera i masz natychmiast iść po „Trampka".

– Co się stało? – pytam się już na dobre obudzony.

– Wracali z miasta na skróty przez tory. Krzysiek się potknął, walnął o tory i się z lekka poturbował. Trochę krwawił, więc trzeba było wezwać lekarza, żeby stwierdził, czy to nic poważnego. Obrażeń w sumie nie było, skończyło się na opatrunku, ale oficer dyżurny powiadomił „Winia". Ten oczywiście natychmiast przyjechał i stwierdził, że połowy z nas nie ma, a ci, co zostali, są w stanie wskazującym. Ciebie z „Wilkiem" również nie było, ale i tak masz do tyłu, bo przecież był zakaz wyjścia. Ubieraj się więc i grzej po „Trampka", bo on nie ma telefonu. „Winio" ma być za godzinę – zakończył.

– Znowu więc jest afera. Dobrze, że Krzyśkowi nic poważnego się nie stało – pomyślałem głośno, zbierając się do wyjścia.

Dostaliśmy tradycyjny paternoster, a ponieważ w aferę z wyjściem zamieszana była cała eskadra, to i też rozłożyło się to równomiernie po wszystkich. Tak też zakończył się nasz pożegnalny „fajerwerk" w Białej i tylko na imprezie pożegnalnej, już po zdanych egzaminach, Krzysiek Geldner „Ichi", o „Zbrodniczym pseudonimie Jabłko", za namową któregoś z kolegów, wystąpił przy stole w hełmie na głowie, tak na wszelki wypadek, żeby nic mu na nią, przy spełnianiu toastów, nie spadło. Nazajutrz wracaliśmy do Dęblina na finał, czyli obronę pracy i uroczystą promocję.

kpt Marian Rybczyński

Marian Rybczyński urodził się 8 grudnia 1953 r. w Siennicy Różanej. Zainteresowania krótkofalarstwem skłoniły go do podjęcia nauki w technikum łączności (1968-73). Wyższą Oficerską Szkołę Lotniczą w Dęblinie na kierunku samoloty odrzutowe ukończył w 1978 r. Służył w Pułku Lotnictwa Myśliwskiego Poznań-Krzesiny a następnie w Łasku. Prowadził tam samoloty: Lim-5, Mig-21, An-2, PZL-104 Wilga. Od 1987 roku zatrudniony w PLL LOT początkowo jako II pilot, a następnie kapitan samolotów AN-24, TU-134 i B-767. W latach 2004-2007 pracuje w Singapore Airlines (Singapur), a później Asiana Airlines (Korea Południowa) jako kapitan największych samolotów boeing B-747-400 potocznie zwanych Jumbo Jet. Przelatał 23 000 godzin. Obecnie jako emeryt zamierza wydać w formie książkowej wspomnienia, które cyklicznie publikujemy w „Nestorze". Mieszka w podwarszawskiej miejscowości z żoną Barbarą, nauczycielką matematyki. Syn Bartosz poszedł w ślady ojca i jest kapitanem-instruktorem B 737 w Ryanair (Irlandia).

Halina Drobek

Nie warto

Nie warto było, wciąż ciebie kochać,
Tęsknić ogromnie, po nocach szlochać.
Nie warto było, na ciebie czekać,
Żyć w niepewności, na los narzekać.

Nie warto było, żyć w oddaleniu,
W ciągłej rozterce i serca drżeniu,
Bo w życie nasze, los się wtrącić raczył
I tobie inną, mnie innego przeznaczył.

Kto

Kto troski ukoi, kto przyjmie na próg
Gdy się ciągle błąkam po rozstajach dróg.
Kto rękę mi poda, nadzieją napełni.
Że moje dążenie na pewno się spełni.

Kto mnie wyprowadzi
Z tych obłędnych dróg?
Dziś wiem to na pewno.
Tylko Pan mój i mój Bóg!

Pielgrzym

Jestem pielgrzymem, który nie ustaje.
Przemierzyłam niejedne dróg rozstaje,
Niejeden zakręt, niejedno zakole
A wciąż wiele trudu na drodze mojej.

Z woli Pana zwątpieniu nie ulegam,
Wciąż naprzód kroczę, ciężar życia dźwigam,
Wierzę, że nadejdzie mej wędrówki kres
Gdzie w świetle cudownym raj wymarzony jest.

Samowładna

Żadne tęsknoty, żadne marzenia,
Żadne obietnice ani przyrzeczenia
Nie zmuszą miłości, by w sercu została,
Bo miłość zawsze jest samowładna.

Niejedno oziębłe serce komuś skradła.
W takim sercu płomień nagle wznieciła,
Zaś w sercu gorącym, ledwie się zatliła.

Bo miłość dziwne zachcianki ma
Komu zechce, temu szczęście da!

Marzenie

Marzenie się nie spełni,
Bo je dawno zabrał czas.
Razem z wichrem uleciało
Zacierając pamięć w nas.

Wichry, burze, błyskawice
Na swej drodze spotykało.
Jakże miało się obronić?
Już nic z niego nie zostało.

Chciałam

Chciałam zaznać wolności,
Chciałam prześcignąć czas,
Duszę z pancerza uwolnić,
Wyżyn dosięgnąć chociaż raz.

Wyłuskać z łupiny ziarno,
By mogło w żyzną ziemię wpaść.
Lecz wpadło w glebę marną,
I wzrosnąć nie miało szans.

Nie mogło wspiąć się w górę,
Zakwitnąć w słońcu choć raz,
Więc uschło podeptane –
Zagłady dokonał czas.

Halina Drobek urodzona 2 lutego 1937 roku w Siedliszczu. Absolwentka technikum, a następnie studium ekonomicznego z dyplomem technika ekonomisty. Po wyjściu za mąż za żołnierza zamieszkała jakiś czas w Mrzeżynie Gryfickim, a później w Elblągu, po czym wróciła do Siedliszcza. Po otrzymaniu mieszkania w Chełmie, kontynuowała pracę w szpitalu aż do przejścia na emeryturę w 1999 r. W wolnym czasie prowadzi księgę dziejów rodzinnych i pisze wiersze. Fascynuje ją przyroda, a najbardziej kwiaty. Uwielbia „wiosenny śpiew ptaków i nocne niebo roziskrzone gwiazdami". Przeczytała dużo książek i nadal czyta. Obecnie mieszka z synem w Lublinie.

Śnił mi się czas

Z Leszkiem Janeczkiem, doktorem nauk medycznych, regionalistą i samorządowcem rozmawia Jan Henryk Cichosz.

Fot. Jan Henryk Cichosz

Jan Henryk Cichosz: Czym dla Ciebie jest cisza?

Leszek Janeczek: Możemy sobie wyobrazić, że cisza jest jednym z wymiarów rzeczywistości, czyli sposób postrzegania świata. Czy cisza ma długość, szerokość i wysokość, jak nasza trójwymiarowa rzeczywistość? Chyba nie, a może i tak. Dźwięk rozchodzi się we wszystkich kierunkach. A czy cisza też jest w tej samej przestrzeni, co dźwięk? Bo jeśli nie ma dźwięku, to czym jest właściwie cisza? Nawet nie jest najmniejszym punktem. Czy też jest wszystkim? I który stan jest bardziej pierwotny: cisza, czy jej brak? Dopiero, gdy ucichną wszelkie dźwięki możemy odczuć coś na podobieństwo próżni, pustki, niemal nicości. Tak upraszczając. Przeciwieństwem ciszy jest dźwięk. Cisza jest brakiem dźwięku. To kojarzy mi się z ideą Pitagorasa, który uważał, że świat oparty jest na liczbie. Gdy nie ma nic, jak niebyt, i postawimy punkt, to już nie możemy powiedzieć, że nie ma nic. Podobnie jest choćby z najsłabszym dźwiękiem. Chociaż on niemal natychmiast jest obecny wszędzie

w obszarze, w którym była cisza. Można przyjąć, iż wypełnia całą ciszę. Wraz z dźwiękiem cisza znika. Coś podobnego jest z ciemnością i światłem. Czy w kosmosie jest tylko wielka cisza? Nie ma atmosfery, więc nie ma co przenosić dźwięku. Czy to nie jest tak, że jeśli doświadczamy, tak upraszczając, ciszy, to czy ona nie jest częścią tej wielkiej ciszy kosmicznej? Ludzie pozbawieni słuchu żyją w ciszy choć dookoła pełno jest dźwięków. Ci, którzy nie mają wzroku, żyją i orientują się tylko dzięki słuchowi i dotykowi, a więc przede wszystkim dźwiękom. Cisza jest dla nich, tak jak ciemność, nową „próżnią". Wydaje mi się, że cisza i ciemność są czymś pierwszym, a dźwięk i światło wtórnym, coś co może zaistnieć w ciszy i ciemności i do tego dzięki wydatkowanej energii potrzebnej do ich wytworzenia. Gdy energia znika, znowu nastają cisza i ciemność.

Moje pierwsza fascynacja muzyczna, z bardzo wczesnego dzieciństwa, to utwór na trąbkę „Cisza", chociaż wtedy nie wiedziałem, że ma on taki tytuł, słyszany z kołchoźnika. A dzisiaj jest to chyba najczęściej wykonywany, w specyficznym miejscu, na… cmentarzu. Przynajmniej tu, w Krasnymstawie. Swoją drogą to ciekawe, że ciszę wyrażono dźwiękami, tak jak Munch bez jednego dźwięku namalował „Krzyk". To jakby w przeciwieństwie do znanego u nas powiedzenia: „mówił dziad do obrazu, a obraz ani razu".

Oczywiście, na co dzień nie zastanawiamy się nad tym, czym jest cisza. Skąd przyszło Tobie do głowy zadać takie pytanie? Może właśnie dlatego. Ale dlaczego mnie? Swoją drogą pytanie o ciszę zadane przez Cichosza, mającego w szkole pseudonim „Cichy", jest czymś właściwym i na swoim miejscu.

A jeśli my przyszliśmy na ten świat z ciszy i ciemności, to może dlatego w tych właśnie stanach odzyskujemy siły. I pójdziemy w świat wielkiej ciszy. „Cisza jak ta" – taki napis na grobowcu umieszczono Romualdowi Lipce, lubelskiemu kompozytorowi, członkowi „Budki Suflera", to słowa piosenki, do której skomponował muzykę.

JHC: Jeśli już mówimy o ciszy, to powiedz mi, dlaczego w naszej, lecz nie tylko, lokalnej historii nie zostało zapisanych tyle tragicznych wydarzeń?

L.J. To zdawałoby się proste pytanie jest bardzo trudne. Nie ma tu jednej odpowiedzi, nasuwa mi się ich wiele. Podam tylko kilka. Dlaczego nad tak tragicznym okresem, jakim była ostatnia wojna, zapadła u nas wielka cisza, która wciąż trwa?

Po wojnie wszyscy wszystko wiedzieli i być może nie było sensu o tym pisać, w takim w sumie małym Krasnymstawie. Szczebrzeszyn, choć mniejszy, miał doktora Zygmunta Klukowskiego, Tomaszów Lubelski – doktora Janusza Petera. A tu nie znalazł się nikt, kto by pomyślał o nas, przyszłych pokoleniach. Może było to i zbyt bolesne, że aż wypierane, musiało być skazane na zapomnienie, aby można było żyć od nowa?

Potem, następne pokolenie jeszcze coś wiedziało, naoczni świadkowie tracili siły, schodzili z życiowej sceny. W tym czasie było to najodpowiedniejsze, aby utrwalić to dziedzictwo. Nikt się nie znalazł, aby ocalić pamięć straszliwego czasu ich ojców i dziadków.

I teraz my jesteśmy z Twoim pytaniem. Nic już nie wiemy. I chyba nie mamy, jako przytłaczająca większość, takiej potrzeby. Niepamięć w naturalny sposób, jak to ona, pożarła wszystko, jakby wyparowało. Nam współczesnym, patrzącym na Krasnystaw, wszystko wydaje się takie proste, zwykłe, nawet nudne, pozbawione opowieści. Granitowe staromiejskie bruki i pomalowanie niegdyś odrapanych elewacji kamienic wystarczy zaledwie na mimowolne spojrzenie bez większego zachwytu i refleksji.

Inna odpowiedź może celowo prowokacyjna – bo nikt na te historie nie czeka. Oprócz nielicznych jednostek. Przytłaczającej reszcie całą rzeczywistość zastępują cudowne pudełka. Najpierw większe zwane telewizorem, a teraz jeszcze drugie, znacznie mniejsze, obsługiwane jednym palcem, dające wgląd w cały świat.

Gdyby istniała tradycja przekazywania tamtych historii. Ale tak nie było. A ludzie chcieli opowiadać, lecz prawie nikt nie był ciekaw ich losów. Gdyby było inaczej, byłby tu zalew, choćby pisanych śladów.

W maju 2013 roku, w pewnej gminie naszego powiatu wydano obszerną jej historię, liczącą ponad 600 stron. Za półtora miesiąca było zakończenie roku szkolnego. Szkoła zakupiła około 80 nagród książkowych dla najlepszych swoich uczniów.

Lecz ani jednej sztuki świeżo właśnie wydanej monografii ich miejscowości. Nauczyciele są ludźmi światłymi. Dla kogo więc pisać?
Pewna krasnostawska szkoła średnia obchodziła 90-lecie istnienia. Na jubileusz wydano książkę o tragicznych losach uczniów i nauczycieli podczas wojny, właśnie tych krasnostawskich. Gdy obchodzono 100-lecie przypomniano sobie o tej pozycji. Zwrócono się do autora, aby udostępnił jej egzemplarz. Autor już nie miał, odesłał więc do szkolnej biblioteki. Tam jej też nie było. Jeśli była 10 lat wcześniej, to później ją chyba wyrzucono. To cóż mówić o srebrze, gdy złoto rdzewieje...
W 1942 roku w Izbicy został celowo nieśmiertelnie postrzelony przez Niemców mężczyzna. Gdy całą noc leżąc, żył jeszcze, rano został wywieziony na cmentarz w Tarnogórze. Polski grabarz otrzymał zadanie zakopania go żywcem. Jak tu sypać ziemię na twarz żyjącemu? Przykrył ją więc marynarką. Niemiecki nadzorca pilnował. Grabarz ciężko to przeżył, jak mówiła córka. Krótko po wojnie zmarł. Opowiedziałem o tej niezwykłej historii prawnuczce pogrzebanego żywcem. Inteligentna, wykształcona młoda dziewczyna nic o tym, co zdarzyło się na tarnogórskim cmentarzu, już nie wiedziała. Mieszka w Szwajcarii, ma Niemca za męża. Historia uleciała nawet z rodzinnej opowieści.
Nie wszystkie narody tak robią jak nasz. Kiedyś w muzeum w Bełżcu – tam, gdzie był obóz zagłady, usłyszałem za plastikową ścianą z planszami, krótki urywany płacz. Zaciekawiony, starałem się dyskretnie zobaczyć, co się stało. Zobaczyłem kobietę w średnim wieku, Żydówka z Nowego Jorku. Jej dziadkowie zginęli zagazowani w Bełżcu. Jakże niesamowicie żywe było w niej odczucie tej dawno minionej tragedii. Może to był odroczony rytualny płacz po zmarłych. Wszystko jedno, ale jak żywa emocja. Widziałem ukradkiem, szybko ocierała łzy, by za chwilę znów stać się normalną zwiedzającą, jak inni.
Właśnie dla takich wrażliwych i empatycznych ludzi chciałoby się poświęcać siły i czas na pisanie naszych historii. A tu tylko rozczarowania.
W Olszance za Kraśniczynem pewien starszy mężczyzna rozczulił się, gdy zobaczył, że ktoś przyjechał specjalnie do niego, aby poznać jego niezwykłą historię. Próbował wiele razy opowiadać swoim synom. Usłyszał tylko zbywające go słowa: – Dziadek (nie „ojciec" a „dziadek"), gdzież to tak było? Było mu bardzo przykro, trwało to wiele lat, bo i długo żył.

JHC: Jesteś jednym z niewielu, a jedynym tu, w Krasnymstawie, który jak nikt inny pochyla się nad ciszą zapominania, aby z niej ocalić pamięć. I za to Cię bardzo cenię. Lecz są jeszcze inne wymiary ciszy. Czym dla lekarza jest cisza podczas dyżuru?

L.J.: Co do innych wymiarów ciszy… Pytanie to zadajesz w czasie trwania ciszy wyborczej. W medycynie, i to zależy w jakich specjalnościach, cisza jest wynikiem wyboru, wyboru decyzji, jaką się podejmuje nad drugim człowiekiem, pacjentką, pacjentem. Ja pracuję w położnictwie i ginekologii. Cisza ma tu dwa przeciwstawne oblicza – dobre i złe. Poród nie zawsze, ale często, dłużej lub krócej, jest głośny, jako wynik odczuwanego bólu i czasem niemożności opanowania go. Ale gdy urodzi się dziecko, to jest zadziwiające jak rodząca, zaraz w pierwszej chwili, pyta dlaczego dziecko nie płacze. Ona przed chwilą krzyczała, a teraz gdy ucichła, natychmiast czeka krzyku dziecka. To jest bardzo pierwotny odruch. Skąd to wiedzą? To zakodowane w genach, dziedziczone, nie może być inaczej. Wszystkie kobiety, te wykształcone i te nie, młode i starsze, zwłaszcza zadziwia u młodych i niedoświadczonych, ta natychmiastowa chęć usłyszenia krzyku dziecka. Pomimo, że już długo pracuję, za każdym razem zastanawia mnie skąd ta kobieta wie, zmęczona, spocona, osłabiona, nie mająca czasu na myślenie, pierwsze, co mówi: dlaczego nie płacze? Ono musi mieć kilkanaście, kilkadziesiąt sekund, aby zapłakać. Przechodzi przecież z wody do powietrza. Ale matka ma odruch natychmiastowy, w którym chce usłyszeć krzyk swojego dziecka. Dłuższa cisza jest tu zwiastunem złowrogim. Pamiętam na początku swojej położniczej drogi bardzo krzyczącą rodzącą. Przed chwilą przyszedłem na dyżur. Zaraz zdecydowałem o natychmiastowym cięciu cesarskim. Za może dwie minuty, już w windzie wiozącej ją na salę operacyjną, krzyk rodzącej ustał. I to był bardzo zły znak. Macica pękła, ból ustał. Do dziś mam przed oczyma trzy gerbery

dane mi kilka dni później ze słowami: *dziękuję za uratowanie życia.* Niestety, tylko jednego.
Cisza podczas dyżuru? Jak się coś dzieje, nie ma ciszy, jest działanie. Gdy jest cisza, to i obawa, że jest to cisza przed burzą. Najlepsza cisza jest ta po dyżurze. Jest też dyżur pod telefonem. Niby cisza, ubrania przygotowane, telefon naładowany lub ładuje się, okulary pod ręką, kluczyki do samochodu w widocznym miejscu, gdyż wezwanie może być w każdej chwili i to natychmiast, w nocy. o północy. I niby też jest to cisza.

JHC: Mówiliśmy o różnych odcieniach ciszy. Lecz jest jeszcze jeden jej odcień. Mam na myśli tzw. ciszę grobową.

L.J.: Wyrażenie „cisza grobowa" najczęściej traktuje się jako przenośnię dla określenia codziennych sytuacji, z jakichś powodów nadzwyczajnych, dla przykładu „w klasie panowała cisza jak makiem zasiał", „zrobiło się cicho jak w grobie". Nawet w medycynie jest określenie i to w różnych krajach, na stan, kiedy jelita przestają całkowicie pracować, określa się, że słyszymy nad brzuchem grobową ciszę. Lepiej więc, żeby kiszki marsza grały. A ja bym odpowiedział, traktując to wyrażenie dosłownie. Gdy jesteśmy na krasnostawskim cmentarzu, czytając napisy leżących tu zmarłych, szczególnie tych, których bliżej znaliśmy, czujemy jeszcze ich obecność, w pamięci mamy ich głos, i ta cisza, mówiąca „nigdy więcej ich nie usłyszymy". Nasza wyobraźnia czasem próbuje na próżno przeniknąć wnętrze mogły. Groby milczą. Przechodzący mimo i rozmawiający o czymś mało ważnym są jakimś dysonansem do tej ciszy. Kiedy tu przyjdziemy ta wielka cisza od tysięcy grobów bijąca i nas samych wciągając, wycisza. Ale cóż możemy doznać, gdy znajdziemy się 12 kilometrów dalej, w Izbicy na kirkucie. Leżą tam tysiące zmarłych naturalnie i kilka tysięcy rozstrzelanych. Tę grobową ciszę poprzedziło 80 lat temu ileś tysięcy wystrzałów. Pod warstwą ziemi leży we wspólnych jamach kłębowisko szkieletów – dorosłych i dzieci, kobiet i mężczyzn. Taka sama grobowa cisza. Ale ciszę można zakłócić nie tylko dźwiękiem. Oto pewnego razu mogliśmy zobaczyć na obrzeżu cmentarza, że ktoś wyniósł tu kilkanaście puszek po farbie, którą niedawno przyozdobił swoje mieszkanie, zapewne leżące w pobliżu. Ten widok zakłóca w nas tę grobową ciszę spowijającą w tak naturalny sposób majestat śmierci. Bez jednego dźwięku ta cisza została w nas zniszczona, tym co zobaczyły nasze oczy. I przyjeżdżają na to miejsce wycieczki żydowskie z Ameryki, Izraela. Przyjeżdżają, aby ciszę wypełnić modlitewnym kadyszem. Widok tego śmietnika, bo tak to trzeba nazwać, na miejscu w pewien sposób świętym, uczynionego świadomie polską ręką, jest dla przybyszy najlepszym argumentem za tym, że Polacy to chyba antysemici. Wystarczy jeden nieodpowiedzialny człowiek i opinia o całym narodzie idzie w świat. Zdjęcia, które uczestnicy wycieczki zapewne zrobili zostaną „na zawsze", choć być może puszki na drugi dzień sprzątnięto.

JHC: Bardzo dużo powiedziałeś mi o różnego rodzaju ciszy. Jest jeszcze tzw. cisza wyborcza. A jeśli już o wyborach, to i o samorządzie, w którym od lat jesteś obecny.

L.J.: Cisza wyborcza to upragniona chwila wytchnienia po jazgocie okładających się, niczym przeciwnicy w ringu walczący bez zasad, adwersarzy politycznych. A mówi się o wyborach jako wielkim święcie demokracji. I to święto wyzwala, wyrzuca jak wulkan, tyle hejtu, opluwania, nienawiści, kłamstw, wrogości. Cisza przed głosowaniem ma to oczyścić. Życie chyba jest po to, aby szukać prawdy, piękna i dobra. W takim kontekście, czy to rzeczywiście święto, czy raczej jego zaprzeczenie? Święto nienawiści.
Z samorządem to trudna sprawa, zwłaszcza w dzisiejszej dobie Internetu. Rada, jak sama nazwa wskazuje, to radzenie, obrady, dyskusje, rozmowy. Przeciwieństwo ciszy. A mimo to niektórzy blogerzy, czy jak byśmy określili tych, którzy mają w Internecie swoje fora i nieskrępowanie mogą oceniać innych, wychwalają tych radnych, którzy prawie się nie odzywają. A ci, co coś chcą zrobić, powiedzieć czy zainspirować, aby się tylko odezwali już dają powód, tym wcześniej wymienionym blogerom, do wylewania pomyj na ich głowy. A więc morda w kubeł, to na krasnostawskim bruku postawa najbardziej ceniona i godna naśladowania. Ba, dodaje powagi takie milczenie, które jest przecież przysłowiowym złotem. Cisza prze-

de wszystkim. My tu na wschodzie, po rosyjskim zaborze widać mamy w wielkim poważaniu stare, ruskie przysłowie: *tisze budiesz dalsze jediesz*. Chyba w Krasnymstawie i jego okolicach jeszcze musimy dojrzeć do tego, do czego Grecy doszli dwa i pół tysiąca lat temu, choć tak chcemy demokracji, a ta przecież od Greków pochodzi. Czyżby grecki demos byłby aż tak lepszy od naszego ludu?

JHC: Każdy z nas ma swoje ulubione miejsca, w których czuje się najlepiej. W większości są to miejsca wielkiego spokoju i ciszy, które każdemu z nas są bardzo potrzebne w ucieczce od jazgotu coraz głośniejszego współczesnego świata.

L.J.: Jest u mnie takie miejsce. Są w nim dziesiątki, jeśli nie setki, jakichś łączników, niewidzialnych, mnie tylko znanych nici łączących z przeszłością, z teraźniejszością też, z różnymi miejscami czasem bardzo odległymi. Przede wszystkim jest tam grubo ponad 1500 książek. Najstarsze z XVIII wieku, w różnych językach, najwięcej polskich, rzecz jasna, ale i rosyjskie, angielskie, francuskie, niemieckie. Niektóre były własnością osób z Krasnegostawu, które zginęły w czasie II wojny, pisałem o ich losach. Teraz trzymać w ręku te ich książki jest niezwykłym uczuciem. Taki młody Zbyszek Jagielski zginął gdzieś w Oświęcimiu, spalony w piecu, a jego książki są u mnie. Cukiernica z wyszczerbioną symetrycznie pokrywką, jakby tak miało być, Babci Sabiny. Wyrzucona na wiele lat do rupieci, cudem ocalała, odzyskana, służy w kuchni, za każdym razem przypominając ulubioną Babcię, która była źródłem opowieści rodzinnych, anegdot, i przede wszystkim słów gwarowych. Dzięki Niej mogłem zaskoczyć kilkoma wyrażeniami panią profesor w Lublinie, największą znawczynię gwary lubelskiej. Ona tych słów nie znała. Pradziadek Jan Badio urodził się dokładnie 100 lat przede mną. Część jego losu była podobna do mojego. Umarł w 1947, nie mogłem Go więc poznać. Widziałem Jego kości, gdy kopano grób dla mojego Dziadka. Wziąłem, nawet guzik od marynarki, wydobyty z ziemi, miałem wtedy 20 lat. Guzik gdzieś zaginął. Ale po latach znalazł się Jego kożuch. Mogę

go więc nałożyć na siebie i być dokładnie w nim jak Pradziadek, którego nigdy nie było żadnego zdjęcia. Tylko ten, pewnie stuletni kożuch mnie z Nim łączy. No i zachowałem kilka żelaznych gwoździ z Jego drewnianych bron. Po Dziadku Stanisławie Badiu stoją w garderobie oficerki, z których był bardzo dumny. Powinny były dawno trafić na śmieci. Ale po co? Jaki byłby pożytek z samego pustego miejsca, które teraz zajmują? W ogrodowej altanie leżą dwa kamienie zabrane z Petersburga z Twierdzy Pietropawłowskiej. Więziono tam Kościuszkę z Niemcewiczem. Julian Ursyn Niemcewicz przejeżdżał dokładnie przez to miejsce, bo przez nie biegła stara droga i nawet opisał tę miejscowość. Kamienie przywoziłem z różnych wypraw. Najcenniejszy jest malutki okruszek z Izraela, z Góry Kuszenia, a konkretnie z groty, w której Pan Jezus spędził 40 dni i nocy postu na pustyni. Trudno go było oderwać. Są małe kamyczki wapienne z Akropolu i Wawelu, połączone u mnie sąsiedztwem. I wiele, wiele innych. Muszla i nóż do papieru św. Jakuba z Santiago de Compostella, mój syn ma na imię Jakub, samurajski miecz, polska szabla paradna, gruziński kindżał, polski bagnet i imitacja średniowiecznego topora bojowego. Liść z palmy rosnącej nad jeziorem Genezaret, nieopodal ruin synagogi, w której Jezus nauczał i uzdrowił teściową św. Piotra. Tam kazał wypływać na głębię. Liść ten leży jeszcze w garderobie, czekając na pomysł ostatecznego jego wykorzystania. Różne dziwne stroje, jak egipska galabija, szkocki kilt i mundur sowieckiego pułkownika *suchoputnych* wojsk, czyli po polsku piechoty, czy japońskie kimono z czasów, gdy byłem adeptem karate. Duża podkowa, którą kiedyś zgiąłem po pewnej pamiętnej nocy, a potem nigdy już nie potrafiłem jej odgiąć. Żelazka z duszą, stara, ale dobra trąbka, na której na pewno kiedyś grano „Ciszę". Przede wszystkim archiwum historyczne, materiałów, które mam nadzieję wykorzystać w przyszłych pracach. Barek z różnymi alkoholami, których nie mam kiedy pić. Woda z Jordanu w plastikowych butelkach, choć nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki, to jednak nabrana została przeze mnie w miejscu ochrzczenia Jezusa przez świętego Jana. Teraz ta woda czeka na chrzty wnuków. No i koguty, gliniane i malowane. Ale najpierwszy pośród nich to

kogut Babci Sabiny. Stał u niej w pokoju na kołchoźniku, czyli takim głośniku, buńczuczny, kolory mu już wypłowiały, ale zawadiacka postawa wciąż ta sama. Mierzy się dziobem z bardzo kolorowym kogutem z Portugalii, dokąd wyjechała prawnuczka właścicielki starego koguta. Maglownica Babci. Wałek, na który nawijano odzież gdzieś się zagubił. Wiosną kwitną bzy i pięknie pachnie czereśnia zaglądająca na balkon. W ogrodzie rośnie jabłoń zasadzona przed wojną. Znalazłem maleńki zielony kwit z lat 30. ubiegłego wieku, kiedy była kupowana. Jest to kosztela, bardzo słodka, rodzi co drugi rok, zasadzona przez Dziadków Badiów, Sabinę i Stanisława, jedyna, która została z dużego sadu. Obok niej postawiłem wielki pień starej krasnostawskiej lipy rosnącej na rogu ulicy Kościuszki i Gawryłowa, przykryłem go blaszanym daszkiem, aby choć trochę przypominał domek z filmu na dobranoc „Bajki z mchu i paproci". Po pewnym czasie dowiedziałem się, że Austriacy w czasie pierwszej wojny wieszali na tej lipie ludzi. Może to nieprawda, mam nadzieję. Ale dzieci trzymały się od niego z daleka. W ogrodzie niepozorny krzak białej porzeczki, ciągle ten sam od 60 lat. Muszelki z Acapulco, kamyczki z Teneryfy i kolorowe głaziki znad brzegu rzeki, zebrane dwa dni po tym jak książę Karol (dzisiejszy król Karol III) dokonał otwarcia słynnego pięćsetletniego mostu w Mostarze w Bośni i Hercegowinie, zrekonstruowanego po zniszczeniach bałkańskiej wojny. Żelazny wąż-świecznik i metalowy lis, metaloplastyki niegdyś bardzo znanego kowala Bychawskiego i finezyjne szklane koty z zadartymi ogonami, ze Lwowa stojące razem na kominku. Wszystko to oświetla kolorowa lampa zakupiona na Złotym Bazarze w Stambule od Ormianina chrześcijanina. No i srebrzysty, bo stalowy orzeł bez korony, wiszący niegdyś kilkadziesiąt lat na domu sołtysa w sąsiedniej wsi, stojący teraz obok maleńkiego orzełka legionowego. Malarz z Chełma Franciszek Mazurek na czterech obrazach utrwalił cztery pory roku magicznego miejsca z młynem nad Wolicą, stojącego kilometr od domu. Zdjęcie kiedyś zrobione tam o świcie i z mgłami, znalazło się w tym samym czasie w Nestorze na okładce i monachijskiej gazecie. A potem bobry podgryzły wszystkie wierzby i magię szlag trafił. U mnie zostały za to obrazy. Może już wystarczy.

Jest tego jeszcze dużo. Najwięcej niewidzialnego – opowieści. To wszystko inspiruje, łączy, przypomina, wzbudza refleksje, regeneruje. Do tego miejsce to, od pięciu pokoleń w naszej rodzinie. Nie wystarczy wybudować nowy dom, trzeba sprawić, aby miał on duszę – jakoś tak śpiewała Alicja Majewska, nawet tu w Krasnymstawie. Ja mam nadzieję, że tak jest. Przynajmniej próbuję.

JHC: Najwięcej ciszy i spokoju mamy podczas snu. Czym dla Ciebie jest sen?

L.J.: Jak się pracuje czterdzieści lat w szpitalu i dyżuruje, sen jest dobrem deficytowym. Ale Ty nie o to pytasz. Czy sen to cisza? Jest przecież cisza nocna. Kiedy śpimy, nie słyszymy, nie widzimy, nie czujemy żadnymi innymi zmysłami. Morfeusz – brat śmierci, napisano.

Ale kiedy zaśniemy, zaczynamy widzieć obrazy senne. Tam są również czasem dźwięki, głosy, słowa, chociaż nasze oczy i uszy „śpią".

Nie myślałem nigdy o tym wcześniej. Dopiero Twoje pytanie nasunęło mi myśl, o której potem. Ale najpierw sen. Otóż kilka dni temu śniło mi się, że jestem na radzie powiatu. Procedowana jest jakaś opłata za parkowanie. Pada kwota 100 zł. Nagle odzywa się mój telefon w trybie głośnomówiącym, takimi słowy: „Pieniądze nie są najważniejsze". Próbuję bezskutecznie palcem kliknąć w krzyżyk, aby zamknąć, a głos ciągle powtarza to samo i tak 4 razy.

Kilka dni wcześniej miałem rozmowę z kolegą ze studiów, profesorem Henrykiem Mazurkiem. Duże wrażenie zrobiło na mnie to, że zrezygnował wiele lat temu ze świetnie prosperującej praktyki prywatnej. To somnambuliczne przesłanie zachęcało być może do takiego samego kroku.

Wracając do rozważań o ciszy. Skąd zatem pochodził ten głos we śnie? Nie przekazał tego słuch, na zewnątrz głowy panowała cisza. Tego dźwięku nie było fizycznie, od niego nie drgało powietrze, które przenosi falę dźwiękową, mówiąc językiem fizyki. Można rzec, to paradoks. Te dwa przeciwstawne stany, cisza i dźwięk, zaistniały w tym samym momencie. Cisza na zewnątrz głowy trwa w najlepsze, a śpiący słyszy wyraźnie słowa. Fali dźwiękowej nie ma, a wrażenie dźwięku jest identyczne jakby była. I jeszcze jedno. Aby

widzieć i słyszeć, jak w marzeniu sennym, organy zmysłów, jak widać są niepotrzebne. Czyżby tylko w naszej rzeczywistości cielesnej są niezbędne? A czy gdyby w głowie, gdy dział się ten sen, tych słów nie było, to czy można powiedzieć, że w tej ciszy, nazwijmy ją zewnętrzną, jest jeszcze druga, cisza wewnątrz umysłu? Cisza jest więc bardzo względna. Kiedyś miałem taki ni sen, ni jawę, w którym miałem całkowicie jasne wrażenie, że myśli nie mają w ogóle słów.

Śpiąc, mam wrażenie, przez cały czas trwają marzenia senne. Umysł porządkuje informacje, resetuje się. Pamiętamy z tego bardzo mało. Głównie są to obrazy. Analogicznie do ciszy, zatem w takim stanie rzeczy nie ma też całkowitej ciemności, przynajmniej w naszym umyśle.

Śni mi się bardzo dużo. Dość ciekawe są sny, w których występują bardzo znane osoby publiczne. Pijany, leżący na podłodze na Kremlu Borys Jelcyn, Georg Buch senior, Tony Blair, Wałęsa, Kwaśniewski, nawet Putin i wielu innych. Była jakby seria z polskim papieżem, przez kilkadziesiąt lat. Także postacie zmarłe stały jak żywe, jak Piłsudski, Breżniew, gestapowiec z Izbicy Engels – nawet we śnie się go bałem, kardynał Wyszyński, Bolesław Chrobry z włócznią św. Maurycego, Mieszko II i jeszcze ktoś, niby żywi stali, jak postacie z brązu, w takimże kolorze. Były jednak sny, które coś oznaczały. Przepowiadały przyszłość, tę tragiczną i tę radosną. Jednym z ciekawszych był sen, raczej abstrakcyjny, w którym śnił mi się CZAS. Wynikało z niego, że wydarzenia stoją i czekają, czas zbliża się do nich, płynie, jakby frunął równomiernie, mija je jako figury statyczne istniejące nawet wtedy, gdy czas do nich się jeszcze nie zbliżył. Część z moich snów wykorzystał do swoich książek kolega ze studiów doktor Waldek Dudek, zajmujący się ich badaniem, umieszczając je wraz ze swoją interpretacją. To jest jednak temat zbyt szeroki jak na naszą rozmowę.

JHC: Też tak myślę…

rozmawiał Jan Henryk Cichosz

Irena Kulik

Jubileuszowe Wilno

Rozświetlone z Baszty Giedymina,
ku gwiazdom wysłało niebieskie promienie,
niczym krople atramentu z listu
w kształcie liter, cyfr na pergaminie.
Od siedmiuset lat gród warowny nad Wilią
wyśnionym wyciem wilka słynie.
Pieśń litewska, polska, niemiecka, rusińska
pod spojrzeniem nieba z nurtami płynie,
gdzie mądrość, miłosierdzie i dobroć współpracuje
i Matka Najłaskawsza w Ostrej Bramie króluje.

25.01.2023

Wieczorem w Krasnymstawie

Trzeci lutego, w parku drzewa.
Tuż po zmierzchu cisza śpiewa,
nad Petrarką sielankowa,
tocząc pełnię księżycową –
po gałązkach i po linie,
zanim na przestworza wpłynie
ta łódeczka rozjaśniona…
W pąkach drzemie pieśń zielona…

03.02.2023

Pamięci P.W.

Panie,
kim jestem wobec Ciebie?
Istotą z ludzką twarzą?
Z chłodem alabastru płatka
zastygłym na wargach pamięci?

Z trwogą o jutro
w czterech tonach serca?
Jak mam zasłużyć na wieczność,
by tu mogły pozostać
tylko buty
i stosy książek
do rozdania.

I te od serca
dwie miniaturowe:
jedna z mądrościami Puchatka
druga
zwyczajnie
– „Dla Dziadka”.

Czynność

Zaplatam warkocz
przesłania
kobiet zza światów
dzielę na trzy pasma
wiary nadziei i miłości
każde zakładam po kolei
dociskam
niczym ramieniem krosna
przesuwając między palcami
historię życia
jak wodę z bystrego strumienia
zanim nie skończę na mysim ogonku
z puklem w dłoni
pamiątką przerwanych wspomnień

13.11.2022

Chmielakowy bukiecik

Nim piwny trunek pryśnie
z odszpuntowanej beczki,
uwiję chmielakowy bukiecik
ze złotem nawłociowej świeczki
ukołysanej szmerem Wieprza,
z uśmiechem szyszek chmielu.
Gałązka do gałązki
i wstążka – tak niewiele…

Irena Kulik

Pierwsze „Ślady Singera” w Krasnymstawie

Za nami już letnie wspomnienia, a wraz z nimi różne kulturalne przedsięwzięcia. Na uwagę szczególnie zasługuje upamiętnienie XIII edycji Międzynarodowego Festiwalu „Śladami Singera”, który 17 i 18 lipca po raz pierwszy gościł w Krasnymstawie. Pierwszego dnia zainteresowani historią Żydów z Lubelszczyzny mogli obejrzeć film dokumentalny „Po-lin. Okruchy pamięci” w reżyserii Jolanty Dylewskiej, natomiast kolejnego – spektakl „Zapomniane opowieści rabinów i cadyków” w wykonaniu Witolda Dąbrowskiego z Teatru NN, oraz widowisko teatralne z elementami nowego cyrku:

Poezja - Irena Kulik

akrobatyki powietrznej, fireshow, tańca, beatbox’u i muzyki na żywo w wykonaniu artystów z Włoch, Grecji, USA, Norwegii, Peru, Czech, Niemiec i Polski – w sercu Krasnegostawu, w rynku, gdzie zgromadziło się sporo młodych widzów. Było dużo śmiechu i zabawy, co ujęłam w poniższym wierszu:

Pierwsze „Ślady Singera” w Krasnymstawie

Singer zahaczył
o gród z karpiami,
ożywiając cienie historii
Mojżeszowymi wspomnieniami
w przystani kultury,
w szumie listowia rynku,
jidysz uchwycił za serca
chłopca i dziewczynkę,
których rozbawił Cristian
peruwiańczyk młody
wraz z brazylijką Claudią
pełną werwy i urody.

Lina owinęła go
niczym gałąź chmielu
pnąca ku latarni,
a potem
na rowerku jednokołowym
śmigał jak niewielu.
Bo to przez melonik
i wesołe żarty.

O Annice zgiętej wpół
również wspomnieć warto
z wypiętą pupą, okrytą płaszczem,
co w powietrzu się prostuje i robi salto.

Natomiast Ana pełna gracji
w czerwieni dama
powoli na scenie się zjawiła
za rękę uprzejmie trzymana
zanim długich szat nie pozbyła,
krocząc na piłce,
hula hop kilkakrotnie obróciła,
już z akordeonem w ręku,
kręcąc obręcze znów powróciła,
by Claudia w kole mogła się obracać,
a Tiny czeski beatboxer
żydowską melodią z przytupem uraczać.

W finale widowisko
ujęto kręconą ognistą poświatą
w dłoniach Janka
i przyjaciół z całego świata,
rozświetlając mrok
pod starodrzewu koroną
w splocie melodii
klarnetu, tuby i akordeonu
wykonawców nie byle jakich
włoszki Valerii, Isabel zza oceanu
i Norwega Stiana w całości wrażeń takich,
które wyreżyserował Ziętek z Lublina,
i Dąbrowski impresario singerowskiego potoku.
Tak historia się kończy,
a gdzie indziej znów rozpoczyna,
bo „Cały świat to jeden wielki most".

Irena Kulik

Wprowadzenie relikwii bł. ks. Zygmunta Pisarskiego, Patrona Miasta Krasnystaw oraz orędownika pojednania

Niedziela 12 listopada 2023 roku na długo pozostanie w pamięci i w sercach parafian, przedstawicieli lokalnych władz, gości oraz krewnych błogosławionego ks. Zygmunta Pisarskiego, którego relikwie wprowadzono do świątyni pw. Trójcy Przenajświętszej w Krasnymstawie. Kościół został przyozdobiony kwiatami w odcieniu barw narodowych, a w centrum został ustawiony przepiękny obraz Błogosławionego, który od dwóch lat na co dzień mieści się w sali sejmikowej, w siedzibie władz miasta. Od 12 czerwca 2021 roku Błogosławiony patronuje Miastu Krasnystaw z inicjatywy Stowarzyszenia „Ku Dobru".

Tuż przed uroczystą sumą chwile oczekiwania na wniesienie relikwii upiększył występ dzieci i młodzieży z Zamościa oraz synów z rodziny Szwalów, natomiast po uroczystości również wspólny koncert z młodzieżą z Krasnegostawu. Mszę św. celebrował ks. Józef Jargieło, natomiast homilię wygłosił oraz przybliżył historię bł. ks. Zygmunta Pisarskiego – ks. dziekan Roman Skowron.

Fot. Irena Kulik

Kult błogosławionego krasnostawianina, którego na ołtarze 13 czerwca 1999 roku w Warszawie wyniósł papież Jan Paweł II, w gronie 108 męczenników II wojny światowej od lat jest pielęgnowany za sprawą Stowarzyszenia „Ku Dobru", które zrzesza osoby dzielące się pamięcią oraz dobrocią. Niestety, pandemia przed dwoma laty zabrała księdza Zbigniewa Kulika, który był niestrudzonym orędownikiem kultu Błogosławionego. Już drugi rok z kolei została uczczona pamięć po odeszłym księdzu w postaci „Zaduszek za ks. Zbyszka", w których wzięła udział Jego matka

Urszula wraz z rodzeństwem przedwcześnie zmarłego kapłana.

Nie sposób pominąć wspomnień, w jaki sposób wszystkich połączyła postać bł. ks. Zygmunta Pisarskiego, gdyż po uroczystej mszy św. w czasie spotkania integracyjnego pod przewodnictwem Bożeny Pachli, każda osoba mogła przybliżyć swoją historię. Pani Jola, prowadząca warsztat meblarski, postanowiła podarować konfesjonał proboszczowi parafii Trójcy Przenajświętszej. Było ogromne zdumienie na widok jego opłakanego stanu, gdyż poprzedni właściciel przekazał go do utylizacji za dwa nowe. Po krótkiej rozmowie okazało się, że to ten sam konfesjonał, w którym spowiadał Błogosławiony, gdy pracował w Soli. Małżeństwo odrestaurowało go. Obecnie zdobi krasnostawski kościół Trójcy Przenajświętszej. Z kolei pani Joanna odwiedziła grób propagatora kultu Błogosławionego – ks. Zbigniewa Kulika, zostawiając piękne wiązanki ze zniczami. Natomiast Zbigniew Atras był jednym z inicjatorów powstania szlaku turystyczno-pielgrzymkowego pn. „Droga życia błogosławionego ks. Zygmunta Pisarskiego w Krasnymstawie" oraz prowadzi stronę internetową „Pielgrzym krasnostawski". Pamięć nigdy nie zaginie, gdy jest nastawienie ku niesieniu dobra innym osobom, jak to czynił Błogosławiony ks. Zygmunt Pisarski w ostatniej swojej parafii w Gdeszynie, w czasie okupacji niemieckiej oraz trudnych relacji narodowościowych. Poniósł męczeńską śmierć, stając się orędownikiem pojednania, bo w każdym człowieku widział przede wszystkim cząstkę istoty boskiej z takimi samymi potrzebami i cierpieniem jak on sam.

dr Irena Kulik

Irena Kulik – absolwentka KUL, doktor nauk humanistycznych w dziedzinie językoznawstwa polskiego. Miłośniczka kultury, historii, sztuki, literatury polskiej, a szczególnie dotyczącej Kresów Wschodnich. Uczestniczka konferencji naukowych w Wilnie, Lublinie, Pobierowie, Toruniu. Od dwudziestu lat mieszka w Krasnymstawie. Publikuje w czasopismach: „Nestor", „Powinność", „Lublin. Kultura i Społeczeństwo", lokalnych tygodnikach oraz krajowym dzienniku katolickim. Pracuje w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Krasnymstawie.

Elżbieta Patyk

„Ludzie z pasją gminy Fajsławice"

6 października 2023 r. goście, którzy przybyli do Biblioteki Powiatowej uczestniczyli w dziewiątym wydaniu ogólnopolskiej akcji „Noc Bibliotek". Spotkanie odbyło się dzięki dobrej współpracy z gminą Fajsławice. Na wystawie „Ludzie z pasją gminy Fajsławice" swoje prace zaprezentowali: Stanisława Boruczenko, Bożena Kucharska, Barbara Sobczuk (rękodzieło), Joanna Kosierb (malarstwo), Kazimierz Szewczak (ikony). Podczas otwarcia wystawy, wójt gminy Fajsławice Janusz Pędzisz mówił między innymi: *gmina Fajsławice jest bardzo wdzięczna, że możemy się zapromować, że możemy pokazać ludzi z pasją. Piękno trzeba rozpowszechniać i trzeba się nim dzielić. Wierzę, że dzisiaj będzie to naszym udziałem. Moja gmina jest gminą bardzo ciekawą, bogatą w wydarzenia historyczne, bo tam w 1863 r. w czasie powstania styczniowego była bitwa pod Fajsławicami, tam też w 1980 r. powstał Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność", założony przez późniejszego senatora Janusza Stępniaka. Bogactwem naszym są również pola, specjalistyczne sady i uprawy. 20% zasiewów w gminie zajmują zioła, którym sprzyja dobry klimat, nasłonecznienie i ogromna praca ludzi. To powoduje, że jesteśmy znani jako „Tymiankowy smak Fajsławic". Gmina z Urzędem Marszałkowskim Województwa Lubelskiego współorganizuje Wojewódzkie Święto Ziół. Ale jestem pewny, że największym bogactwem gminy Fajsławice są jej mieszkańcy, spracowani przy ziołach, ale też bardzo mądrzy, przedsiębiorczy i wśród nich jest wielu ludzi z pasją. Aktywność jest wśród nich cechą dominującą. I dzisiaj będziemy mogli zobaczyć prace tych ludzi, bo to jest nasze bogactwo. Ta kultura, którą możemy dzisiaj zobaczyć, to jest też podtrzymywanie tradycji kulinarnych, historycznych i artystycznych. I składam wam, moi kochani bardzo serdeczne podziękowania za to podtrzymywanie tradycji, za piękną promocję gminy Fajsławice. Wierzę, że miło spędzimy tutaj czas*.

Fot. Joanna Radziszewska

Starosta krasnostawski Andrzej Leńczuk pogratulował kolejnej imprezy, podczas której prezentowany jest dorobek kulturalny powiatu. Powiedział, że gmina Fajsławice stoi nie tylko historią, uprawami ziół, ale i bogatą kulturą. *To kolejne wydarzenie, gdzie prezentowani są ludzie z pasją. Jestem zaskoczony różnorodnością prac, w tym bogatą wystawą ikon, koronkami artystycznymi i użytkowymi. Życzę kolejnych wystaw i prezentacji kolejnych gmin powiatu krasnostawskiego*.

Umiejętności wokalne zaprezentowały zebranym zespoły śpiewacze „Fajsławianki" i „Siedliszczanki". Dyplomy twórcom, członkom zespołów, stowarzyszeń i kół gospodyń wręczył wójt gminy Fajsławice Janusz Pędzisz, starosta krasnostawski Andrzej Leńczuk i Ewa Nieścior, przewodnicząca Komisji Oświaty i Kultury Rady Powiatu oraz członek zarządu Towarzystwa Przyjaciół Fajsławic. Na stoiskach swoje umiejętności kulinarne zaprezentowały: Gminne Stowarzyszenie Aktywnych Kobiet w Fajsławicach, Koło Gospodyń Wiejskich „Razem Lepiej" w Ksawerówce i Koło Gospodyń Wiejskich w Marysinie „Kreatywne Marysieńki".

Za współorganizację wydarzenia dziękujemy wójtowi gminy Fajsławice Panu Januszowi Pędziszowi, zespołowi Gminnej Biblioteki Publicznej w Fajsławicach: Pani Dyrektor Justynie Zając i Pani Danucie Majcher, bibliotekarce z Filii w Siedliskach. Dziękujemy twórcom, członkom towarzystw, członkom zespołów śpiewaczych i członkiniom kół gospodyń wiejskich z terenu gminy Fajsławice.

Spotkanie po raz kolejny pokazało, że biblioteki są otwartymi i dostępnymi instytucjami kultury z ofertą dla osób w każdym wieku, miejscami łączącymi ludzi, pokazującymi siłę lokalnej społeczności.

Elżbieta Patyk

Elżbieta Patyk

„Z Nestorem do gwiazd"

16 listopada 2023 r. miłośnicy astronomii uczestniczyli w Bibliotece Powiatowej w kolejnym spotkaniu z cyklu „Z Nestorem do gwiazd". Wiceprezes Lubelskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii i sekretarz redakcji czasopisma „Nestor" Wiesław Krajewski opowiedział zebranym o podstawach astronomii.

Potocznie dzień to czas pomiędzy wschodem i zachodem słońca. Dzień zaczyna się, gdy na horyzoncie pojawia się rąbek słońca, a kończy, gdy jego ostatni rąbek schowa się za linię horyzontu. W wyniku zjawiska zwanego refrakcją atmosferyczną promienie światła załamują się w atmosferze. Refrakcja sprawia, że obserwowane obiekty widzimy nieco wcześniej przy wschodzie i dłużej przy zachodzie, niż działoby się to przy braku atmosfery. Po zachodzie Słońca nie następuje od razu noc, tylko zmierzch cywilny, żeglarski i astronomiczny, w którym Ziemia jest oświetlona światłem słonecznym rozproszonym w atmosferze. Żeby nastała noc astronomiczna Słońce musi znajdować się 18° poniżej linii horyzontu. Dopiero wtedy na niebie może zapanować całkowita ciemność. Okazuje się, że w północnej Polsce latem występują białe noce żeglarskie i astronomiczne, w których po zmierzchu następuje od razu świt.

Wiesław Krajewski (fot. Joanna Radziszewska).

Następnie prelegent opowiedział o prawach Keplera, które opisują ruch planet w Układzie Słonecznym. Pierwsze prawo Keplera opisuje kształt orbit planet, a drugie związane jest z prędkością planety po orbicie**.** Każda planeta krąży po orbicie eliptycznej, ze Słońcem w jednym z ognisk tej elipsy, a odległość planety od Słońca się zmienia. Ekliptyka to okrąg na sferze niebieskiej, po którym w ciągu roku pozornie porusza się Słońce obserwowane z Ziemi. Ruch ten jest wynikiem rocznego obiegu Ziemi wokół Słońca, a ponieważ nie jest on jednostajny (na skutek eliptyczności orbity), obserwowana prędkość ruchu Słońca po ekliptyce też nie jest stała. Wzdłuż ekliptyki leży 12 gwiazdozbiorów Zodiaku. Nachylenie płaszczyzny równika niebieskiego względem ekliptyki wynosi ok. 23,5°, co jest następstwem nachylenia osi Ziemi. Ekliptyka i równik niebieski przecinają się w dwóch miejscach zwanych punktem Barana i punktem Wagi. Gdy Słońce się w nich pojawia, następuje zrównanie dnia z nocą – noc i dzień trwają po 12 godzin w każdym punkcie Ziemi. Kiedy Słońce osiąga najdalej oddalony na północ od równika niebieskiego punkt, na półkuli północnej mamy do czynienia z letnim przesileniem, natomiast na półkuli południowej z przesileniem zimowym. Gdy Słońce znajdzie się w punkcie najdalej oddalonym na południe, sytuacja jest odwrotna.

Gwiazdozbiór to określony obszar nieba. Gwiazdy wchodzące w skład gwiazdozbiorów nie są ze sobą zazwyczaj fizycznie związane, a ich bliskie położenie na niebie jest wywołane geometrycznym efektem rzutowania ich położeń na sferę niebieską. Tradycja łączenia gwiazd w symboliczne kształty sięga czasów starożytnych. Ostateczny podział sfery niebieskiej na 88 gwiazdozbiorów oraz ich granice zatwierdziła w 1930 roku Międzynarodowa Unia Astronomiczna. Okazuje się, że nie wszystkie kształty wyróżniane na niebie są gwiazdozbiorami. Część z nich to tzw. asteryzmy. Najpopularniejszym asteryzmem jest Wielki Wóz, często błędnie identyfikowany z konstelacją Wielkiej Niedźwiedzicy, której w rzeczywistości jest tylko częścią. „Letni Trójkąt” tworzą gwiazdy: Altair w gwiazdozbiorze Orła, Deneb w gwiazdozbiorze Łabędzia i Wega w gwiazdozbiorze Lutni. Ciekawym asteryzmem jest „Wieszak”, który bardzo przypomina ten przedmiot, który znajduje się w każdej szafie. Pas Oriona to asteryzm utworzony przez trzy jasne gwiazdy: Alnitak, Alnilam i Mintaka, należące do gwiazdozbioru Oriona. Ciekawym asteryzmem jest też „Wielki Czworokąt Pegaza”.

Zaćmienie jest zjawiskiem astronomicznym polegającym na tym, że cień jednego ciała niebieskiego pada na powierzchnię drugiego. Możliwe jest ono, gdy w jednej linii znajdują się oba ciała oraz źródło światła, którym jest zazwyczaj gwiazda jako ciało świecące światłem własnym lub inny obiekt świecący światłem odbitym. Do zaćmienia Księżyca dochodzi, gdy nasz naturalny satelita znajdzie się w cieniu rzucanym przez Ziemię (Księżyc jest wtedy w pełni). Dzięki niewielkiej ilości światła słonecznego przechodzącego przez ziemską atmosferę możemy wtedy podziwiać piękną kolorystykę tarczy Księżyca zależną od stanu ziemskiej atmosfery. Zaćmienie Słońca powstaje, gdy Księżyc znajdzie się pomiędzy Słońcem a Ziemią (jest w nowiu) i tym samym przysłoni tarczę Słońca.

Droga Mleczna to nazwa dużej, spiralnej galaktyki, w której znajduje się m.in. Układ Słoneczny, a w nim nasza planeta – Ziemia. Przypomina kształtem dysk i nazywana bywa Galaktyką lub galaktyką z poprzeczką, ponieważ przez jej środek przebiega pas jasnych gwiazd, z którego końców odchodzą spiralne ramiona galaktyki. Nazwa „Droga Mleczna” pochodzi z mitologii greckiej. Średnica Drogi Mlecznej wynosi 100 tys. lat świetlnych, a grubość – tysiąc lat świetlnych. Wyróżnia się cztery główne ramiona naszej galaktyki: Ramię Strzelca, Ramię Węgielnicy, Ramię Perseusza, Ramię Krzyża, a także kilka mniejszych ramion.

Księżyc jest naturalnym satelitą Ziemi, którego obieg wokół naszej planety wynosi około 27,3 doby. Tor ruchu Księżyca jest bardzo zbliżony do elipsy. Powierzchnia Księżyca pokryta jest warstwą rozdrobnionej skały. To rozdrobnienie jest efektem uderzeń meteorytów, opadania mikrometeorytów oraz kruszenia się skał w wyniku zmian temperatury. Obserwowany kształt tarczy Księżyca zależy od wzajemnego położenia Słońca, Ziemi i Księżyca. Jego fazy: nów, pierwsza kwadra, pełnia, ostatnia kwadra są skutkiem ruchu obiegowego wokół Ziemi.

Potocznie mianem opozycji pewnego ciała niebieskiego określa się takie jego położenie,

kiedy znajduje się po przeciwnej stronie Ziemi niż Słońce. Możliwa jest opozycja Księżyca (jest wtedy w pełni) oraz planet górnych: Marsa, Jowisza, Saturna, Urana i Neptuna, gdyż tylko dla nich Ziemia może znaleźć się pomiędzy Słońcem a planetą. W opozycji planety widać najlepiej.

Z kolei koniunkcja to zjawisko, gdy dwie lub więcej planet (albo innych obiektów) znajdzie się pozornie bardzo blisko siebie na niebie. Może to też oznaczać, że planeta jest po drugiej stronie Słońca niż Ziemia i jej nie widać. Elongacja natomiast występuje wtedy, gdy planeta (Merkury, Wenus) jest najbardziej oddalona od Słońca.

Astronomowie wprowadzili odpowiednie jednostki odległości, aby łatwiej je wyrażać. Należą do nich: jednostka astronomiczna, rok świetlny i parsek. 1 jednostka astronomiczna to średnia odległość między Ziemią a Słońcem (ok. 150 mln km), co odpowiada ponad 8 minutom świetlnym. Jest to równoznaczne z tym, że obserwując Słońce, widzimy jego stan sprzed ponad 8 minut. Najjaśniejsza gwiazda, którą możemy zaobserwować – Syriusz, znajduje się w odległości 8,8 roku świetlnego, czyli jego obecny stan można będzie dostrzec dopiero za niecałe 9 lat. Średnica naszej Galaktyki wynosi około 100 tys. lat świetlnych.

Gwiazdy i inne ciała niebieskie różnią się od siebie jasnością. Jednostką wielkości gwiazdowej jest magnitudo. Najjaśniejszą gwiazdą na niebie jest Syriusz, który znajduje się w gwiazdozbiorze Wielkiego Psa. Druga pod względem jasności gwiazda to Kanopus, niestety z Polski jest niewidoczna. Następnie Alfa Centauri (w gwiazdozbiorze Centaura), Arktur (gwiazdozbiór Wolarza). Wega (w gwiazdozbiorze Lutni) jest piątą co do jasności gwiazdą nocnego nieba.

Takie i inne jeszcze astronomiczne wiadomości i opowieści przekazywał nam Wiesław Krajewski na spotkaniu z cyklu „Z Nestorem do gwiazd".

Elżbieta Patyk
dyrektor Powiatowej Biblioteki Publicznej
w Krasnymstawie

Elżbieta Patyk

Spotkanie z Michałem Rzeźnikiem

17 października 2023 r. w Bibliotece Powiatowej odbyło się spotkanie z Michałem Rzeźnikiem, autorem książki „Piotr Rzeźnik – zdrajca z Izbicy". Autor jest rodzinnie związany z Izbicą. W dzieciństwie spędzał u dziadków w Izbicy wakacje, ferie i święta, tam urodził się jego ojciec, który ukończył I LO im. Władysława Jagiełły w Krasnymstawie. W czasie rozmowy autor mówił, że o swoim stryjecznym dziadku dowiedział się przypadkiem. W 2021 r. w książce Rafała Hetmana „Izbica, Izbica" przeczytał o zdrajcy i zbrodniarzu Piotrze Rzeźniku: „To ta książka stała się przyczyną rewolucji w moim życiu, motorem do odkrywania przeszłości mojej rodziny i do wyciągnięcia tej haniebnej historii na światło dzienne. To dzięki tej publikacji udało się przezwyciężyć zmowę milczenia i po strzępku, po okruszku poskładać w całość historię".

Michał Rzeźnik (fot. Joanna Radziszewska).

Dzięki informacjom uzyskanym od rodziny dowiedział się, że Piotr został skazany na śmierć za współpracę z Niemcami. Odkrył, że brat dziadka był zdrajcą, mordercą, szmalcownikiem i kolaborantem. W latach czterdziestych doprowadził do likwidacji komórki ruchu oporu w powiecie krasnostawskim, współpracował z Gestapo, brał udział w Holocauście. Ponadto ustalił, że dziadek miał jeszcze siostrę i brata, o których w rodzinie nie mówiono. Po przedstawieniu aktu urodzenia, otrzymał z IPN akta dotyczące Piotra Rzeźnika i powoli zaczął odkrywać historię swojej rodziny. Również

w książce niemieckiego profesora Steffena *Hänschena* odnalazł „dokonania" wujka Piotra w zakresie jego współudziału w zbrodniach Holocaustu. Początkowo nie planował napisania książki, ale wertując archiwalia, dokumenty robił notatki i zaczął powstawać z tego tekst. Chciał zachować odkrytą historię swojej rodziny w formie papierowej. Autor mówił, że w trakcie zbierania materiałów trudne było czytanie ręcznie pisanych dokumentów, analizowanie zeznań świadków, poskładanie tej historii w jedną całość oraz pilnowanie faktografii, żeby nie popełnić błędów. Bardzo się bał, że dziadek też mordował, na szczęście nic takiego nie odkrył.

Ciekawa i przyjazna dla czytelnika jest forma książki, która składa się z 6 rozdziałów („Odkrycie", „Strzępy pamięci", „Zbrodnie i zdrada", „Ostatnie dni", „Sprawiedliwi", „Dlaczego?"), w każdym rozdziale znajdują się tematyczne podrozdziały. W rozdziale „Strzępy pamięci" ustalone fakty są połączone ze wspomnieniami autora z dzieciństwa. W rozdziale „Zbrodnie i zdrada" autor wymienia ofiary Piotra Rzeźnika. Są to: Tadeusz i Jan Nizioł, Edmund Piątkowski, Jan Steindl i Wojciech Rogowski, Stefan Glapa, Władysław Kostrzewa, Kazimierz Malczewski, Edward Stafijowski, Jan Śliwa, Jan i Tadeusz Berdeccy, Adolf Błażejewicz, Teodor Kosiarski. Opisuje udział Piotra Rzeźnika w łapankach, w masowych mordach, jego współpracę i kolaborację z Niemcami. W książce autor zadaje pytanie „Co wyzwoliło w Piotrze Rzeźniku potrzebę niszczenia i mordowania ludzi?". Próbuje stworzyć profil psychologiczny, szuka odpowiedzi na pytanie „Jak do tego doszło?". Opisuje też innych członków rodziny i zadaje pytanie „Dlaczego moja rodzina kolaborowała?". W rozdziale „Ostatnie dni" przeczytamy, jak przebiegało aresztowanie, śledztwo i proces, kto zeznawał.

W akcie oskarżenia Piotrowi Rzeźnikowi postawiono cztery zarzuty. Pierwszy dotyczył tego, że na terenie Izbicy i Tarnogóry jako konfident niemiecki działał na rzecz państwa niemieckiego oraz na szkodę osób przynależących do organizacji konspiracyjnych, co doprowadziło do ich aresztowania. Drugi zarzut dotyczył brania udziału w łapankach ludności polskiej, w wyniku czego złapani byli wywożeni na roboty do Rzeszy Niemieckiej. Zarzut trzeci dotyczył prześladowania miejscowej ludności ze względów narodowościowych, a konkretnie zarzucono mu doprowadzenie do śmierci kobiety, którą oskarżył o bycie Żydówką. Zarzut czwarty dotyczył działania na szkodę ludności polskiej poprzez branie udziału w rewizji w pociągu oraz bicie osób trudniących się handlem. Ponadto zarzucono mu zabieranie ludności żydowskiej różnych rzeczy ruchomych. Sąd skazał go na karę śmierci. Wyrok wykonano na Zamku Lubelskim, w aktach osobowych po egzekucji urzędnik zanotował „Ubył. 3 kwietnia 1948 roku".

W rozdziale „Sprawiedliwi" autor pisze o sprawiedliwych z Izbicy i okolic, ludziach niewiarygodnie dzielnych, osobach, które swoją postawą w czasie okupacji dały wyraz człowieczeństwu i były nieobojętne wobec zła: Helena Żurawicka, Staszek i Mietek Maślona, Kazimierz Babiarz, Halina Błaszczyk, Janina Kić, Anna i Leopold Plato, Franciszek, Katarzyna i Marian Piłatowie, Jan i Alfred Bołotnow, rodzina Dzików, Aleksander i Janina Psujek.

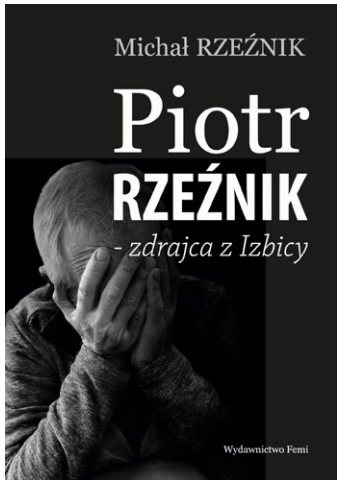

Michał Rzeźnik „Piotr Rzeźnik: zdrajca z Izbicy", wyd. Femi, 2023, ss. 259.

W książce umieszczono indeks osób oraz bibliografię. Na końcu książki autor napisał „Pracę niniejszą składam na ręce moich dzieci, Mateusza i Marii, oraz całego ich pokolenia. Chcę, żeby pamiętali, do czego prowadzi ksenofobia i nienawiść. Życzę im życia w miłości, szacunku i akceptacji każdego człowieka". W czasie spotkania był czas na zadawanie pytać, rozmowę z autorem, a zainteresowani otrzymali dedykację autora. Zapraszamy do lektury!

Elżbieta Patyk

Tomasz Sienicki

Mikołaja Sienickiego sąsiedztwo

Zbliżają się święta Bożego Narodzenia, czas na prezenty. Miejska Biblioteka Publiczna przygotowała Krasnostawski Słownik Biograficzny z biogramem Mikołaja Sienickiego, a Gmina Kraśniczyn wydała przewodnik po swoim terenie, którego narratorem jest Mikołaj Sienicki. Przy ulicy Mikołaja Sienickiego stanęła tablica z portretem i życiorysem naszego bohatera. Wypada mi więc jako krewniakowi dołączyć swój skromny prezent dla Czytelników. Obrazek wygląda niemal jak bombki zawieszone bezładnie na świątecznej choince, ale są to medale ze srebrzonego tombaku ułożone w sposób przemyślany. Tworzą jak gdyby mapę, z kierunkiem północnym u góry. Ilustrują wyjątkowość Krasnegostawu i jego okolic. Zwiedzimy je, nie zapominając o tropach Mikołaja Sienickiego, bo on jest nadal głównym bohaterem moich felietonów.

Na centralnym medalu widać nieistniejący dziś zamek, zbudowany na polecenie króla Kazimierza Wielkiego. Wraz z herbem symbolizuje **Krasnystaw**, bo niegdyś stanowił przecież ozdobę miasta. Dziś jego wspomnieniem jest ulica Zamkowa. Z pewnością na zamku bywał Mikołaj Sienicki.

Medale rozsypane wokół oznaczają okoliczne miejscowości. Proponuję rozpocząć wycieczkę od południowego wschodu, czyli od dolnego prawego rogu. Leży tam miasto **Zamość**, stąd na medalu Jan Zamoyski, założyciel miasta. Postać znana powszechnie – polityk i wódz, kanclerz, hetman, ale także czasowo starosta... krasnostawski! Był przyjacielem i współpracownikiem Mikołaja Sienickiego.

Nieco wyżej, na południe od Krasnegostawu leży **Tarnogóra**, założona przez Jana Tarnowskiego. Widzimy portret hetmana i pamiętamy o tym, że starostą tarnogórskim był Mikołaj Sienicki.

Jeszcze wyżej, na południowy zachód od Krasnegostawu jest **Żółkiewka**, dlatego na medalu portret hetmana Stanisława Żółkiewskiego. Pod jego rozkazami służyli w licznych potrzebach krewniacy Mikołaja Sienickiego, zdarzyło się też małżeństwo przedstawicieli tych dwóch rodów. Postać hetmana znają wszyscy, dzięki czemu doczekał się pierwszego swojego polskiego pomnika w Żółkiewce. Mikołaj jeszcze takowego nie ma, ale powinien mieć. Czy właściwym miejscem dla monumentu i memorandum byłby krasnostawski rynek? To sprawa do namysłu.

Tymczasem podążajmy na północ, do wsi **Pilaszkowice**, która była siedzibą rodu Sobieskich, starostów krasnostawskich, przez wiele pokoleń. Na medalu król Jan III Sobieski, ale wyobraźmy sobie, że to jego pradziad Jan, współczesny Mikołajowi Sienickiemu. Tenże Jan, rotmistrz jazdy, wielokrotnie walczył z Tatarami, ścigając ich aż do Morza Czarnego.

Opodal, dokładnie na północ od Krasnegostawu leży **Rejowiec**, reprezentowany przez medal z portretem Mikołaja Reya, słynnego renesansowego poety, założyciela miasta. W swoim dziele pod tytułem „Zwierzyniec" twórca poświęcił jeden z epigramów Mikołajowi Sienickiemu. Opisał go nie tylko jako obywatela zasłużonego Rzeczypospolitej, ale także jako... sąsiada. Po prawej, na wschód od Krasnegostawu jest wieś **Siennica Różana**, gdzie Reyowie i Sieniccy posiadali grunty. Tam urodził się Mikołaj i tam umieszczam medal z obliczem mego bohatera.

Reprezentuje on jeszcze kilka miejscowości położonych w pobliżu. **Siennica Nadolna** jest najbliżej Krasnegostawu, dalej **Kraśniczyn** będący niegdyś prywatnym miastem Sienickich, jeszcze dalej **Bończa**, gdzie Mikołaja pochowano w ufundowanym przez niego budynku zboru kalwińskiego. Dziś to kościół katolicki, a w nim zachowało się okazałe epitafium naszego bohatera.

Medal w prawym górnym rogu symbolizuje miasto **Chełm**. Jest ważne dla naszej gawędy, bo tam odbywały się sejmiki i wybory posłów na sejm Rzeczypospolitej. Tam właśnie Mikołaj Sienicki, podkomorzy chełmski, uzyskiwał mandat posła ziemi chełmskiej, dzięki czemu mógł wielokroć pełnić zaszczytną funkcję marszałka izby poselskiej. Dlatego na medalu widzimy laskę marszałkowską.

Wszyscy wymienieni tu szacowni obywatele żyli współcześnie z Mikołajem Sienickim, z pewnością znali go i spotykali się z nim nie tylko na krasnostawskim rynku czy w zamku, ale także na sejmach, sejmikach i naradach. Wszyscy oni byli mocno związani z Krasnymstawem. Niewiele jest miejsc, gdzie tak wyraźnie krzyżowałyby się losy kilku żyjących w sąsiedztwie znamienitych rodów. Możemy być dumni z naszego miasta!

Tomasz Sienicki

Krasnystaw i okolice w oczach Mikołaja Sienickiego

Rejowiec
Ród Reyów

Pilaszkowice
Ród Sobieskich

Chełm
Miejsce sejmików

Siennica Nadolna,
Siennica Różana,
Kraśniczyn, Bończa
Ród Sienickich

Żółkiewka
Ród Żółkiewskich

Tarnogóra
Ród Tarnowskich

Zamość
Ród Zamoyskich

Andrzej David Misiura

Czas na Krasnystaw, czyli leksykon niezwyczajnych

Opracowania encyklopedyczne należą do wydawniczych pewniaków. Uporządkowana w nich wiedza z natury wywołuje przekonanie, że z tego rodzaju źródeł można czerpać w ciemno. Niewątpliwie do takich dzieł należy „Krasnostawski słownik biograficzny", wydany wzorem wielu polskich miast. Benedyktyńskiego przedsięwzięcia podjęli się Artur Borzęcki i Sławomir Franc. Jak można przeczytać we wstępie do publikacji, powołali 36-osobowy zespół autorów składający się głównie z regionalistów oraz ludzi pióra, i dokonali redakcji wypracowanych materiałów. Książka jednak opuściła drukarnię z prawie rocznym opóźnieniem, głównie z powodu braku funduszy. W efekcie uroczysta promocja nastąpiła 19 października 2023 roku. Wobec setek nazwisk godnych upamiętnienia, to opracowanie z założenia stało się pierwszym tomem słownika. Składa się ze 147 biogramów. Wśród postaci, które w sposób szczególny wpisały się w dzieje dawnego powiatu krasnostawskiego, przypomniano, jak łatwo się domyślić, przedstawiciele najróżniejszych profesji i stanów. Nie brakuje też osób związanych z tą ziemią w sposób epizodyczny, które wywarły jednak znaczący wpływ na dzieje regionu lub zwyczajnie go uszlachetniły.

„Krasnostawski słownik biograficzny", tom 1, redakcja A. Borzęcki i S. Franc, wyd. Miejska Biblioteka Publiczna i Towarzystwo Historyczne im. Antoniego Patka w Krasnymstawie, Krasnystaw 2023, ss. 358.

Słownik wydany został pod auspicjami Towarzystwa Historycznego im. Antoniego Patka w Krasnymstawie, o czym wspominają w przedmowie jego liderzy Lech Dziedzic i Andrzej Gołąb. W sfinansowaniu publikacji wykorzystano też środki unijne (LGD Krasnystaw Plus). Numeru ISBN użyczyła Miejska Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie, stając się tym samym wydawcą z urzędu.

Andrzej David Misiura

Wiesław Krajewski

„Mały Królewic"

Pozycja „Mały Książę", którą wszyscy doskonale znamy, nie wymaga ani recenzji, ani rekomendacji. To klasyka światowej literatury, przetłumaczona na wiele języków, wydana w ponad 140 milionach egzemplarzy. Ma charakter filozoficzny, ponadczasowy i podadpokoleniowy. Wydaje się, że to baśniowa opowieść przeznaczona dla dzieci, ale im starsze te „dzieci", tym więcej znajdują w niej treści. Bo tak naprawdę, dzieło Antoine'a de Saint-Exupéry'ego, to książka dla dorosłych.

Polskie tłumaczenie i wydanie, już w roku 1947, było jednym z pierwszych na świecie. Potem pojawiły się kolejne przekłady (ponad 20 autorów) i wydania (grubo ponad 100), w tym także na kasetach magnetofonowych i później płytach CD. To nie jest zaskakujące. Ciekawy jest natomiast w ostatnich latach zwyczaj tłumaczenia dzieła na języki lokalne, gwary i dialekty. Mamy więc przekłady na język łemkowski (cyrylicą „Малий Прінц тіж є Лемко!"), pruski („Lîkuts Princis") [to wymarły język bałtyckich Prusów, rozumie go chyba kilkanaście osób w Polsce], po poznańsku („Książę Szaranek"), *na úlônsko mowa* („Mały Princ"), po mazursku („Mały Princ"), kaszubsku („Môłi princ"), po wilamowsku („Der Kliny Fjyśt") [używanym w miasteczku Wilamowice koło Bielska-Białej], kurpiowsku („Mały Kśęć"), a także, choć to ukazało się już nie w Polsce, w warszawskiej odmianie języka jidysz („Da klayna prints"). Niedawno dołączyła do

nich wersja w gwarze Podhala. Taką właśnie kupiłem sobie, przebywając w Zakopanem. Przepłaciłem nieco, bo pod starannie przyklejoną etykietką z napisem „50, – ” zobaczyłem wydruk „Cena 29 zł”, ale nie żałuję. Górale lubią dutki, a ja „Małego Królewica”.

Przekładu dokonała Stanisława Trebunia-Staszel, dla której gwara góralska była pierwszym, naturalnym językiem. Wcześniej współpracowała ona z księdzem profesorem Józefem Tischnerem. Rekomendacji więc nie trzeba. Do książki dołączony jest słownik gwary podhalańskiej oraz płyta CD z wersją czytaną przez samą tłumaczkę. Coś wspaniałego! Chciałoby się zacytować choć fragment. Może zatem najbardziej znane zdania:

– A to jes mój sekret. Jes barz prosty: Nicym nie widzi sie tak dobrze jako sercem. Nowoźniejse jes to, cego ocý nie widzom.

– Nowoźniejse jes to, cego ocý nie widzom – powtórzył Mały Królewic, coby dokumentnie zapamientać.

Czyta się to wyśmienicie i rozumie jeszcze więcej, bo „Mały Książę” spod Tater wydaje się być książką bardziej mądrą, bo gdzie, jak nie tam są jeszcze prawdziwe owiecki?

Wiesław Krajewski

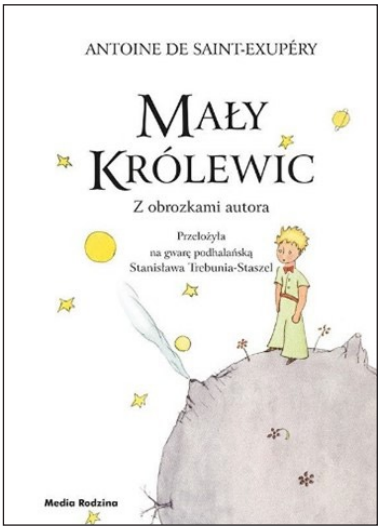

Antoine de Saint-Exupéry, „Mały Królewic” Z obrozkami autora, przełożyła na gwarę podhalańską Stanisława Trebunia-Staszel, Media Rodzina 2020, ss. 128.

Wojciech Bieluń (Targosz)

Z tomu „Zmaganie”

1

Jak każdy, mam historię, którą chcę przemyśleć, przewidzieć skutki jej osądu. Sięgam w pamięć całego doświadczenia, bo w nim, w każdym ziarenku prawdy, w każdej galaktyce rozgrywa się ten sam chaos, walka o nowo narodzony punkt, który jest wyjściem na coś oczekiwanego, sprzyjającej przestrzeni ładu i porządku, mającej ewentualności. Za oknem życie wygląda inaczej, tutaj początek łączy się z końcem.

2

Prowokują mnie bałamutne pomysły, punkty widzenia i słabe ich argumenty, ujęcia powiększane o kolejne szczegóły, powstające bez końca. Siłuję się z systemem, jego bajędami, dostrzegam w refleksach i załamaniach finezję niedomówień, niespójne przestrzenie, życie na jałowym biegu. Wypchnięty w prześwit bezczynu świadomy jestem jednego, Ludzie myślą, co chcą, nie ma znaczenia, co napiszę.

3

Nie do końca rozumiem lękliwość myśli, która otwiera przestrzeń rzeczy wielkich. Jest zaledwie pierwszym krokiem. Samo dotrwanie do momentu wyprania słów ze znaczeń, zajęło mi długo. Fantazjowałem, jak oderwać się od domu, dostosować do świata, który wykraczał poza to, jak mnie wychowano. Dzisiaj jestem ukształtowany, nie tworzę iluzji dojrzałości. Nie biegam już w ciemno. Przez 95 procent życia zachowywałem się przyzwoicie. Mam wykształconą gotowość do zmian, umiejętność snucia przyszłości.

4

Od momentu ziemskiego debiutu, wiem o zakorzenionej we mnie ewolucji. Nie nadaję górnolotnych sensów mojej wiedzy, wmyślam się w głębię. Wykształciłem już poczucie, moralność, system wartościowania. Posługuję się mową i myślą, nawet tworzę, a jednak doznaję uczucia

głębokiej odrębności, jakbym był w kontraście do innych. Szukam podłoża, momentu ujawnienia nieoficjalnych przekonań. Mówienia co wokół, otwierania na własne racje obecności.

5

Dopada mnie codzienność, agresywna i żenująca naiwnością wyborów. Nie odkrywam ani na chwilę swojej wiary, w kierunku wędrówki. Nie dzielę się z nikim punktami widzenia, brakuje mi rozwiązań opartych na logicznym rozumowaniu, właściwego środka ciężkości.

A może nadać sporom inną wartość, bo życie nigdy nie jest idealne? Ma swój rytuał zanurzenia… Ta nieskończona myśl, to właśnie ja.

6

Moja racjonalna wiedza o wszystkim podpowiadała, to co kiedyś wydawało się absurdem. Na bieżąco jest czymś powszechnym, wczorajsza iluzja, dzisiejsza rzeczywistość, a odwrócony system nową narracją, światem-fałszem, odwetem za prawdę.

Wszystko sprawia wrażenie gry umysłu, manipulacji. Nasze odruchy dodają temu tylko większej wiarygodności.

7

Zawsze poruszała mnie myśl, że osiągając wyższy poziom wiedzy w kategorii dobra i zła, wychwycę zrozumienie kłamstwa. Ale jak zawsze sedno tkwi w zawikłaniu. Kłamią wszyscy, ale mało kto kłamie tak, że mu się wierzy. Kłamstwo jest mistyfikacją, grą, w której liczy się tylko życie każdym dniem w spokoju i niegodzenie się na nic więcej – maestria kontemplacji. Myśli pojawiają się, kiedy są konieczne i przemijają, a podział ja – świat zewnętrzny, wydaje się iluzją.

8

W moich czarno-białych podziałach brakuje mi najbardziej aplauzu i zapachu opium. Stawiam wyzwania i przegrywam. Obarczam winą wszystkich wokół. Szukam innego Boga, który byłby przeciwieństwem obecnego. Takiego, co nie będzie mnie obwiniał ani odbierał prawa wyboru. Boga stojącego za mną, nawet kiedy cofnę się do początku powstawania myśli. Mam jednak wrażenie, to, co realne i to, co wyobrażone mieszają się w pamięci, jak koktajl, w którym nie da się odróżnić poszczególnych składników.

9

Rozpatruję myśli, na bieżąco, każdą z osobna. Odkrywam przypadkowo coś bardzo ważnego i zaskakującego. Więź z drugą osobą nie może dominować nad relacjami z samym sobą. Wykluczać sytuacje przeczuwające przyszłe wydarzenia, nie tyle odległe, ale te w kolejnych momentach. Poddawać w wątpliwość tworzenie nowej optyki, wychodzącej poza aktualne horyzonty.

Jeśli mam to cofnąć, muszę znaleźć wszystkie schematy, wiedzieć, kim jestem, odszukać ciche przystanie. One nie są na zewnątrz, są we mnie…

10

Nie przenikam tajemnicy subtelnego uczucia ani tym bardziej czarnej melancholii. Rzecz w tym, że nie chcę, nie rzuca mnie to na kolana, a mówiąc prościej, od pomysłu odciąga utrata niezależności. Jestem trwale na zewnątrz. Mam przekonanie, że każde słowo ma znaczenie, nawet kiedy używam nieszablonowej etykiety, by je opisać. Użycie tak zwanych ogólników utrudnia wejście w rzeczywistość, w której wolność przyznaje się innym z trudem. Może to kwestia wyboru niewłaściwych określeń albo zakłamywania całego doświadczenia.

Wojciech Bieluń (Targosz)

Wojciech Bieluń Targosz - rocznik 1947, zodiakalny skorpion. W 1954 roku osiedlił się z rodzicami w Łodzi. Przerwane studia na Uniwersytecie Łódzkim, zakończyły edukację. Jeszcze w liceum oddał się pasji sportu, gdzie spotkał przyszłego mentora, Jacka Berezina. Powstały wówczas pierwsze wiersze. Debiut poetycki i prozą nastąpił w kwartalniku „W Uniejowie’’. Później publikacje na stronach grup poetyckich: „Okno na poezję”, „Uwolnij poezję”, „Poezja na Kazimierzu”, „Poezja Polska” oraz czasopismach „Akant”, „Wytrych”, „Ziarno” i „Nestor”. Jest autorem tomików poetyckich: „Okręty moje” (2018), „Świat jaki jest” (2019), „Generacja 47” (2020), „Wiersze z Bończy” (2021), „Parabole” (2022). Od 2022 roku zrzeszony w Związku Literatów Polskich w Łodzi.

Wywiad z sekserką

Antoni Guzik: – Dzień dobry. Pani Tereso, jest Pani sekserką. Umówiliśmy się na wywiad, ale zupełnie nie rozumiem, dlaczego na fermie drobiu? Czy na pewno nie pracuje Pani w jakimś innym lokalu?

Pani Teresa: – Nie wiem, jakie ma Pan skojarzenia, ale ferma drobiu jest najwłaściwszym miejscem mojej pracy.

A.G.: – Być może rzeczywiście myślałam o czym innym. W takim razie na czym polega praca sekserki?

P.T.: – Zajmuję się seksowaniem.

A.G.: – Czym!? Mówi Pani o tym tak bez ogródek, aż boję się zapytać na czym to polega.

P.T.: – Seksowaniem, czyli segregowaniem piskląt według płci.

A.G.: – Jak to? Przecież każdy potrafi odróżnić koguta od kury. Co w tym trudnego?

P.T.: – Koguta od kury tak, ale w przypadku świeżo wyklutych piskląt to wcale nie jest takie proste i wymaga pewnego doświadczenia. Przecież wszystkie kurczaczki wyglądają na pierwszy rzut oka tak samo. Są niemal identyczne. To bardzo trudna i odpowiedzialna praca.

A.G.: – Ale po co to jest potrzebne i to już na tak wczesnym etapie?

P.T.: – Oznaczanie płci już u jednodniowych piskląt ma bardzo duże znaczenie. Większą wartość użytkową posiadają samiczki, ponieważ właśnie one mogą stać się nioskami. Prawidłowe rozpoznawanie płci ma także znaczenie przy formowaniu stada. Hodowcy nastawiają się na posiadanie stada kurczaków na mięso lub zależy im bardziej na sprzedaży jajek. Chcą więc pisklęta określonej płci. To samo dotyczy też np. kaczek.

A.G.: – Czy jest jakaś szkoła, w której można się tego nauczyć?

P.T.: – Nie ma takich szkół. Do wykonywania tego zawodu potrzebna jest dobra znajomość anatomii i doświadczenie. A i tak nawet sprawna sekserka myli się w ok. 10 procentach przypadków.

A.G.: – Czy są jakieś metody pomocne w tej pracy?

P.T.: – Tak, są określone techniki i przyrządy do tego celu, ale najczęściej stosowana jest metoda wzrokowa.

A.G.: – Ale jak Pani to robi? Gdzie Pani patrzy, żeby odróżnić płeć kurcząt?

P.T.: – Tam, gdzie to najlepiej widać.

A.G.: – Czyli gdzie konkretnie?

P.T.: – W wylęgarni...

Wywiad z kiperem

Antoni Guzik: – Dzień dobry, Panie Adamie, jest Pan kiperem. Lubi Pan swój zawód?

Pan Adam: – Zawód jak zawód, jest trudny i odpowiedzialny.

A.G.: – Ale chyba i przyjemny?

P.A.: – Ja nie wykonuję go dla przyjemności, biorę za to pieniądze, chociaż przyznaję, dobrą stroną jest to, że w pracy mam do czynienia z różnymi, bardzo wykwintnymi trunkami.

A.G.: – Pije Pan w pracy, czy to jest zgodne z przepisami? Do ilu kieliszków jest Pan w stanie „trzeźwo" pracować?

P.A.: – Ja nie piję w pracy. To nieporozumienie.

A.G.: – Jak to? A co Pan robi?

P.A.: – Ja degustuję alkohole. Dlatego nazwę mojego zawodu można by określić bardziej trafnie jako degustator.

A.G.: – Czy to jest jakaś różnica?

P.A.: – Zasadnicza. Moja praca wcale nie wiąże się z piciem.

A.G.: – Proszę wobec tego powiedzieć na czym ona polega?

P.A.: – Mam za zadanie określić jakość alkoholu. Podejmuję się tzw. organoleptycznej oceny napojów alkoholowych. Najpierw zwracam uwagę na wygląd trunku w butelce, potem po nalaniu do odpowiedniego kieliszka. Oceniam barwę, klarowność, zapach, zawartość ewentualnych osadów. To tak jak z filmem. Można obejrzeć film, zwracając uwagę jedynie na jego treść, a można analizować jego poszczególne elementy – scenariusz, grę aktorów, muzykę, scenografię, efekty specjalne itp. Dopiero po tym etapie pobieram niewielką próbkę napoju do ust i badam jego tzw. bukiet smakowy.

A.G.: – A więc jednak Pan pije?

P.A.: – Nic podobnego. Co innego picie, a co innego degustacja. Rozprowadzam alkohol po całej jamie ustnej, tak by dotarł do wszystkich kubków smakowych i wyczucie było lepsze, a po takiej degustacji wypluwam resztki napoju.

A.G.: – Czy to wymaga jakichś predyspozycji?

P.A.: – Zdecydowanie tak. Kiper powinien wykazywać się szczególną wrażliwością smakowo-węchową, bezbłędnie rozróżniać podstawowe smaki, mieć wyczulony zmysł węchu oraz posiadać odpowiednią wiedzę, np. o technologii produkcji, jakości surowców. Wyczucie różnych nut smakowych i zapachowych nie jest łatwe. Tak samo trudne jest określenie, które wino należy spożywać do poszczególnych potraw i w jakiej temperaturze jest najlepsze. Do pełnej oceny niezbędna jest też wiedza o poszczególnych szczepach winorośli, rejonach ich uprawy, rodzajach drożdży, metodach produkcji. Tak by można było coś poprawić, ulepszyć, zmodyfikować.

A.G.: – Czy w tym zawodzie są jakieś specjalizacje?

P.A.: – Tak. Na przykład sommelier specjalizuje się w serwowaniu win w restauracji, cervesario jest ekspertem od piwa, są też specjaliści od win musujących, wódek, whisky, koniaków. Dodać trzeba, że większość ludzi kojarzy nasz zawód tylko z alkoholem. Tymczasem przedmiotem degustacji może być też np. kawa, herbata lub różne potrawy.

A.G.: – A czy poza pracą, prywatnie lubi Pan wypić?

P.A.: – Nie. Jestem abstynentem.

Wywiad z pielęgniarzem alpinistą

Antoni Guzik: – Panie Robercie, umówiłem się z Panem na przeprowadzenie wywiadu, ponieważ zaciekawił mnie Pana zawód – pielęgniarz alpinista. Sądziłem, że spotkam Pana w szpitalu, gdzieś w wysokogórskiej miejscowości. Tymczasem spotykamy się w lesie i to na nizinach. Coś mi tu nie pasuje. Czy jest Pan pielęgniarzem?

Pan Robert: – Tak, bo moja praca polega na pielęgnacji.

A.G.: – Ale chyba alpinistą to Pan jednak nie jest?

P.R.: – Jestem. Ukończyłem kurs alpinistyczny.

A.G.: – Nadal nic nie rozumiem. Proszę mi to wyjaśnić. Co to za zawód?

P.R.: – Pielęgniarz alpinista zajmuje się pielęgnacją drzew, pracując na dużych wysokościach. Zakres jego obowiązków obejmuje przycinanie gałęzi w koronach drzew, formowanie konarów, opiekę nad chorymi drzewami i zabezpieczanie ich przed szkodnikami.

A.G.: – Teraz rozumiem. Czy każdy może wykonywać ten zawód?

P.R.: – Nie. Tutaj nie wystarczy kochać przyrodę i być ekologiem. Niezbędna jest także siła fizyczna i sprawność ruchowa. Jest to ciężka i niebezpieczna praca. Trzeba umieć sobie radzić w trudnych sytuacjach, konieczny jest też brak lęku wysokości i otwartych przestrzeni. Ponadto pielęgniarza alpinistę powinny cechować odpowiedzialność, opanowanie i odporność na stres.

A.G.: – To całkiem spore wymagania i ograniczenia. Jak im sprostać?

P.R.: – By pracować w takich warunkach, konieczne jest przeszkolenie i zdobycie odpowiednich uprawnień, np. kurs wysokościowy (alpinistyczny), także dobry stan zdrowia. W pracy posługujemy się takim samym sprzętem, jak adepci wspinaczki wysokogórskiej. Ponadto pielęgniarz alpinista musi mieć wykształcenie zdobyte na studiach związanych z ochroną przyrody, leśnictwem czy botaniką. Musi wiedzieć, które gałęzie należy przyciąć i w jaki sposób, by nie wyrządzić szkody, a które zostawić.

A.G.: – Czy praca w tym zawodzie jest aż tak trudna?

P.R.: – Nie należy do łatwych. Trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że pielęgniarz alpinista musi najpierw wspiąć się z ciężkim sprzętem na dużą wysokość, utrzymać się na niej, a ponadto sprawnie obsługiwać np. piłę łańcuchową. Trudność może się jeszcze zwiększyć, gdy konieczna jest praca w niedostępnych lub nietypowych miejscach, jak np. linie energetyczne, trasy szybkiego ruchu, gęsto zabudowany teren.

A.G.: – Czy dużo jest pracy w ty zawodzie?

P.R.: – Oj, dużo. Coraz więcej drzew wymaga naszej pomocy. Wycinanie suchych, chorych fragmentów drzewa to nasza codzienność, ale mamy także często inne zlecenia, np. wycięcie drzew na cmentarzu, tak by nie zniszczyć nagrobków.

A.G.: – A jak wyglądają Pana zarobki? Da się z tego wyżyć?

P.R.: – Wie Pan, pielęgniarzy alpinistów jest mało, zleceń nie brakuje, nikt inny nas w tej pracy nie zastąpi, stąd i nasze usługi są w cenie.

A.G.: – A jak Pan lubi się odstresować po pracy?

P.R.: – Lubię odpoczywać, pielęgnując bonsai.

Wywiad z groomerem

Antoni Guzik: – Dzień dobry. Panie Włodzimierzu, jest Pan groomerem. Przyznam, że nic mi nie mówi nazwa Pana zawodu. Z niczym mi się nie kojarzy. Ma chyba niepolskie pochodzenie?

Pan Włodzimierz: – Rzeczywiście, słowo „groom" w języku angielskim oznacza „pielęgnować". Sam zawód jest jeszcze mało popularny w Polsce, ale za granicą już tak nie jest.

A.G.: – A więc jest Pan pielęgniarzem? Na czym więc polega Pana praca?

P.W.: – Niezupełnie, przynajmniej w trochę innym sensie. W skrócie można powiedzieć, że groomer to... psi fryzjer.

A.G.: – A nie w skrócie? Proszę określić dokładniej.

P.W.: – Grooming zawiera w sobie wiele innych zadań. Jak wskazuje nazwa, jestem nie tylko fryzjerem, ale pielęgniarzem przede wszystkim psów, a także kotów. To nie tylko zwykłe czesanie i podcinanie sierści, chociaż rozczesywanie sierści zwierząt długowłosych może być wyzwaniem. To też trymowanie, czyli podcinanie martwej sierści u zwierząt szorstkowłosych. A także modelowanie fryzury zwierzęcia, perfumowanie i inne tego typu zabiegi upiększające.

A.G.: – To już chyba snobizm ich właścicieli?

P.W.: – Wcale nie, Mycie, ścinanie i rozczesywanie sierści u wielu ras pomaga uniknąć problemów ze skórą, np. występowania stanów zapalnych i grzybicy. Profesjonalny groomer usuwa również wszy, pchły i inne insekty u zainfekowanego zwierzęcia.

A.G.: – Czym jeszcze zajmuje się groomer?

P.W.: – Takimi zabiegami jak kąpiel z użyciem profesjonalnych kosmetyków przeznaczonych specjalnie dla zwierząt, obcinanie pazurków, czyszczenie uszu, nosa, pielęgnacja oczu czy mycie zębów. Nos, oczy, uszy to bardzo wrażliwe miejsca. Zanieczyszczenia, kurz, sierść mogą spowodować nawet poważne problemy zdrowotne zwierzęcia. Niektóre kosmetyki mają składniki lecznicze, nawilżające, natłuszczające, regenerujące. W ten sposób minimalizuje się ryzyko powstania różnorodnych infekcji.

A.G.: – Czy to nie przesada? Czy takich czynności nie mogą robić sami właściciele psów?

P.W.: – Opiekuję się przede wszystkim psami i kotami rasowymi, które biorą udział w prestiżowych pokazach, wystawach, konkursach, także za granicą. Tam bardzo liczy się zdrowe i zadbane zwierzę o nienagannym wyglądzie. One potrzebują wykwalifikowanej opieki. Wśród kosmetyków dla zwierząt są specjalistyczne szampony, odżywki, pudry, perfumy, preparaty nadające objętości, nabłyszczające, do usuwania przebarwień. Taka opieka to dziś konieczność. Bez tego trudno o medale na wystawach.

A.G.: – Czy oprócz psów i kotów, zajmuje się Pan jeszcze innymi, większymi zwierzętami?

P.W.: – Oczywiście. Przecież organizowane są wystawy zwierząt gospodarskich – krów, owiec, a także np. alpak czy lam. Te zwierzęta też muszą się tam odpowiednio prezentować. Osobne zagadnienie to konie. Widzimy nieraz w telewizji, jak wyglądają konie przygotowane na aukcje. Jakby dopiero co wyszły z salonu piękności. Tam już chodzi o wielkie pieniądze.

A.G.: – A tak prywatnie, czy ma Pan w domu jakiegoś czworonoga?

P.W.: – Bardzo lubię koty, ale nie mam. Niestety, jestem uczulony na sierść.

Jan Henryk Cichosz

Z cyklu: Moje lapidaria

Ten, który kochał ludzi i prowincję

Dwadzieścia pięć lat temu, latem 1998 roku z niezapowiedzianą wizytą, lecz jakże piękną, zapukał do moich drzwi na ul. Stokowej w Krasnymstawie Franciszek Piątkowski (1946-2016). Gadaliśmy wówczas najwięcej o poezji, człowieku i prowincji. I z tej naszej gadaniny Franio Piątkowski opublikował w „Dzienniku Wschodnim" tekst zatytułowany „Spotkany na ścieżce do ludzi i Boga".

Dlaczego teraz o tym piszę? Otóż dlatego, że szukając w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Krasnymstawie jakiejś książki dla siebie, jakimś dziwnym trafem natknąłem się na wydaną w roku 2019 w Lublinie książkę „Spacer Aleją Niepotrzebnych" pióra Franciszka Piątkowskiego. Zamieszczone w tej książce reportaże pochodzą z rodzinnego archiwum Jadwigi Piątkowskiej, która dokonała ich wyboru. To w tej książce na stronach 271-274 został zamieszczony wyżej wspomniany o mnie reportaż.

A jeśli już o Franciszku Piątkowskim, to należy także wspomnieć i o tym, że w dużej mierze przyczynił się do tego, aby na krasnostawskim rynku zagościł w spiżu chłopski poeta Stanisław Bojarczuk.

Jesiennie

Jeśli pamięć mnie nie myli, to wczesną jesienią 1972 roku napisałem wiersz o jesieni, który swój debiut miał w Programie I Polskiego Radia… i który do chwili obecnej nie był nigdzie drukowany.

Opustoszały Doskonale *już dzbany lata*
Wygasł skwar, ucichł brzęk pszczół
Zaskrzypiał stary wiatrak skrzydłem
Po niebie spłynął śpiewny klucz
Na polach deszcz rozmywa ślady
Ogniska gasną płynie sen
Zamazał się mój widok z okna
A łza na szybie goni łzę.

Więźniowie wiersze piszą

Od początku, tj. od roku 1994, jestem jurorem w Ogólnopolskim Konkursie Poezji Więziennej, którego głównym organizatorem jest Areszt Śledczy (dawniej Zakład Karny) w Krasnymstawie. Od kilku edycji konkurs nosi imię Artura Nowosada, który został zabity w zamachu terrorystycznym w Tunezji, podczas zwiedzania muzeum Bardo w Tunisie.

W tegorocznym konkursie, oprócz mnie, wiersze oceniali: Jadwiga Demczuk, Irena Kulik oraz Dariusz Chemperek z Instytutu Filologii Polskiej UMCS. W tym roku, z przyczyn obiektywnych nieobecny wśród jurorów był Aleksander Wójtowicz, także z Instytutu Filologii Polskiej UMCS. Nie ma co ukrywać, że dla oceniających jest to niewdzięczna praca, w całym tego słowa znaczeniu, a to ze względu na specyfikę tego konkursu, albowiem każdy z oceniających wiersze, a są ich setki, doskonale wie, że są wśród nich plagiaty i tak zwane podróbki.

60 lat temu

Doskonale pamiętam, że była to kolorowa i ciepła wiosna 1963 roku. To wówczas na zawsze żegnałem moją szkołę podstawową w Wielkopolu, której kierownikiem był nieodżałowany i zacny pan Andrzej Chmura – góral i oficer Wojska Polskiego, uczestnik drugiej wojny, o czym zawsze nam barwnie opowiadał. A pośród grona nauczycielskiego była też pani Aldona Mrozkowa, która na lekcjach wychowawczych czytała nam książki, które były, mówiąc delikatnie, źle widziane przez ówczesną władzę. Ostatnio przejeżdżałem obok tej szkoły w drodze od odwiedzin u mojego szkolnego kolegi Janka Błądkowskiego i zadumałem się nad nieuchronnym przemijaniem.

Andrzej Chmura

Podniebni rycerze

Przed kilkoma laty, bacznie obserwując podniebne wyczyny latających na paralotniach, napisałem o nich wiersz, który został zamieszczony na stronie internetowej Krasnostawskiego Stowarzyszenia Paralotniowego, a także zaśpiewany przez jednego z zamojskich bardów, a ostatnio nawet zamieszczony na odwrotnej stronie tzw. piersiówki z symbolem wspomnianego stowarzyszenia.

A oni w niebo by podglądać Boga
Nurzają się w obłokach białych jak Anioły
I są jak ważki, jak motyle, jak ptaki
Mając pod stopami całe morze ziemi

A oni fruną pod kopułą nieba
I tańczą odważnie w przestrzeniach niebieskich
Tak jakby to karuzele były
Lub zabawki dziecięce

I namaszczeni wiatrem i słońcem
Sfruwają na ziemię jak do gniazd ptaki
Dźwigając w swych oczach pejzaże niebieskie.

Moje wiersze

W wrześniowym numerze miesięcznika „Twórczość” (9/934) na stronach 58-61 zostało zamieszczony moich dziewięć wierszy. Oto jeden z tych wierszy zatytułowany „Stacja Przed Napisaniem Wiersza”:

Przed napisaniem wiersza
Patrzę na wszystko jak dziecko
O północy szukam słońca
Pukam do otwartych drzwi
Jestem natrętny
Jak wygłodniały pies
Patrzę poza czas

Przed napisaniem wiersza
Raz jeszcze próbuj
Spakować dzieciństwo
I zawsze coś mi wystaje
Z wielkiego jak Rosja kuferka
A to kawałek ogrodu
Z samotną ławeczką po dziadku
A to niepotrzebny już nikomu
Elementarz Falskiego
A to krótkie spodenki
A to staroświecki szkolny kaszkiet

Przed napisaniem wiersza
Uczę się wszystkiego od nowa

twórczość

Halina Birenbaum, Przemysław Dakowicz, Elżbieta Wojnarowska, Jan Henryk Cichosz – poezja
Tomasz Titkow, Samuel Tchorek-Bentall, Damian Drabik – proza
Bronisław Świderski – Jak Jacheta nauczyła się polskiego; Rafał Węgrzyniak – Coś z Racheli; Joanna Degler – Turystyka chasydki Sary Schenirer; Liliana Sonik – Cezarego Łazarewicza błąd metody
archiwum: Anna Ciałowicz – O Ali, co nie chciała hrabiego; Ala Gołąb – Z pamiętnika pielęgniarki
książka miesiąca: Wiesław Myśliwski „Złodziej. Klucznik. Drzewo. Requiem dla gospodyni”
wśród książek, na widnokręgu, przegląd zagraniczny, noty, cokolwiek daléj, dziennik 2023

2023 9 (934)

Eugeniusz Pawłowski (1942-2023)

Przy bramie kościoła św. Franciszka Ksawerego znajduje się najpoczytniejsza „gazeta” w Krasnymstawie. Otóż przed tą „gazetą” 7 listopada zatrzymałem się na dłużej, wpatrując w jedną z klepsydr, która informowała, że 5 listopada zmarł w wieku 81 lat Eugeniusz Pawłowski, którego pogrzeb odbędzie się 7 listopada o godz. 12.00. Gdy to czytałem była dokładnie 14.40. A więc już było po pogrzebie. Wielka szkoda, że nikt mnie o tym wcześniej nie powiadomił.

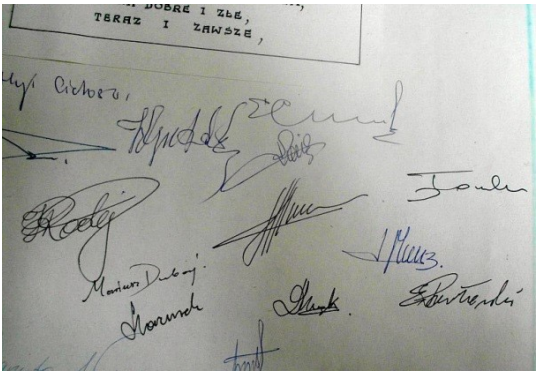

W prawym dolnym rogu kroniki Grupy Literackiej „Słowo” autograf Eugeniusza Pawłowskiego.

Gienio Pawłowski do Grupy Literackiej „Słowo” dołączył w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych. W kronice „Słowa”, którą skrzętnie prowadziła Anna Kicińska, na jednej z pierwszych stron widnieje, obok innych, także i Jego autograf. Gienio po swoich traumatycznych przeżyciach – wypadek podczas służby wojskowej na granicy i przedwczesna śmierć żony, był w pewien sposób wycofany, cichy i pokorny.

Przez ostatnich trzydzieści lat bardzo często mnie odwiedzał, przynosząc ze sobą swoje nowe wiersze zapisane ołówkiem na maleńkich karteczkach. Były to wiersze pełne miłości i bólu po ukochanej żonie.

Niedawno zadzwoniłem do Niego. Telefon odebrała córka, informując mnie, że Gienio jest ciężko chory. A później była ta klepsydra.

Gieniu, mój serdeczny kolego po piórze. Odpoczywaj w Pokoju.

Jan Henryk Cichosz

Ewa Radomska

Serbia aforyzmem stoi…

Fot. Wiesław Antoniewicz

Serbia przed II wojną światową miała aż 100 czasopism o charakterze satyrycznym i humorystycznym. Po wojnie komunistyczny reżim spowodował iż ich liczba zmalała, ale jednocześnie przybyło satyrykom tematów do żywej, ciętej satyry. Ostatnie półwiecze zaś to prawdziwy złoty wiek aforyzmu. Na początku lat 80. rodzi się aforystyczny ruch pod nazwą „Belgradzki Aforystyczny Krąg" (w skrócie BAK), który formalnie ukonstytuował się w roku 2008, a jego prezesem został Aleksandar Baljak, noszący miano pierwszego pióra serbskiej aforystyki.

W roku 1998 powołany został Festiwal Aforyzmu „Aforizm fest". Festiwal Aforyzmów, który z czasem przerósł się w Festiwal Satyryczny, z roku na rok się rozrasta. W roku 2009 VII Festiwal odbył się pod hasłem „Lec wśród Serbów", co było potwierdzeniem szczególnej pozycji naszego aforysty wśród czytelników serbskich.

Wiele antologii aforyzmu serbskiego ukazało się m.in. w USA, Rosji, Niemczech, Austrii, Polsce, Bułgarii i Macedonii. Wśród aforystów są jednak sami mężczyźni, choć raz i to dość dawno przewinęła się jedna kobieta… Najbardziej znani aforyści to Aleksandar Bajlak, Aleksandar Čotrić, Dusan Puaca, Bojan Ljubenović, Dragutin Minić, Vitomir Teofilović, Slobodan Simić, Brana Crncević, Milan Bestić.

A oto mała próbka serbskiego aforyzmu:

„Bankomat – to nasza ściana płaczu", „Serbia stała się demokratycznym, prawym i bogatym krajem – prima aprilis!" (Bojan Ljubenović).

„Aforyzm jest najbardziej podobny do życia – jest krótki", „On jest charyzmatyczną postacią – całe stado za nim idzie" (Aleksandar Čotrić).

Bardzo sympatycznym zwyczajem od roku 2017 jest przyznawanie nagrody gazety literackiej „Svitak" tzw. „Malej Papriki" za wkład w dziedzictwo myśli aforystycznej. Za rok 2021 otrzymali ją Radmilo Mišović z Raca w Serbii i Ewa Radomska z Warszawy, z Polski.

Jest to dla mnie ogromne wyróżnienie i duma. Moje dotarcie do „Svitaka" nie odbyłoby się bez wspaniałej poetki, tłumaczki Olgi Lalić-Krowickiej, która swego czasu przetłumaczyła mój tomik poezji na serbski i wciąż zachęcała mnie do przysyłania swoich aforyzmów do „Svitaka". Drugą wspaniałą, życzliwą mi osobą jest Milijan Despotović – poeta aforysta, redaktor „Svitaka", który podjął się tłumaczenia ich na serbski – serdecznie im dziękuję. A dyplom, jaki dostałam wisi na honorowym miejscu w moim domu.

Poniżej „garść" moich aforyzmów, które przypadły do gustu jury w składzie Snezana Marco Musinov, Branca Lazić i Milijan Despotović.

Ewa Radomska

W części o aforystyce korzystałam z artykułu Dagmary Anny Lukovićc pt. „Serbów nikt nie może zrobić w konia. Oni zawsze pierwsi zrobią to sami" (admin – Postet in esej, nr 2013/03)

Ewa Radomska

***

Poród – to jedyne możliwe wyjście…

***

Istota mądrości tkwi w umiarze, uczucia w bezmiarze…

***

Najtrudniejszą rzeczą jest przekupić w sobie Judasza…

***

Wszystko płynie, ale nie wszystko spływa…

***

Ten znalazł swoje miejsce w życiu, kto znalazł miejsce w sercu drugiego człowieka…

***

Jeśli prawda leży pośrodku, to kłamstwo stoi ze wszystkich stron…

***

Nie otwierajcie zbyt szeroko ramion – prowokujecie ukrzyżowanie…

***

Kiedy małe dziecko swoją małą rączką mówi nam „pa, pa” dostajemy wtedy nasze ziemskie błogosławieństwo…

***

Państwo jest jak panienka – nic nie znaczy bez dobrej partii…

***

Nawet największy „mięczak” ma po śmierci nazwisko wyryte w kamieniu…

***

Jeżeli noszą cię na rękach, trzymaj nogi możliwie blisko ziemi…

***

W dzieciństwie potrzebuje się bajki, w młodości poezji i dramatu, w wieku dojrzałym prozy, by na starość stać się komedią…

***

Wierność to kara za miłość…

***

Ci, którzy chcą kupić cię za wszelką cenę sprzedadzą cię za grosz…

***

Odpowiednia dawka miłości w dzieciństwie to szczepioka na całe życie…

***

Przeszłość to świat zatrzymanych oddechów…

***

Kiedy ludzie się rozchodzą, włączają światła mijania…

***

Wszyscy gramy w filmie, którego kamerę stanowi oko Boga…

***

Prezenty, jakie dajemy innym nas prezentują…

***

Miłość – drugi u serca…

Magdalena Wójcik

Korespondencja z Norwegii, czyli jak czytać książki po skandynawsku

W powszechnej opinii Skandynawia może wydawać się mroźnym i odległym krajem słynącym z fiordów, zorzy polarnej i Ikei, ale powinniśmy także docenić ją za jej fantastyczną literaturę. Jeśli nie jesteś w stanie wymienić żadnych książek znanych ci z tych krajów, pomyśl jeszcze raz. Bez względu na wiek, pochodzenie czy zajęcie, na pewno znasz „Dzieci z Bullerbyn”, „Dom lalki”, „Dolinę Muminków” czy „Dziewczynę, która igrała z ogniem”. A co mają wspólnego ze sobą te powieści? Wszystkie mają swoje korzenie w Skandynawii.

Literatura zajmuje szczególne miejsce w kulturze i tradycjach krajów skandynawskich – Szwecji, Norwegii, Finlandii, Islandii i Danii – o czym świadczą nie tylko znane na całym świecie powieści, które zostały napisane w tych krajach, o czym przekonałam się, mieszkając od trzech lat w Norwegii.

Jedna z moich ulubionych tradycji, które poznałam w Oslo jest *Påskekrim*, co znaczy dosłownie „kryminalne Święta Wielkanocne”. W 2023 *Påskekrim* obchodziło swoje setne urodziny od czasu, gdy wydawnictwo książek Gyldendal wydrukowało reklamę na pierwszej stronie gazety promującą nową powieść kryminalną opartą na napadzie na pociąg na słynnej linii Bergensbane w Norwegii. Tak wielu ludzi pomyliło tę reklamę z prawdziwą historią, że książka odniosła sukces, który przeszedł wszelkie oczekiwania, gdy prawda wyszła na jaw. Od tego czasu Norwegowie spędzają przerwę wielkanocną, czytając kryminały.

To prawdopodobnie dlatego Norwegia jest kolebką *Nordic Noir*, czyli skandynawskiej powieści kryminalnej oraz jej najbardziej znanych autorów, takich jak Jo Nesbø, który pisze powieści kryminalne o inspektorze Harrym Holmie. Trend *Nordic Noir* przeniósł się także do Szwecji, dzięki czemu polski czytelnik rozpozna nazwiska znanych szwedzkich autorów: Stiega Larssona (zna-

nego z trylogii „Millennium") i Camilli Läckberg (zwanej szwedzką Agathą Christie, autorką serii kryminalnej o Erice Falck).

Szwedzi, podobnie jak Norwegowie, mają również okres poświęcony czytaniu książek. Na przełomie października i listopada Szwecja obchodzi tydzień poświęcony czytaniu, zwany *Läslov*. Słowo *Läslov* dosłownie tłumaczy się jako „czytelnicze wakacje". Wtedy księgarnie, biblioteki, wydawnictwa i wszyscy związani z kulturą i książkami wspólnie promują czytanie i radość z zagłębiania się w literaturę. W tym okresie szwedzkie szkoły mają ferie, więc dzieci też są zachęcane do czytania.

W Szwecji odbywa się również coroczna wyprzedaż książek o nazwie *Bokrea*, co oznacza „wyprzedaż książek", która odbywa się w lutym. Wiele księgarni oferuje w tym okresie zniżki na książki. To popularny czas dla Szwedów, aby zaopatrzyć się w materiały do czytania na cały rok.

Ale Norwegia to nie jedyny kraj skandynawski z głęboko zakorzenionymi tradycjami związanymi z książkami. Na przykład, na Islandii książki są tradycyjnymi prezentami świątecznymi. W przygotowaniach do Bożego Narodzenia, co roku islandzkie sklepy zalewane są nowymi książkami. Zjawisko to znane jest jako *Jólabókaflóð*, dosłownie tłumaczone jako „świąteczne zalanie książkami". *Jólabókaflóð* rozpoczęło się podczas II wojny światowej, kiedy papier był jednym z niewielu rzeczy, które nie były racjonowane w Islandii. Z tego powodu Islandczycy obdarowywali się nawzajem książkami, podczas gdy inne towary były trudno dostępne, co uczyniło ich krajem miłośników książek do dziś.

Czytanie książek jest również częścią generalnego stylu życia związanego ze Skandynawią, zwanej *hygge*. Duńska koncepcja *hygge* (tłumaczona jako „przytulność") to tworzenie ciepłej atmosfery i cieszenie się dobrymi rzeczami w życiu w towarzystwie bliskich osób tu i teraz. *Hygge* obejmuje zarówno dekorację wnętrz, jak i sposób życia, a czytanie książki przed kominkiem w zimową noc, przyjemną i mroźną, zdecydowanie wpisuje się w uczucie *hygge*. Być może dlatego Finlandia, gdzie jest dostatek ciemnych zimowych nocy, zajmuje drugie miejsce po Estonii wśród państw europejskich pod względem czasu spędzanego na

czytaniu, według statystyk zebranych przez Komisję Europejską w 2018 roku.

Od *Nordic Noir*, czyli nordyckiego kryminału, po świąteczne obdarowywanie się książkami, Skandynawia to region, w którym czytanie ma niezwykle głęboko zakorzenione znaczenie społeczne i kulturowe. Różnorodność praktyk, takich jak *Påskekrim* w Norwegii, *Läslov* w Szwecji czy *Jólabókaflóð* na Islandii, świadczy o tym, że aktywność czytelnicza jest nie tylko istotnym elementem kultury, ale również wzbogaca styl życia w tych krajach. Dodatkowo, wprowadzenie koncepcji *hygge* i związanej z nią przyjemności czytania przed kominkiem podkreśla, że lektura książek nie tylko dostarcza wiedzy, ale stanowi integralną część doznawania radości i przytulności w codziennym życiu. To także potwierdza, dlaczego Skandynawowie, mimo surowych warunków atmosferycznych, zasługują na miano jednych z największych miłośników książek w Europie.

Moja własna biblioteczka również powiększyła się od czasu przeprowadzki do Norwegii w 2020 roku. Nauczyłam się również doceniać chwile *hygge*, spędzane przed kominkiem z filiżanką gorącej czekolady i dobrą książką.

dr Magdalena Wójcik

Magdalena Wójcik urodzona w 1989 roku w Lubartowie. Absolwentka School of Oriental and African Studies w Londynie, gdzie w 2022 roku uzyskała doktorat w dziedzinie sinologii. Mieszkała w Pekinie i w Londynie, a od 2020 roku w Oslo. Zajmuje się korektą, redakcją i indeksowaniem literatury faktu oraz publikacji akademickich, głównie w języku angielskim.

Tomasz Karabowicz urodził się w 1971 roku na ziemi chełmskiej. Od 1985 do 1990 roku uczęszczał do Liceum Sztuk Plastycznych imienia Bernarda Morando w Zamościu. W latach 1991-1997 studiował na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie w pracowni profesora Zbigniewa Gostomskiego. Dyplom z malarstwa uzyskał w 1997 roku. Uczestniczył w wielu wystawach indywidualnych i zbiorowych. Jego prace znajdują się w kolekcjach prywatnych w kraju i poza granicami. Z zamiłowania kolekcjoner sztuki.

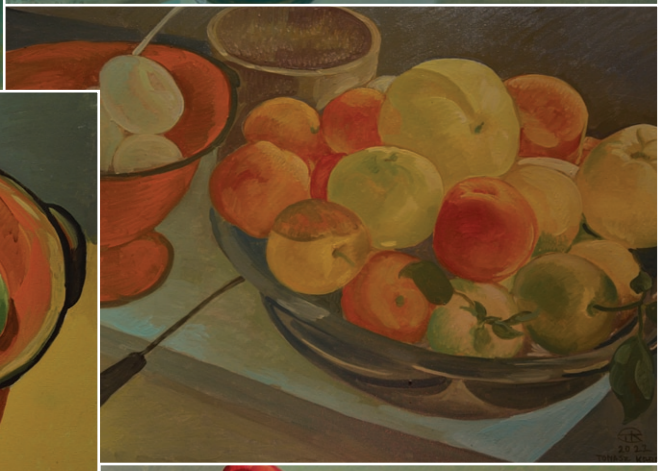

mal. Tomasz Karabowicz